



Harlequin®

POWIEŚC  
*Historyczna*

COURTNEY MILAN

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY  
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

MILAN

SZCZĘŚLIWA  
WROŻBA

COURTNEY MILAN SZCZĘŚLIWA WROŻBA

ISBN 978-83-245-7011-1 | INKUBUS 7011464 | CENA 14,99 zł WTYN 5,95 zł



# *Milan Courtney*

## *Szczęśliwa wróżba*



*Anglia, XIX wiek*

*To był niezwykły pojedynek, Emocje starły się z logiką. Uczucia z racjonalnymi dowodami. Wrażliwość i empatia z żelazną wolą i wyrozumowanym dystansem do ludzi i świata.*

*Tego pamiętnego dnia, od którego wszystko się zaczęło, Jenny Keeble, znana jako wróżka madame Esmerelda, po raz pierwszy gościła Garetha Carharta, markiza Blakely`ego. Z miejsca zadeklarował, że jako racjonalista nie wierzy we wróżby, i oskarżył Jenny o oszukańcze praktyki. Dowodził, że ma ona zgubny wpływ na swoich klientów, między innymi na jego podopiecznego, młodzieńca o imieniu Ned. Młoda, ale już doświadczona przez życie Jenny postanowiła udowodnić bezdusznemu i zadufanemu w sobie arystokracie, jak bardzo się pomylił. Zgodziła się na jego plan, nie przeczuwając, że połączy ją z markizem silna namiętność...*

„Jeden z najlepszych romansów historycznych, jakie czytałam. Od tej chwili jestem oficjalną fanką Courtney Milan”.

Julia Quinn, autorka z listy bestsellerów „New York Times”

„Błyskotliwy debiut... romantyczny, zmysłowy i inteligentny. Nie mogłam się oderwać”.

Eloisa James, autorka z listy bestsellerów „New York Times”

„Powieść Courtney Milan to wzruszający romans. Wspaniała lektura od pierwszej strony aż do znakomitego zakończenia. Jeśli lubicie romanse historyczne, koniecznie sięgnijcie po tę książkę!”. Elizabeth Hoyt, autorka z listy bestsellerów „USA Today”

„Wyjątkowy debiut. Courtney Milan to nowa, jasna gwiazda na romantycznym firmamencie. Nie mogłam się oderwać od tej błyskotliwej i chwytającej za serce powieści”.

Anna Campbell, laureatka licznych nagród za powieść „Tempt the Devil”

## **Rozdział pierwszy**

*Londyn, kwiecień 1838 roku*

Po dwunastu latach pracy w tej profesji Jenny Keeble wiedziała, że należy przykładać szczególną wagę do stworzenia odpowiedniej atmosfery i niczego nie zostawiać przypadkowi. Pałace się na metalowej tacce wióry drewna sandałowego przesycały powietrze egzotycznym aromatem. Automatycznym ruchem narzuciła na rozklekotany stolik tanią, czarną tkaninę i poprawiła wiszące na ścianach jaskrawe, kupione od Cyganów kotary. Każdy szczegół – od celowo pozostawionych w rogu pod sufitem pajęczyn, po tiulowe draperie w oknach, aby do sutereny docierało z ulicy światło rozproszone – był obliczony na stworzenie iluzji, że w tym pomieszczeniu działa magia i duchy udzielają mądrych rad. O taki właśnie efekt chodziło Jenny.

Dlaczego więc miała ochotę pozbyć się swojego kostiumu? Prawdę mówiąc, jaskrawa, suta spódnica w czerwone i niebieskie pasy w połączeniu z zieloną bluzką nie dodawały jej urody. Kilka warstw przymarszczonego w pasie materiału sprawiało, że figura Jenny nasuwała nieodparte skojarzenie z okrągłym, pstrokatym melonem. Jej skóra dusiła się pod grubą warstwą pudru i antymonowego czernidła do powiek.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Pora, by na scenę weszła niewzruszona madame Esmerelda, kobieta, która widzi przyszłość. Przywdziawszy maskę wróżki, Jenny otworzyła drzwi.

W progu zobaczyła dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Ned, jej ulubiony klient, którego wizyty oczekiwała. Niezręczny i kanciasty, jak przystało na młodzieńca, który niedawno osiągnął pełnoletność. Jasnobrzowe włosy okalały jego twarz, a na ustach gościł serdeczny uśmiech. Jenny przywitałaby się z nim familiarnie, gdyby za jego plecami nie stał drugi dżentelmen, wyjątkowo wysoki.

– Madame Esmereldo – powiedział Ned. –

Przepraszam, że bez uprzedzenia przyprowadziłem ze sobą gościa.

Jenny ponad jego ramieniem zerknęła na jego towarzysza. Miał niedbale rozpięty surdut, w który krawiec musiał włożyć wiele pracy, aby nadać mu tak nieskazitelny krój. Ciemnoblonde włosy nieznajomego były w nieładzie, a fular zawiązany w prosty sposób.

– Blakely, pozwól, że ci przedstawię madame Esmereldę. Madame, to Blakely, czyli Gareth Carhart, markiz Blakely.

Jenny skłoniła głowę. Ned wielokrotnie opowiadał jej o swym kuzynie. Na podstawie jego opisu wyobraziła sobie starszego, nieco zniedołężniałego mężczyznę, obsesyjnie zainteresowanego faktami i liczbami. Ned opisywał go jako człowieka zimnego i trzymającego wszystkich na dystans, niedbającego o konwenanse i tak bez reszty skoncentrowanego na swych zainteresowaniach naukowych, że niedostrzegającego otaczających go ludzi.

Tymczasem, chociaż dzielił ich co najmniej jard, Jenny czuła na całej skórze mrowienie spowodowane bliskością markiza. Gdzie tu mowa o trzymaniu innych na dystans? Miał smukłą, a nie starczo wychudłą sylwetkę, a na policzkach cień zarostu mężczyzny w kwiecie wieku. Nie robił też wrażenia roztargnionego.

– Proszę wejść i usiąść – powiedziała, zapraszając gestem do środka.

Mężczyźni znaleźli się w pokoju i wkrótce krzesła zatrzęszczały pod ich ciężarem. Jenny pozostała na nogach.

– W czym mogę ci dzisiaj pomóc, Ned?

Młodzieniec rozpromienił się.

– Pokłóciłem się z Blakelym. On nie wierzy, że pani potrafi przepowiadać przyszłość.

Jenny musiała z przykrością przyznać w duchu, że podzielała te wątpliwości.

– W końcu uzgodniliśmy, że on naukowymi metodami zweryfikuje prawdziwość pani przepowiedni.

– Zweryfikuje? Naukowymi metodami? – Jenny poczuła się zagrożona. – Cóż... Nie mam nic przeciwko temu. A jak to ma wyglądać?

– Blakely. Zapytaj madame o coś.

Markiz odchylił się na krześle. Aż do tej chwili nie odezwał się ani słowem, ale bardzo uważnie przyjrzał się wystrojowi pokoju.

– Mam ją o coś zapytać? – Mówił powoli, starannie artykułując każdą głoskę. – Jestem konsultantem w dziedzinie logiki, a nie specjalistą od starych szarlatanek.

– Ona nie jest szarlatanką! – zaprotestował Ned.

– Mam trzydzieści lat, to jeszcze nie starość! – oburzyła się Jenny, ponieważ uświadamiając sobie, że wyszła z roli madame Esmereldy. Zapomniała o swoim przebraniu, górę wzięła urażona kobiecość.

Markiz to zauważył. Spojrzenie żółtobrązowych oczu przesunęło się po sylwetce Jenny, od cygańskiej chusty na głowie, po jaskrawą, marszczoną spódnicę pogrubiającą ją w talii. Zdawał się lustrować każdą z krzykliwych falban z osobna.

Lekkie skrzywienie warg i ciche westchnienie sygnalizowały, że uznał ją za osobę mało interesującą. Jenny nie należała do sfery markiza Blakely'ego.

Gdyby przypadkowo spotkali się na ulicy, z pewnością nie sięgnąłby on do róna kapelusza, by złożyć ukłón. Powinna być przyzwyczajona do lekceważącego traktowania, a jednak nagle poczuła się dotknięta. Zacisnęła ręce tak mocno, że paznokcie wbiły się w dłónie. Madame Esmerelda nigdy nie przejęłaby się brakiem zainteresowania tego człowieka, uznała w duchu Jenny i zdobyła się na uśmiech.

– Nie jestem szarlatanką.

– To dopiero należy udowodnić. Ponieważ nie zamierzam zadawać ci pytań, więc będzie to musiał zrobić Ned.

– Ja już pytałem o wszystko: o życie i śmierć. Młodzieniec mówił prawdę. Przed dwoma laty wszedł do tego pokoju i zadał pytanie, które odmieniło życie ich obojga.

– Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie miałbym się zabić?

W pierwszej chwili upozowana na wróżkę Jenny pomyślała przede wszystkim o tym, żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność, wyjaśnić, że w rzeczywistości nie potrafi przewidywać przyszłości. Jednak wyczuła, że zwrócił się do niej, bo miał kompletny mętlik w głowie. Dlatego skłamała. Powiedziała, że w przyszłości czeka go wielkie szczęście i że ma po co żyć. Uwierzył jej i z czasem wydobył się z depresji. Dzisiaj stał przed nią pewny siebie młody mężczyzna. Powinna to uznać za sukces, za dobry uczynek, który nie-



wątpliwie zostanie jej zapisany. Tamtego dnia nie tylko uwolniła go od rozpacz. Wzięła również od niego pieniądze.

– O życie i śmierć? – Markiz Blakely musnął palcami tanią tkaninę, którą Jenny udrapowała na krzesłach. – W takim razie nie powinnaś mieć najmniejszych problemów z moim znacznie bardziej prozaicznym zadaniem. Z pewnością wiesz, że Ned musi się ożenić. Madame Esmereldo, podaj nazwisko damy, którą powinien wybrać.

Ned zeszywniał, a Jenny przeszył dreszcz.

Czym innym była rada ukryta pod płaszczkiem spirytualistycznych bredni, a czym innym wpędzanie w pułapkę chłopaka, który obawiał się małżeństwa i miał ku temu powody.

– Duchy nie zwykły ujawniać takich szczegółów – odparła bez zająknięcia.

Markiz wyjął z kieszeni ołówek i polizał jego koniec. Pochylił się nad notesem i sporządził krótką notatkę: „Nie potrafi przewidywać szczegółów przyszłych wydarzeń”. Następnie zwrócił wzrok na Jenny i orzekł:

– Jeśli się nie postarasz, to test twoich umiejętności będzie wyjątkowo krótki.

To stwierdzenie zirytowało Jenny.

– Mogę tylko powiedzieć – wycedziła powoli – że spotka ją w najbliższym czasie, oczywiście w rozumieniu czasu w skali kosmicznej.

– No proszę! – zawołał triumfalnie Ned. – Masz swoje szczegóły.

– „W skali kosmicznej” to dość nieprecyzyjne określenie. Jak tylko Ned pozna jakąś dziewczynę, będziesz mogła orzec, że to właśnie zapowiadane przez ciebie „w najbliższym czasie”. Ned, jestem rozczarowany. Zapewniałeś mnie, że ta kobieta zna arkana wiedzy tajemnej.

Jenny zacisnęła wargi i odwróciła się tak gwałtownie, że spódnica zafurkotała jej wokół kostek.

– Mogę podać więcej szczegółów. W starożytności jasnowidze odczytywali przyszłość z wnętrzości niewielkich zwierząt, gołębi czy wiewiórek.

Nauczyłam się tej metody.

Przez twarz markiza Blakely’ego przemknął wyraz niedowierzania.

– Zamierzasz wypatroszyć ptaka?

Jenny nie mogłaby wypatroszyć gołębia, tak jak nie była w stanie uczciwie zarobić na życie.

Musiała jednak w obecności markiza wykonać jakiś efektowny gest.

– Pójdę po odpowiednie narzędzia – poinformowała.

Dała nura za zasłonę z czarnej gazy, która oddzielała jej prywatne mieszkanie od części przeznaczanej na spotkania z klientami. Na niewielkim stoliku leżała torba z porannymi zakupami. Chwyciła ją i wróciła do gości.

Mężczyźni nie odrywali od niej wzroku, kiedy wyłoniła się zza czarnego woalu z płócienną sakwą w ręku. Położyła ją na stole.

– To o twoją przyszłość chodzi, Ned – powiedziała.

– A więc to twoja dłoń musi być narzędziem przeznaczenia.

Ned podniósł wzrok na Jenny, wyraźnie przestraszony.

– Trzyma pani małe zwierzęta na wypadek, gdyby miały okazać się potrzebne? Co z pani za człowiek?! – Markiz nie krył oburzenia.

– Oczekiwałam obu panów – przypomniała Jenny. Ned nadal się wahał, więc zapytała: – Czy kiedykolwiek cię zawiodłam?

Te słowa wywołały pożądany efekt. Ned odetchnął głęboko i włożył rękę do torby. Wyraz przerażenia na jego twarzy ustąpił niedowierzaniu. W dłoni trzymał pomarańczę.

– Spodziewałem się czego innego – zauważył markiz.

Niezdecydowany Ned obracał owoc w palcach.

Tymczasem markiz wyjął z kieszeni surduta wypolerowany, srebrny nożyk zdobiony liśćmi laurowymi i podał go kuzynowi.

Ned jednym cięciem przepołowił pomarańczę, po czym pociął ją na kawałki. Jenny smętnie spoglądała na sok wypływający z owocu – po obiedzie będzie musiała obyć się bez deseru.

– Wystarczy – oznajmiła.

– Co pani widzi? – zapytał Ned.

– Widzę... widzę... słonia.

– Słonia – powtórzył z przekąsem Blakely i zanotował to słowo. – Ned, mam nadzieję, że wróż-

ba się nie sprawdzi. W przeciwnym razie będziesz miał żonę z rzędu trąbowców.

– Trąbo... co?

– Odznaczającą się, między innymi, wyjątkowo grubą skórą.

Jenny nie zareagowała na tę złośliwą uwagę.

– Jaki jest twój ideał kobiety? – zapytała.

– Powinna być dokładnie taka jak pani – odparł bez namysłu Ned. – Tylko młodsza.

– Ma być inteligentna, dowcipna?

– Nie, chodzi mi raczej o kobietę uczciwą, na której można polegać.

Wystudiowany, tajemniczy uśmiech zniknął na ułamek sekundy z ust Jenny. Jeżeli to spostrzeżenie miało świadczyć o przenikliwości chłopaka w ocenie ludzkich charakterów, to Ned skończy jako małżonek oszustki.

Ręka Blakely'ego zawisała nieruchomo nad notesem. Bez wątpienia jego myśli pobiegły w tym samym kierunku.

– O co chodzi? – zapytał zbulwersowany Ned.

– Na mnie można polegać – zauważył Blakely.

– Natomiast ona...

– Ty jesteś zimny i wyrachowany – przerwał mu Ned. – Madame Esmereldę znam od dwóch lat i stała mi się bliska jak nikt z rodziny. Nie mów o niej takim tonem!

Jenny nie znała rodziny, z dzieciństwa pamiętała tylko szkołę o bardzo surowym regulaminie, za którą płacił jakiś nieznany darczyńca. Od najmłod-

szych lat towarzyszyła jej świadomość, że jest sama na świecie. Pewność, że na nikogo nie może liczyć i że otacza ją wroga rzeczywistość, sprawiła, iż oszukiwanie innych wydawało jej się sprawiedliwym odwetem.

Ned nie skończył jeszcze z kuzynem.

– Dla ciebie jestem tylko narzędziem, którym w razie potrzeby możesz się posłużyć. Mam tego dość.

Jenny wyczuła, że podbrawurą Nedakry się ięlek przed starszym kuzynem. Jednak stawiłmu czoło, aby jej bronić. Nie zasłużyła na wzruszający dowód lojalności – mimo łączącej ich sympatii pozostawała oszustką, która dla pieniędzy karmiła Neda fałszywymi przepowiedniami. Nie powinna wygłaszać kolejnych kłamstw, jednak tylko je miała do dyspozycji. Najwyraźniej markiz uważał się za lepszego od kuzyna. Jenny postanowiła zadbać o to, aby gorzko pożałował, iż zażądał od niej konkretów.

– Ned, dostałeś ostatnio zaproszenie na bal, prawda?

– Tak.

– Co to za bal?

– Tłumna impreza z okazji wprowadzenia w świat kolejnej debutantki. Nie zamierzam brać udziału w tej szopce.

Jenny uznała, że wydarzenie zapowiada się obiecująco. Z pewnością będzie w nim uczestniczyło wiele młodych dziewcząt.

– Pójdiesz na bal – oznajmiła stanowczo. Roz-

łożyła szeroko ramiona, jakby chciała objąć naraz dwóch mężczyzn. – Obaj się tam wybierzecie. Nie widzę przyszłej żony Neda. Natomiast pan, Blakely, dokładnie o godzinie dziesiątej trzydziści dziewięć zobaczy kobietę, która jest panu przeznaczona.

Poślubi ją pan, jeśli podejdzie pan do niej w wyznaczony przeze mnie sposób.

Szuranie ołówka markiza Blakely’ego po papierze zabrzmiało dziwnie głośno w zapadłej nagle ciszy.

– Czy to dla ciebie wystarczająco konkretna przepowiednia? – zwrócił się do kuzyna Ned.

Markiz wydał wargi.

– Według jakiego zegarka?

– Niech będzie pana zegarek kieszonkowy.

– Mam dwa, które noszę na przemian.

Jenny zmarszczyła brwi.

– Jeden z nich odziedziczył pan po ojcu – zaryzykowała.

– Rzeczywiście. Przyznaję, to już pewien konkret.

Dla celów naukowych muszę cię prosić o wyjaśnienie, w jaki sposób wywnioskowałaś to wszystko?

– Wtaki sam, markizie Blakely, jak zobaczyłam sylwetkę słonia w pomarańczy. Duchy nakreśliły tę scenę w mojej głowie.

Jenny starała się, aby na jej twarzy nie odmalowało się poczucie triumfu. Musiała zachować równie nieprzeniknioną, tajemniczą minę jak podczas każdego seansu.

– Więc zgadzasz się? – zwrócił się Ned do kuzyna.

– Na co się zgadzam?

– Jeżeli spotkasz na balu dziewczynę, w której się zakochasz, to będziesz musiał przyznać, że madame Esmerelda nie jest szarlatanką.

– Nie zakocham się – oświadczył stanowczo markiz.

– A gdyby jednak? – obstawał przy swoim Ned.

– Gdyby tak się stało, to przyznam, że nie mógłbym naukowo udowodnić oszustwa.

Ned parsknął śmiechem.

– W twoich ustach to niemal zgoda. Przyjmuję więc, że od tej pory będziesz zasięgał rady madame Esmereldy.

– A może chcesz się ze mną założyć? O ile?

– O tysiąc funtów – odparł bez zastanowienia Ned.

Jenny uważała się za prawdziwą bogaczkę, mając w banku czterysta funtów, które zdołała zaoszczędzić po latach skąpienia sobie na wszystkim. Dla niej tysiąc funtów to była niewyobrażalnie wysoka kwota.

– Pieniądze – mruknął Blakely i skrzywił się pogardliwie. – Co znaczy tak nędzna suma dla któregośkolwiek z nas? Musisz postawić coś, co ma dla ciebie prawdziwą wartość. Obiecuj, że jeśli przegrasz, to nigdy nie przyjdiesz do madame Esmereldy ani żadnej innej wróżki.

– Zgoda! Ona się nie myli. Nie mogę przegrać.

Jenny nie śmiała podnieść oczu. Ned musi przegrać zakład. A jeśli przestanie wierzyć w przepowiednie Jenny sprzed dwóch lat i uzna, że swoje obecne szczęście zawdzięcza jedynie kłamstwom? Jeśli zerwie tę więź, jaka między nimi powstała, i wtedy Jenny zostanie sama? Odetchnęła głęboko, żeby się upokoić.

– Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl – oznajmił markiz. – Przecież ona zawsze może oznajmić, że inna kobieta była mi przeznaczona. Powie, że w tym samym momencie patrzyłem na dwie panie i wybrałem niewłaściwą. I co wtedy? Przejrzał ją! Jenny przebiegł zimny dreszcz.

– Nie wiem. – Ned wzruszył ramionami. – W takiej sytuacji musielibyśmy anulować zakład.  
– Mam lepszy pomysł. Jeżeli madame Esmerelda naprawdę zobaczyła to wszystko w pomarańczy, bez trudu ustali tożsamość kandydatki. –  
Wargi markiza wygięły się wironicznym grymasie.  
– Weźmiemy ją ze sobą.



## **Rozdział drugi**

– Nie mogę pojechać. – Cichy głos madame Esmereldy zdradzał niepewność.

– Dlaczego? – Ned zwrócił się do niej z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Kiedy Gareth opuszczał Anglię przed laty, Ned był płaczkliwym dzieckiem. Teraz miał niedługo skończyć dwadzieścia jeden lat, a mimo to pozostał niezwykle łatwowierny. Gareth był najbliższym męskim krewnym Neda, osieroczonego przez ojca. Ponosił za niego odpowiedzialność i nie mógł pozwolić, aby podejrzana wróżka wodziła za nos niedoświadczzonego krewnego.

– Jestem przekonany, że madame Esmerelda odmówiła towarzyszenia nam z bardzo istotnego powodu. Zapewne ma już plany na ten wieczór.

– Próbuje pan zastawić na mnie pułapkę, milordzie.

Garethowi z najwyższym trudem udało się ukryć zaskoczenie.

– Zapewniam, że nie było to moją intencją – odparł lodowatym tonem.

– To jakiś test naukowy? Niech panu będzie, ale proszę nie zastawiać na mnie pułapek i nie próbować mnie oszukać.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Od dawna nikt nie śmiał zwracać sięw taki sposób domarkiza.

– Nie zmieniaj tematu – rzucił oskarżycielsko.

– Dlaczego nie możesz pójść na bal?

– Ponieważ nie zostałam zaproszona. Zresztą, nie dysponuję odpowiednim strojem.

Ned parsknął śmiechem na to typowo kobiece wyjaśnienie. Gareth popatrzył uważniej na wróżkę.

I nagle odkrył, że madame Esmerelda jest całkiem niebrzydka istotą, ukrytą pod grubą warstwą makijażu i cudacznym strojem. Niespodziewanie Gareth zainteresował się, dokąd sięgałyby jej włosy, gdyby zerwać z głowy chustę i rozpuścić je swobodnie.

Nie wierzył we wróżby, horoskopy, siłę amuletów i tym podobne, jego zdaniem, bzdury. Był naukowcem, przyrodnikiem. Wiele lat spędził na ekspedycji w Brazylii. Wrócił do Anglii po śmierci dziadka, żeby podjąć obowiązki związane z tytułem, z poczucia odpowiedzialności wobec rodziny.

To samo poczucie odpowiedzialności nakazywało mu uwolnienie młodego krewnego spod wpływu madame Esmereldy. Przecież nienauko-

we i pozbawione logiki przepowiednie tej kobiety to czyste oszustwo.

Od roku, czyli od powrotu do Anglii, nie stanął wobec prawdziwego wyzwania; nie spotkał nikogo, kto ośmieliłby się mu sprzeciwić. Teraz wreszcie miał godnego siebie przeciwnika. Udowodnienie madame Esmereldzie oszustwa zapowiadało się na prawdziwie emocjonującą rozgrywkę, na którą z góry się cieszył.

– Zaproszenie mogę uzyskać – rzucił od niechcienia

– a suknię pożyczyć lub kupić. Jestem gotów na wiele poświęceń dla dobra nauki.

– Nie – Jenny odwróciła wzrok – nie mogę przyjąć...

Gareth przypomniał sobie pewne szczegóły, które nie zgadzały się z wizerunkiem madame Esmereldy. Przepisowy ukłon, jaki złożyła na powitanie. Nieskazitelną akcent osoby wykształconej.

Opór przed przyjęciem prezentu od mężczyzny.

Te drobne z pozoru fakty dodane do siebie prowadziły do zasadniczej konkluzji: madame Esmerelda otrzymała wykształcenie odpowiednie dla damy. Jak więc, na litość boską, doszło do tego, że przepowiadała przyszłość?

– Ależ możesz – zapewnił z naciskiem. – To ma być doświadczenie naukowe, madame Esmereldo.

I sądzę, że ty również nie powinnaś mnie okłamywać.

Potrząsnęła głową. To nie było odmowa, a krótki, lekki ruch, jakby starała się uporządkować

myśli. Gareth domyślił się, że znalazła rozwiązanie. Odkryła, w jaki sposób wydostać się z zastawionej przez niego pułapki. Powinien być rozczarowany, a tymczasem nie mógł się doczekać, by pokrzyżować jej plany.

Gareth nie zdawał sobie sprawy, że doprowadzenie madame Esmereldy do przyzwoitego wyglądu okaże się tak ciężkim doświadczeniem. Ned uznał za swój obowiązek osobiście zawieźć ją do modniarki. Gareth czuł, że jeśli chłopak zostanie choć przez chwilę sam na sam z tą szarlatanką, to ona znajdzie sposób, żeby mu kompletnie zawrócić w głowie. Na skutek tego Gareth siedział następnego popołudnia we własnym powozie w towarzystwie rozgadanego kuzyna, wróżki i narastającego bólu głowy.

– Idziemy na bal w przyszły czwartek – paplał wesoło Ned – i spotkamy tam przyszłą żonę Blakely’ego. Chciałbym go zobaczyć zakochanego. Umieram z niecierpliwości!

Madame Esmerelda poprawiła chustę na głowie – tym razem czerwoną – i zerknęła ostrożnie na Garetha.

– Zobaczymy.

– Zobaczymy? – powtórzył Ned niepewnie. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zobaczymy tę kobietę. Nie twierdziłam, że twój kuzyn ją pozna. Sądzę, że czas ich prawdziwego spotkania jeszcze nie nadszedł.

– Jeszcze nie? A ile czasu to potrwa?

W oczach Jenny rozbłysło rozbawienie, choć na jej ustach nie pojawił się uśmiech.

– Trudno powiedzieć. Czas nie jest odmierzany w dniach, miesiącach czy latach, a w zadaniach. Są trzy.

– W zadaniach? – wyjąkał zaskoczony Ned.

– W zadaniach? – rzucił Gareth. – Nie wspomniałaś o zadaniach.

– Tak? A co takiego mówiłam? – Z niewinną miną Jenny wbiła oczy w sufit powozu, jakby próbowała sobie przypomnieć.

Gareth wyjął z kieszeni notes i odnalazł właściwą stronę.

– „Dokładnie o godzinie dziesiątej trzydzieści dziewięć zobaczy pan kobietę, która jest panu przeznaczona. Poślubi ją pan, jeśli podejdzie pan do niej w wyznaczony...” – Urwał i przeniósł spojrzenie na wróżkę.

Wyraz niewinności zniknął z jej twarzy. Doskonale wiedziała, jakich słów użyła! Celowo doprowadziła do tego, że zacytował jej przepowiednię!

– uznał w duchu Gareth.

– Jeśli podejść do niej w wyznaczony przez ciebie sposób – dokończył głosem bez wyrazu.

– Właśnie.

Miał się za spryciarza, pomyślała Jenny. Chciał ją sprowokować do oświadczenia, które łatwo będzie obalić. Był zbyt zadufany i pewny, że udało mu się zapędzić ją w kozi róg. Nie docenił jej. Tak

się skoncentrował na własnym zwycięstwie, że nie spostrzegł furtki, którą zostawiła otwartą.

– Mnie nigdy nie wyznaczała pani żadnych zadań – powiedział rozżalony Ned.

– To prawda, ale pomyśl tylko, jakim ogromnym wyzwaniem będzie dla twojego kuzyna próba przekonania jakiejś kobiety, żeby go pokochała. Jeżeli nie wyznaczę mu zadań, posłuży się logiką i nietrudno przewidzieć skutki. Nie potrzebujesz zdań. Ciebie wszyscy lubią od pierwszego wejrzenia.

– A jakie jest pierwsze zadanie? – wtrącił się Gareth, zaciskając pięści, żeby zapanować nad gniewem. – Mam oczyścić stajnię z gnoju? Zabić lwa? A może zrząbać cały gaj drzew pomarańczowych?

– Wydaje mi się, że to nie będzie bolesne. Musi pan tylko wyrzeźbić figurkę słonia.

– Słonia? – Gareth wzniosł oczy pod sufit. – Dlaczego słonia?

Powóz zwolnił i zatrzymał się. Lokaj otworzył drzwi. Drobiny kurzu zatańczyły w promieniach słońca przed twarzą madame Esmereldy i nadały jej wygląd... wręcz mistyczny. Do licha z nią! – pomyślał rozeźlony Gareth.

– Jestem tylko przekazicielką woli duchów – stwierdziła Jenny. – Podobnie jak pan będzie tylko przekazicielem słonia. Ofiaruje go pan przyszłej żonie podczas pierwszego spotkania. – Z uśmiechem na ustach wyskoczyła z pojazdu.

Bez wątpienia znajdzie sposób, by wręczyć podarunek, nie tracąc godności, uspokoił się w duchu markiz. Jeśli ta wiedźma sądziła, że on wyjdzie przez nią na głupca, to była w błędzie. A może liczyła na to, że wymyślając zbyt uciążliwe zadania, skłoni go do wycofania się z zakładu? Gdyby Gareth nie wypełnił warunków postawionych przez madame Esmereldę, to nie mógłby udowodnić jej oszustwa. A to by oznaczało, że Ned nadal będzie się z nią widywał. Nie wolno do tego dopuścić!

Była niemal pewna zwycięstwa, sądząc po triumfalnym kroku, jakim wkroczyła do magazynu mód, uznał Gareth. Szedł zatopiony w myślach i nie zwracał uwagi na Neda, który wskazywał madame Esmereldzie nieodzowne, jego zdaniem, dodatki. Gareth ledwo zauważył, że madame Esmerelda została poproszona do pokoju na tyłach. Nie lubił przegrywać i nie zamierzał dopuścić, by pokonała go jakaś oszustka. Początkowo, kiedy sądził, że poradzi sobie z nią bez trudu, nie mógł się doczekać wyzwania. Zadania! Też coś! Nie pozwoli, by to szaleństwo trwało dłużej.

– Ned – zwrócił się do młodego kuzyna, który zajął miejsce na jednym z krzeseł rozstawionych w poczekalni. – Jak sądzisz, czy madame Esmereldzie będzie potrzebny szal?

– Wydaje mi się...

– Kup jej. – Gareth podał mu banknot.

Ned zmarszczył brwi, ale wziął pieniądze.

– Chyba powinna go wybrać modniarka. Co ja wiem o kobiecych szalach? Mógłbym...

Gareth powstrzymał potok słów kuzyna jednym spojrzeniem.

– Moim zdaniem, miałyby dla niej znacznie większą wartość, gdybyś ty go wybrał.

Ned zdobył się na słaby protest, który Gareth zdławił bez trudu. Wkrótce młodzieniec wyszedł.

W momencie, gdy zamknął za sobą frontowe drzwi, uchyliły się drzwi pracowni i jedna ze szwaczek wyjrzała do poczekalni. Trzymała naręczę kolorowych jedwabi.

– Czy madame znajduje się obecnie w stanie, w którym mogłaby mnie przyjąć? – zapytał Gareth.

– Jak pan sobie życzy, milordzie – odparła kobieta i jej usta rozciągnęły się w nieszczerym uśmiechu.

Otworzył wskazane przez nią drzwi. Na wprost wejścia, na pustej ścianie znajdowało się lustro, a jemu zaparło dech w piersiach na widok postaci, którą nim zobaczył. Madame Esmerelda nie miała na sobie balowej sukni. Właściwie nie miała na sobie prawie nic – poza cieniutką, spraną koszulką. Szwaczka musiała uznać go za kochankę klientki, bo inaczej z pewnością nie pozwoliłaby mu wejść. Okazało się, że pod falbaniastymi, jaskrawymi spódnicami, które leżały teraz w nieładzie, madame Esmerelda ukrywała cienką talię, pełne piersi oraz zgrabne nogi, a pod chustą – długie, kręcone włosy, które sięgały aż do pasa.



Madame Esmerelda stała jak słup soli, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Gdyby była damą, Gareth przeprosiłby i pospiesznie opuścił pokój. Potrafił jednak zapanować nad nagłym podnieceniem wywołanym nie tylko widokiem pięknej, zmysłowej istoty, lecz także wyzwaniem, jakie mu rzuciła. Dlatego tak gwałtownie zapragnął osiąść tę kobietę, ale uprzytomnił sobie, że chciała zrobić z niego idiotę, a z Neda ofiarę. Markiz Blakely ukrył się więc za bezpieczną zasłoną rzeczowości.

– Wygrałaś, madame Esmereldo – powiedział.

– Nie będzie żadnych zadań. Dam ci sto gwinei, jeśli powiesz Nedowi, że jesteś oszustką, i znikniesz z naszego życia.

– Proszę natychmiast stąd wyjść.

– Zastanów się. Wątpię, czy uda ci się tyle z niego wyciągnąć, a te pieniądze wystarczą ci na wygodne życie przez parę lat.

Madame Esmerelda odetchnęła głęboko i jej cudowne piersi zakołysały się pod cieniutkim muślinem.

– Nie zrobiłabym tego za sto... – zaczęła.

– Dwieście.

Potrząsnęła głową z oburzeniem.

– Ani za dwa tysiące. Nawet za dziesięć.

– Czyżby? – Obrażliwie przesunął spojrzeniem po jej spranej, niemal przezroczystej koszulce. – Zrobiłabyś to za dziesięć, ale zrobisz za dwieście.

Odwróciła się od lustra z wyciągniętą ręką i palcami zakrzywionymi niczym szpony. Zasłużył

sobie na policzek, a nawet na coś więcej za obelgę, jaką było to wymowne spojrzenie, uznał w duchu Gareth. Nie mógł jednak pozwolić, by madame się do niego zbliżyła. Nie odpowiadał za siebie, gdyby znalazła się w zasięgu jego ramion.

– Daj spokój z tym udawanym oburzeniem.

Musisz przyznać, że to najlepsze rozwiązanie. –

Gareth pochylił głowę w ironicznym ukłonie i wyszedł z pokoju.

Jak tylko zamknął za sobą drzwi, z jego twarzy zniknął impertynencki uśmieszek. Rozgrywka pomiędzy nimi przestała być wojną podjazdową o przyszłość Neda. Madame Esmerelda była inteligentna i podstępna. Gdyby zorientowała się, że ma nad nią władzę, wykorzystałaby ją bez skrępowań. Zacisnął dłoń w pięści. Podczas pobytu w brazylijskiej dżungli skatalogował blisko tysiąc gatunków owadów. Teraz przywołał przed oczy ich obrazy. Karaluchy. Jadowite, włochate gąsienice. Larwy. Starał się skoncentrować na tych obrzydliwych stworzeniach. Wyobraził sobie, że pełzają po jego skórze. Robił to aż do momentu, gdy zniknął mu przed oczu obraz zmysłowej madame Esmereldy. Jenny odzyskała panowanie nad sobą dopiero w chwili, gdy trzęsącymi się rękami umocowała na sobie ostatni element obrzydliwego kostiumu madame Esmereldy. Gorzej być nie mogło! Markiz ujrzał ją bez stroju, który traktowała jak bezpieczne schronienie. Na domiar złego musiała znosić ukłu-

cia szpilek i poszturchiwania szwaczki, która odnosiła się do niej z pogardą, ponieważ żywiła paskudne podejrzenia co do stosunków łączących ją z markizem Blakelym. Nie potrafiła orzec, co było bardziej oburzające – spojrzenie, jakim ją obrzucił, czy jego przeświadczenie, że za odpowiednią cenę byłaby gotowa opuścić Neda. Już pierwszego dnia przestało jej zależeć na pieniądzach Neda. Za żadne skarby świata nie zostawiłaby teraz go na pastwę pozbawionego ludzkich uczuć kuzyna. Wpadła do poczekalni, zapominając o ukryciu włosów pod chustą.

Markiz opierał się plecami o ścianę obok nieubranego manekina. Otworzył oczy, gdy głośno zatrzasnęła za sobą drzwi. Nim zdążył się poruszyć, dźgnęła go palcem w pierś, piorunując wzrokiem.

– Nawet jeżeli pan nie dostrzega niczego poza chłodnymi, obiektywnymi faktami, to nie oznacza, że wolno panu redukować ludzi do liczb.

– Co w ciebie wstąpiło?

Jeszcze raz dźgnęła go w pierś.

– Nie ma pan pojęcia, czego naprawdę potrzebuje pana kuzyn ani dlaczego rozmowy ze mną są mu niezbędne. Tego nie da się ująć w żadnych regułkach ani liczbach.

– Dobrze. – Blakely wbił spojrzenie w jakiś punkt na suficie. Nie raczył nawet spojrzeć jej w oczy. – Więcej nie będę próbował cię przekupić, obiecuję.

– To za mało. Nawet jeśli zrezygnuje pan z łapówki, to wymyśli pan co innego. Moje przepowiednie sprawdzały się wielokrotnie. Może pan krytykować moją znajomość z Nedom do woli, ale i tak nie zdoła pan zrozumieć, na czym ona polegała. Blakely odepchnął się od ściany.

– Możesz sobie dyskredytować fakty i liczby, ale to właśnie są dowody. Tezy muszą znaleźć potwierdzenie w realnych danych.

– I własne postępowanie uważa pan za przeprowadzanie dowodu? – rzuciła Jenny. – Przecież pan ogranicza się do złośliwości, zniewag i obelg.

– Co ty możesz wiedzieć o dowodach naukowych?

– Pan należy do tych naukowców, którzy przyszpilają owady w gablotach, żeby je studiować. Po wielomiesięcznej obserwacji ich zasuszonych odwłoków triumfalnie ogłaszają światu wielkie odkrycie: wszystkie owady są martwe! Byłby pan szczęśliwy, gdyby dywagacje naukowe wzięły górę nad ludzkimi uczuciami.

Markiz Blakely przechylił głowę na bok i przyglądał się z taką uwagą Esmereldzie, jakby chciał z jej rysów wyczytać jakieś ukryte znaczenia.

– Badam zachowania zwierząt. Kwestią zasadniczą jest więc dla mnie pozostawienie obiektów moich badań przy życiu. Pozostała mi do rozstrzygnięcia wątpliwość: czy ty sama wierzysz we własne kłamstwa, czy tylko starasz się oszukać Neda. Możesz to uznać za komplement, ale uwa-

zam cię za zbyt inteligentną, aby przyjąć to pierwsze rozwiązanie.

– Naturalnie. Nie potrafi pan uwierzyć w nic, czego nie da się dotknąć i spróbować.

– Uznaję twierdzenie Pitagorasa oraz to, że w teorii Lamarcka\* o dziedziczeniu cech może się kryć ziarno prawdy. Natomiast nie potrafię uwierzyć w przeznaczenie i przepowiadanie przyszłości.

– W przeznaczenie, przewidywanie przyszłości i uczucia. – Jenny pstryknęła mu palcami przed nosem. – Tego, co naprawdę ważne w życiu, nie da się zamknąć w sztywnych formułkach ani opisać w monografii.

– W monografii?

– Powinien pan siebie posłuchać. Mówi pan o Lamarcku, zamiast rozmawiać o przyszłości kuzyna. Pan jest pozbawionym ludzkich uczuć automatem.

– Automatem?

– Tak, ale to nie oznacza, że wszyscy wokół pana mają stać się automatami.

Gareth zacisnął dłonie w pięści. Jenny cofnęła się o krok, podejrzewając, że pod wpływem emocji posunęła się za daleko. Madame Esmerelda z pewnością nie pozwoliłaby sobie na uniesienie się gniewem.

\* Jean Baptiste de Lamarck, (1744–1829), biolog, ewolucjonista,

prof. w Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, członek Akademii Nauk, (przyp. red.).

Kiedy Blakely wreszcie się odezwał, jego głos był całkowicie pozbawiony emocji.

– Powinnaś była przyjąć dwieście funtów. Po tej scenie z prawdziwą przyjemnością udowodnię ci oszustwo.

Kiedy powóz zajechał przed mieszczący się w samym sercu dzielnicy Mayfair pałac, którego jedynym mieszkańcem obecnie był Gareth, zaczęło padać. Nie była to ciepła brazylijska ulewa, lecz lodowata, anemiczna mżawka typowa dla Londynu. Jest pozbawionym ludzkich uczuć automatem, tak? Czemu zatem targa mną wściekła furia? – zadał sobie w duchu pytanie Gareth, wysiadając z pojazdu. Natychmiast otoczyła go służba, która próbowała doprowadzić chlebobawcę suchą nogą do rezydencji.

– Zostawcie mnie w spokoju – polecił. – Zamierzam się przespacerować.

Służący wymienili spojrzenia i bez słowa zrobili mu przejście.

Do pieszych wędrówek przywykł w Brazylii. Był to jedyny sposób przeprowadzenia codziennego obchodu stanowisk obserwacyjnych. Przyzwyczajenie do aktywności fizycznej przywiózł do Londynu, jednak tutaj ulice były brudne i pozbawione osłaniającego głowę baldachimu z szerokich liści rosnących w dżungli drzew. Ale w takich chwilach jak ta – kiedy musiał zebrać myśli – bardziej niż kiedykolwiek potrzebował samotno-

ści i wysiłku fizycznego. Zanurzył się w mrok. Zimny deszcz spływał strumyczkami po ubraniu Garetha, ale wściekłość nie przygasła. Madame Esmerelda nie miała racji. To nie nauka zabijała uczucia, a Londyn i socjeta. Gareth spędził wiele lat w lasach deszczowych, gdzie na każdym skrawku ziemi kłębiło się życie i szalały barwy. Tutaj pomiędzy jednym prostokątnym, ceglany budynkiem a drugim prostokątnym, ceglany budynkiem płynęły jedynie strugi błota. Liście oblepiały umierającą trawę jak wypłowiwała glina. Londyn był jałowy. Deszcz zmywał wszystko poza najbardziej uporczywym z miejskich zapachów – zapachem węgla i zimnych, wilgotnych kamieni. Opuścił Londyn jedenaście lat temu, bo dusił się w arystokratycznych salonach. Musiał jednak wrócić. Polegał na dyscyplinie naukowca, chłodnym obiektywizmie i samokontroli. Już dawno pojął, że nigdy nie będzie pasował do tak zwanej elity towarzyskiej. Przez ostatnie miesiące co rano wertował przywiezione z Brazylii notatki, żeby nie zapomnieć, kim jest naprawdę. Bez tego zapomnialby o tym, co naprawdę ważne, i pogrążył się bez reszty w niekończących się obowiązkach markiza. Już od ponad półgodziny brnął przez błotniste kałuże. Przemókł do szpiku kości i gdyby nie kipiąca w nim złość i szybkie tempo marszu, zapewne by przemarzł. Nogi same zaniósły go pod dom madame Esmereldy. Ulice w tej okolicy były znacznie

brudniejsze niż w jego eleganckiej dzielnicy, po kocich łbach płynęły strugi brunatnej wody, zmywając z bruku końskie odchody. W tych stronach bezwątpienia nie było zbyt bezpiecznie. Mieszkańcy nie należeli do szacownych obywateli, choć nie zaliczali się jeszcze do biedoty. Odnalazł wzrokiem okna jej mieszkania. W suterenie, pod schodami. Pomarańczowy blask bijący z tych okien nasunął mu skojarzenie z gorącą herbatą i ogniem płonącym w kominku. Opanowała go całkowicie irracjonalna złość, że ta kobieta wygrzewa się w ciepłym domu, podczas gdy on skrada się w deszczu.

Ta reakcja była równie irracjonalna, jak pytanie duchów o przyszłość. I równie idiotyczna, jak uwodzenie kobiet za pomocą słonia z drewna. Oraz – co musiał jednak przyznać – także niepojęta, jak oszustka odmawiająca przyjęcia kilkuset funtów w zamian za drobiazg niewart wzmianki. Może właśnie dlatego coś ciągnęło Garetha do jej drzwi. W przemoczonych butach chlupotało mu głośno, kiedy schodził po stopniach prowadzących do suterenu.

Nagle postanowił stanąć oko w oko z madame Esmereldą i zmiażdżyć ją siłą swojej logiki i dyscypliny naukowej. Chciał, żeby poczuła się wytracona z równowagi. Chciał też, by nie miała racji, żeby słuszność była po jego stronie. Co za idiotyczny pomysł! Co za bezmyślność! A jednak...

Zapukał i czekał.

Madame Esmerelda otworzyła drzwi. Trzymała



w ręku łożową świecę, która okropnie kopciała, ale wydobywała z mroku jej twarz. Spostrzegł, że jej źrenice zwężyły się, gdy zobaczyła, kto stoi w progu. Nie odezwała się ani słowem, nie zaprosiła go do środka, tkwiła z otwartymi ze zdumienia ustami, tarasując wejście.

Nie miała na sobie idiotycznego kostiumu.

Była ubrana w prostą suknię z grubej, ciemnej wełny, spod której wystawał przy szyi rąbek białej, płóciennej koszuli. To skierowało myśli Garetha na to, co wydarzyło się po południu, i uświadomiło mu, że tylko dwie warstwy materiału dzieliły go od miękkiego, kobiecego ciała.

Powietrze stało się nagle ciężkie. Poczul dławienie w gardle, a jego umysł spowiła gęsta mgła, w której utonęła przemowa, którą sobie wcześniej przygotował.

– Wiesz, dlaczego uważam cię za oszustkę? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Bo się mylisz. I to bardzo.

Gorączkowo szukał w pamięci przygotowanej przemowy: „Nauka udziela odpowiedzi, i to ona stawia nas ponad tymi, którzy nie zadają pytań”. Zanim zaczął, popełnił kolosalny błąd: spojrzął w oczy madame Esmereldy. Dotąd wydawało mu się, że były czarne jak u Cyganki. Teraz z niewielkiej odległości i w świetle świecy przekonał się, że są szafirowe.

To proste spostrzeżenie wystarczyło, by wszelkie myśli wyleciały mu z głowy. Gareth został

pozbawiony podstawowej tarczy ochronnej, jaką stanowiło logiczne myślenie.

– Dlaczego pan sądzi, że się mylę?

– Nie jestem automatem. – Te słowa wyrwały się chyba z samego dna jego duszy.

Gareth zrobił kolejny krok naprzód. Esmerelda nie przestawała patrzeć mu w oczy, nie była w stanie odwrócić wzroku, tak samo jak on. Jej piersi wznosiły się i opadały w tempie oddechu. Wyciągnął rękę i zgasił świecę palcami. To był odruch samozachowawczy. Musiał usunąć sprzed oczu ten zmysłowy obraz, zanim wypali się na trwale w jego pamięci. Świeca zaskwierczała i jej płomyk zgasł między jego wilgotnymi palcami. OczymadameEsmereldy zniknęływciemnościach. Wszystko na nic. Nadal czuł jej zapach, a słabe światło ulicznej latarni okazało się jednak za silne, by ukryć przed nim, że oblizwała wargi czubkiem języka. Zalała go fala gorąca.

– Nie jestem automatem – powtórzył Gareth i wyciągnął rękę. Tym razem jego palce musnęły ciepłą skórę jej policzka.

Esmerelda nadal stała w miejscu, nie odsunęła się nawet wtedy, gdy on się pochylił, spojrzała na niego w niemym zaproszeniu. Na ten widok resztką rozumu opuściła Garetha.

– Niech mnie diabli porwą – powiedział – jeśli pozwolę, abys jeszcze kiedykolwiek nazwała mnie beznamiętnym.

## **Rozdział trzeci**

Madame Esmerelda z pewnością nie tkwiłaby jak wrośnięta w ziemię. Natomiast w Jenny Keeble nagle obudziła się potrzeba bliskości i pożądanie. Dlatego pozostała na miejscu, a właściwie sama wsunęła się w ramiona markiza. Ze zdumiewającą delikatnością dotknął wargami jej ust. Działał bez pośpiechu, ale i bez wahania. Jenny wyczuła w nim mistrza. Każde doznanie – leciutkie przesunięcie językiem po jej dolnej wardze, otarcie się torsem o piersi, dotyk rąk obejmujących talię – wywoływało odzew w jej ciele. Zapragnęła tego, czego odmawiała sobie od lat.

Blakely odsunął się lekko, wszedł do środka i jedną ręką zatrzasnął drzwi. Ten odgłos wyrwał Jenny z rozmarzenia. Wystarczyło jedno ukradkowe spojrzenie na twarz markiza, by zrozumiała, że popełniła głupstwo. Przyglądał się jej czujnie.

Pomimo namiętności, jaką wyczuław jego pocałunku – a może tylko wyobraziła ją sobie – na jego twarzimalował się wyraz zastanowienia. Najwyraźniej jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Chyba już pan udowodnił to, co zamierzał – powiedziała z goryczą.

Nie od razu zareagował na słowa Jenny.

– Bynajmniej. Podaj mi dłoń.

Cofnęła się o krok.

– Chyba wystarczy jak na jeden wieczór.

– Nie sądzę. Pragniesz mnie tak mocno jak ja ciebie.

Jenny zachłysnęła się powietrzem.

– Ja... ja nie...

– Nie kłam. Powiedziałaś mi już wszystko, co powinienem wiedzieć. Nie jesteś wróżką.

Blakely oparł się plecami o drzwi. Robił wrażenie piekielnie opanowanego jak na mężczyznę, który zadeklarował, że jej pragnie. Miał rację: marzyła, żeby znowu ją objął i pocałował.

– Podaj mi rękę. Zapewniam, że nie gryzę.

– Tak? A po co?

– Chcę ci powróżyć.

– Przecież pan nie wierzy we wróżby – szepnęła zmieszana Jenny.

Podszedł do niewielkiego stolika i dwoma palcami podniósł okrywające go czarne płótno.

– Nie wierzę w to.

Upuścił tkaninę na podłogę. Spłynęła mu do stóp z cichym, przypominającym westchnienie

szelestem. Popatrzył na mosiężną tackę, na której Jenny paliła kadzidełka. Przygotowała ją dla kolejnego klienta. Wziął w palce grube strużyny.

– W to również nie wierzę.

Na leżący na podłodze czarny materiał posypały się sandałowe wióry.

– Powiem ci, w co naprawdę wierzę: w inteligencję, w sprytnie sztuczki. – Zrobił dwa długie

kroki i znalazł się tuż przy Jenny. – Podaj mi dłoń,

a pokażę ci, jakie gierki stosujesz. – Odwrócił jej

dłoń wnętrzem do góry i poddał ją oględzinom. –

Nie ma specjalnej różnicy pomiędzy moją umiejętnością czytania z ręki a twoją. Może z jednym

wyjątkiem: nie powołuję się na kosmiczne inspiracje.

– Czubkami palców przesunął po liniach na

jej dłoni. – Po pierwsze, czytam z twojej ręki, że

otrzymałaś staranne wykształcenie, najprawdopodobniej

w jednej z niewielkich szkół na prowincji,

dla panien z ziemiańskich rodzin.

Jenny głośno wciągnęła powietrze.

– Ja... Na jakiej podstawie pan twierdzi...

Markiz zaczął wyliczankę, dotykając kolejno

każdego z jej palców.

– Wiesz o przyszpilaniu owadów do plansz.

Orientujesz się, jaki ukłon należy wykonać na

powitanie arystokraty. Siedzisz z prostymi plecami,

jakby w dzieciństwie kładziono ci książkę na

głowie, żeby nauczyć cię prawidłowej postawy.

Mówisz jak dama, z nienaganną dykcją i wytwornym

akcentem. – Zamilkł i pogładził kciukiem

opuszkę jej małego palca. – Zabrakło już palców, a jeszcze nie skończyłem wyliczać swoich spostrzeżeń. Jenny próbowała oswobodzić rękę, ale jej na to nie pozwolił. Przesunął palcami po wnętrzu jej dłoni. Od lat sama prała swoje rzeczy, więc jej skóra była szorstka. Zaciekawiała się przelotnie, czy precyzyjny umysł Blakely’ego nie dokonywał przypadkiem obliczeń, ile prań musiała wykonać, aby osiągnąć ten efekt.

– Nie przypuszczam, żeby twoja rodzina była zamożna. Być może za naukę płacił jakiś dobroczyńca albo patron?

Jenny mocno zacisnęła pięści.

Markiz rozprostował jej palce i ujął jej obie ręce w swoje dłonie.

– Powinnaś zostać guwernantką. Zapewne temu właśnie miała służyć twoja edukacja.

Jenny nie czuła się tak straszliwie obnażona nawet wtedy, gdy stała przed nim jedynie w cieniutkiej koszulce.

– Nie chciałaś być guwernantką albo zostałaś skompromitowana i musiałaś pożegnać się z myślą o tego typu posadzie.

Oby tylko nie domyślił się prawdy! – błagała w duchu ogarnięta paniką Jenny. To dałoby mu nad nią władzę. Jeśli Blakely dowie się o skandalu sprzed lat, o tym, że zgodziła się kiedyś zostać utrzymanką, to bez wątpienia uzna, że byłaby gotowa przyjąć tę rolę także i teraz.

Markiz podniósł wzrok znad dłoni Jenny i wbił spojrzenie w ścianę za jej plecami.

– Wydaje mi się, że i jedno, i drugie. Trudno mi sobie wyobrazić, że mogłabyś potulnie podporządkować się cudzym żądaniom. Zresztą, gdybyś pragnęła zostać guwernantką, z pewnością znalazłabyś sposób, aby to osiągnąć. Tak czy owak, idę o zakład, że nie byłaś w szkole szczególnie lubiana.

Jenny odskoczyła do tyłu, ale Blakely i tym razem nie pozwolił jej się wyrwać, zaciskając palce wokół jej nadgarstka.

– Gdybyś była lubiana przez koleżanki – ciągnął wywód – to zapewne miałabyś znacznie atrakcyjniejsze perspektywy życiowe niż kariera oszustki.

Wydaje mi się, że fundamentalne znaczenie dla wyboru przez ciebie takiej drogi życiowej musiał mieć fakt, że bardzo wcześnie odkryłaś, iż wszyscy kłamią. Dziecko wychowywane w dobrej, kochającej rodzinie nie dokonuje takich odkryć. Ile miałaś wtedy lat?

– Dziewięć. – To wyznanie samo wyrwało się z ust Jenny. Potwierdziła przypuszczenia Blakely’ego. Teraz już wiedział wszystko. Jenny zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego triumfalnej miny. Markiz jeszcze mocniej objął jej nadgarstek, a palcami drugiej ręki pogładził jej policzek. Niechętnie uniosła powieki. Powinien pisać z zadowolenia, a tymczasem w jego spojrzeniu nie dostrzegła satysfakcji.

– Byłaś dzieckiem nad wiek rozwiniętym – powiedział i odwrócił wzrok. – Ja miałem dwadzieścia jeden lat. Jak teraz Ned.

Blakely nie uważał się nad sobą. Mówił tonem naukowca stwierdzającego jakiś fakt. Tylko lekkie napięcie wokół ust zdradzało, że to wspomnienie nie należało do długiego ciągu obojętnych wydarzeń, jakie przytrafiają się w życiu. Jenny poczuła nagle niepojętą pokusę, by pocałować obejmując jej nadgarstek palce.

– Twoją przyszłość zdołałbym zapewne odczytać z równą łatwością, jak przeszłość – stwierdził i znowu pochylił głowę nad jej dłonią. – Powiedz, jak ci na imię. Nie Esmerelda, tego jestem pewien.

– Nie? A dlaczego?

– Żadna zubożała angielska rodzina nie wybrałaby dla córki tak wymyślnego imienia. Zresztą, drewno sandałowe i dziwaczny kostium świadczą o tym, że imię „Esmerelda” to kolejny element budowania wymyślonej przez ciebie postaci. Podaj mi prawdziwe imię.

Jenny zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Margaret – rzucił domyślnie markiz. – Zdrobniale Meg.

– Esmerelda – oznajmiła z naciskiem Jenny.

Usta Blakely’ego znowu wygięły się w ironicznym uśmiechu.

– Nic ci to nie da, Meg. Prędzej czy później i tak zdradzisz mi prawdziwe imię.

– Gdyby nawet „Esmerelda” nie była moim



prawdziwym imieniem, to czemu miałabym się do tego przyznać?

– Bo do tego momentu nie pozwolę ci zwracać się do mnie per Gareth – odrzekł.

– Dlaczego miałabym się zwracać do pana po imieniu, milordzie?

– Widzę przyszłość tutaj... – Przesunął palcem wzdłuż linii jej dłoni. – I tutaj... – Dotknął jej policzka pod okiem. – I tutaj.

Kciukiem musnął wargi Jenny i natychmiast je rozchyliła, mimo że wyraz twarzy markiza nie stracił nic z powagi.

– Nie ożenię się z żadną nieszczęsną dziewczyną, którą mi wskażesz – orzekł. – Moja przepowiednia przeciw twojej. Będziesz mi mówić po imieniu, kiedy pójdziemy do łóżka. Założę się, że będziesz krzyczała: Gareth!

– Jeżeli w ten sposób stara się pan mnie przekonać, że nie jest automatem, to radzę zmienić ton – odparła oburzona Jenny. – Takim mógłby pan rozmawiać o cenie ziemniaków, ponieważ...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie zaprotestowała. Mało tego, gdy próbował się odsunąć, sama przyłgnęła do jego warg.

– Widzisz? – mruknął. – Będziesz krzyczała.

– Przecież ustaliliśmy już, że ja nie jestem beznamiętna. Chciałabym wiedzieć, do czego pan zmierza.

Dopiero w tym momencie Jenny uświadomiła

sobie, że od paru minut stali w zimnym przedsionku. Blakely położył rękę na klamce.

– Chcesz wiedzieć, co będzie, kiedy już pójdziemy do łóżka? Wygram. – Odwrócił się i wyszedł.

Deszcz przestał padać, a ulice spowiła lekka, wirująca mgła, która tłumiła odgłos kroków i szybko pochłoneła jego oddalającą się sylwetkę. Jenny zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Ukryła twarz w dłoniach i z całej siły zacisnęła powieki.

Nie potrafiła jednak wyrzucić z pamięci dotyku ani smaku jego ust. Wiedział już wszystko – od surowego szkolnego rygoru, w jakim upływało jej dzieciństwo, poczynając, a na całej głębi pociągu, jaki do niego czuła, kończąc. Wydobył na jaw jej najstaranniejsze skrywane tajemnice. Także te, do których nie przyznawała się sama przed sobą: skrywaną namiętność, pragnienie, by być kochaną. Trzymał ją w ramionach. Całował. Zapowiedział, że w łóżku będzie wykrzykiwała jego imię. Jednak ani razu się nie uśmiechnął.

Jenny odetchnęła głęboko i obiecała sobie, że zanim pozwoli markizowi spełnić zamiary, zmusi go, aby okazał jej szacunek.

To nie może się udać, pomyślał bezradnie Gareth, spoglądając na tacę z przygotowanym przez jego siostrę, Laurę Edmonton, poczęstunkiem. Kruche ciasteczka, wytworne tartinki. Kiedyś, przed laty, lubił i jedno, i drugie. Leżały teraz

przed nim w idealnie równych rzędkach jako oferta zawarcia rozejmu. Gareth mógł jednak liczyć najwyżej na haniebny, smętny odwrót.

Jego siostra, ściślej mówiąc, znacznie od niego młodsza przyrodnia siostra, uśmiechnęła się, ale w jej oczach nie było nadziei ani radości, tylko obawa.

– Herbaty?

Bitwa nieodmiennie zaczynała się od herbaty.

– Poproszę – odparł Gareth.

Potrafił skutecznie zarządzać posiadłościami ziemskimi. Nie bał się zaszyć na całe miesiące w lasach deszczowych Brazylii. Natomiast w tym przytulnym saloniku z różowymi jedwabnymi draperiami i dobiegającym zza okna cichym szumem wody z fontanny... Cóż, w tym otoczeniu czuł się za każdym razem stłamszony i ujarzmiony. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spoczywała nie na otoczeniu, lecz na Laurze. Zerknął na siostrę, którawskupieniu, z zaciśniętymi ustami, starannie odmierzała łyżeczkę śmietanki do filiżanki Garetha – dokładnie tyle, ile lubił.

Co miesiąc Laura podejmowała desperackie próby zyskania aprobaty brata. Tego dnia włożyła najpiękniejszą suknię – z cieniutkiego, różowego muślinu, o szerokich, marszczonych, ozdobionych kokardami rękawach. Ciemnoblond włosy starannie upięła. Podała bratu porcelanową filiżankę z takim namaszczeniem, jakby mogła dzięki temu w magiczny sposób naprawić ich stosunki. Nie-

stety, było to niemożliwe. Kiedy Laura się urodziła, Gareth był tak zajęty kształceniem się w pełnieniu obowiązków markiza, że nie zdołał nauczyć się, jak być bratem.

Teraz, kiedy oboje dorośli, nie potrafili przełamać skrepowania. Gareth zmuszał się do rozmowy, a Laura próbowała uszanować jego wrodzoną małomówność i paplała za nich dwoje.

– Jak ci się podoba moja torebka? – Odstawiła na stolik filizankę i zaprezentowała mu leżący obok niej na sofie kłęb różowego jedwabiu.

Torebka była ozdobiona haftem – różowymi różami z różowymi listkami i różowymi kolcami.

Jej rozmiar wskazywał, że mogłaby pomieścić najwyżej kartę wizytową, oczywiście różową.

U dołu naszyte były ufarbowane na różowo pióra.

Torebka nie była zwyczajnie różowa. Była straszliwie różowa.

Gareth rozpaczliwie szukał w głowie jakichś wyrazów uznania.

– Wydaje się... przydatna?

– Kiedy Alex zaprosił mnie na przejażdżkę, uprzedził, że konie się spłoszą na jej widok. Kazał mi przez całą drogę na niej siedzieć i zrobił tylko jedno okrążenie wokół parku – odparła Laura, patrząc na brata.

Wyraz tych oczu, mówiący, że pomimo wszystko jego opinia miała dla siostry znaczenie, sprawił, że Gareth się zgarbił. Żałował, że niczym sobie na to nie zasłużył. Madame Esmerelda zarzuciła mu,

że jest pozbawiony emocji niczym automat.

W obecności siostry czuł się raczej jak zepsuta marionetka z pozrywanymi sznurkami, niezdolna do wykonywania jakichkolwiek ruchów.

– Myślisz, że mój narzeczony nie cierpi tej torebki? – zapytała cichym głosem Laura.

Tego typu pytania wprawiały Garetha w popłoch.

– Przypuszczam raczej, że torebka mu się podoba, ale szkoda mu czasu na podziwianie haftowanych kwiatów choćby na torebce przyszłej żony.

Siostra skrzywiła się i dopiero wtedy Gareth uświadomił sobie, że określenie „szkoda mu czasu” nie było chyba najszcześniejsze. I że pocieszając ją nieszczerze, uderzył w fałszywy ton. Bo to nie herbata, nie tartinki oraz kruche ciasteczka bądź ich brak były odpowiedzialne za fiasko kolejnych prób nawiązania bliższych kontaktów pomiędzy rodzeństwem. Wina leżała po stronie Garetha. Nie miał pojęcia, jak postępować z siedzącą naprzeciw niego dziewczyną. Była jego siostrą, najbliższą krewną, a jednak stanowiła dla niego zagadkę.

Odgrywali tę scenę od czasu, gdy podczas jednej z krótkich wizyt Garetha w posiadłości ojczyma czteroletnia wówczas Laura zaprosiła dwudziestoletniego brata na herbatę w towarzystwie jej wszystkich lalek. Wtedy Garethowi wydawało się, że kiedy siostra podrośnie i w jej pokoju pojawią się większe krzesła, będzie potrafił z nią rozmawiać.

Obecnie Laura miała dziewiętnaście lat i była zbyt dobrze wychowana, żeby rzucać w niego ciasteczkami i krzyczeć, że zepsuł jej przyjęcie. Odwróciła głowę, jakby zaciekał ją widok za oknem. W rękach coraz mocniej zaciskała kłęb różowego jedwabiu, aż płatki haftowanych róż zmarszczyły się, jakby zwiędły.

– Co będzie, jeśli i ja przestanę mu się podobać?  
– zapytała.

Jeżeli żywisz takie obawy, to nie powinnaś za niego wychodzić, ostrzegł ją w duchu Gareth. Nie powiedział tego na głos, żeby nie przestraszyć siostry i nie wyjść na egoistę. W gruncie rzeczy i na przekór rzeczywistości Gareth nie mógł pozbyć się lęku, że kiedy siostra wyjdzie za mąż, nieudany brat przestanie jej być do czegokolwiek potrzebny. Zaproszenia zaczną przychodzić co drugi miesiąc, potem jeszcze rzadziej, aż ich wzajemne kontakty zostaną ograniczone do wymiany ukłonów podczas przypadkowych spotkań w operze.

– Jeśli naprawdę uważasz, że przestałaś się podobać narzeczonemu, to mogę podwoić twój posag.

Laura spojrzała z wyrzutem na Garetha.

– O co chodzi? – zapytał. – Co takiego powiedziałem tym razem?

– Tak o mnie myślisz, Blakely? – Laura niemal wypluła te słowa. – Wydaje ci się, że musisz zapłacić Aleksowi, aby mu na mnie zależało? Że bez twoich pieniędzy nikt mnie nie pokocha?

Gareth zmełw ustach przekleństwo. To nie tak! Wielokrotnie próbował wybrnąć z tego typu sytuacji, ale nieodmiennie udawało mu się jedynie doprowadzić siostrę do łez. Z doświadczenia wiedział, że najlepiej nic nie mówić, żeby nie mnożyć nieporozumień. W niepojęty sposób ilekroć starał się przekonać Laurę, że wcale nie chciał, by jego słowa zabrzmiały tak, jak zabrzmiały, wychodziło mu: „jesteś głupią gąską”.

Zamiast więc rozwiać jej obawy, Gareth siedział wponurym milczeniu i tak mocno ścisnął wręczki spodeczek filiżanki, aż skruszył delikatną porcelanę, która skaleczyła go w rękę.

– Jak chcesz, możesz go podwoić – odezwała się drżącym głosem Laura. – Nic mnie to nie obchodzi.

Lekarz powiedział kiedyś Garethowi, że istotą obłędu jest powtarzanie tych samych czynności w nadziei na osiągnięcie odmiennego rezultatu. Dlatego właśnie, wbrew przepowiedniom madame Esmereldy, Gareth nie obawiał się, że mógłby się zakochać. To miłość sprawiała, że jego siostra łykała teraz łzy. To miłość kazała mu żywić nadzieję, że Laura nadal będzie co miesiąc przysyłać mu zaproszenia. Krótko mówiąc, miłość to obłęd.

## **Rozdział czwarty**

Odkryłem nowy rodzaj obłędu, pomyślał Gareth, sadząc się na miękkiej kanapie krytego powozu. Nadszedł wieczór balu, w którym miał uczestniczyć wraz z Nede. Minął niemal tydzień od czasu, gdy opuścił mieszkanie Esmereldy, i nie rozumiał, jak do niej żywił, powinien wyparować. Tego wieczoru zamierzał zrobić pierwszy krok na drodze do uwolnienia Neda spod jej wpływu. Wydawało mu się, że zdołał przejrzeć madame. Sklasyfikował ją jak owada, według gatunku i rzędu. Werdykt brzmiał: stu procentowa oszustka działająca z pobudek materialnych. Jej ambicje zostały bez wątpienia rozbudzone w dzieciństwie, kiedy nie potrafiła sprostać oczekiwaniom. Na szczęście dla Garetha była równie bezradna, jak on wobec niespodziewanej namiętności, jaka w nich wybuchała.



Kiedy problem zostanie zdefiniowany, jego rozwiązanie to już błahostka: należało tylko jak najmniejszym kosztem, ale z maksymalną skutecznością pokrzyżować plany Esmereldy, pokazując Nedowi całą jej perfidię. Potem pójść z nią do łóżka i zaspokoić pożądanie, uwalniając się od niego w sposób najprzyjemniejszy z możliwych. Spojrzał na siedzącą naprzeciwko kobietę. Skrzyżowała nogi w kostkach i przesunęła je na bok, żeby nie dotykać jego stóp. Przez całą drogę starannie unikała jego wzroku i nie odezwała się ani słowem. A jednak zdołała go zmusić do rewizji przekonania, do zmiany klasyfikacji. W jego oczach stała się anomalią. Gareth naukowiec uwielbiał wyzwania. Natomiast odpowiedzialny i rzetelny markiz Blakely obawiał się konsekwencji. Pierwsze pytanie, jakie mu się nasunęło, to dlaczego wybrała taką suknię? Gareth nie należał do znawców mody, ale nawet on wiedział, że współczesne damy miały wąskie talie dzięki skomplikowanym gorsetom i głębokie dekolty odsłaniające piersi. Natomiast ich rękawy przypominały nadmuchane balony. Czekał z niecierpliwością na widok bujnych piersi Esmereldy, wyłaniających się do połowy z głęboko wyciętej sukni. Zamierzał pod byle pretekstem musnąć palcami jej kremową skórę na obojczyku. W kreacji, jaką sobie wyobrażał, tego typu zdarzenie było nie tylko możliwe, ale wręcz nieuniknione.

Tymczasem Esmerelda włożyła ciemnobrązową suknię, która w mrocznym wnętrzu powozu wydawała się niemal czarna. Dekolt, wbrew nakazom mody, był bardzo mały, a bufki na rękawach ledwo zarysowane. Żadnych koronek, kokardek ani złotych lamówek. Z pewnością nie miała na sobie gorsetu korygującego figurę.

Wybór takiej kreacji zbił z tropu i rozczerował Garetha. Kiedy madame urządziła mu awanturę u krawcowej, zagłębił się w naukowych notatkach.

Był przekonany, że wróżka wykorzysta jego roztargnienie.

Przecież za cenę jednej przetykanej złotą nitką wstążki mogłaby żyć przez tydzień.

A tymczasem wybrała tak skromną suknię, że musiała chyba staczać o nią z modniarką boje.

Gareth dałby wiele, żeby dowiedzieć się dlaczego.

Stuprocentowa oszustka działająca z pobudek materialnych zażądałaby złotej lamówki przy dekolcie i zmusiłaby Garetha do kupna szafirów dla podkreślenia oryginalnego koloru oczu. Wszelkie inne postępowanie było pozbawione sensu.

Od kiedy Esmerelda wsiadła do pojazdu, Gareth otwarcie się jej przyglądał. Zmobilizował się do odparcia uwodzicielskich sztuczek, a tymczasem madame ostentacyjnie go ignorowała, natomiast pograżyła się w ożywionej rozmowie z Nedom.

Markiz był coraz bardziej zirytowany, bo zachowanie wróżki nie pasowało do stereotypu.

– Ned – mówiła właśnie – nie zapominaj o tym, co ma się dzisiaj zdarzyć.

Ned złożył ręce jak do modlitwy, ledwie panował nad podnieceniem.

– Spotkamy przyszłą żonę Blakely’ego. Jak mam się do niej odnosić?

Gareth skrzywił się. Kuzyn miewał niekiedy irytującą skłonność do dowcipkowania.

Madame najwyraźniej również.

– Z szacunkiem i galanterią, Ned. I pamiętaj, że markiz Blakely nie powinien zawierać z nią znajomości dopóty, dopóki nie będzie gotów ofiarować jej słonia.

– Dobrze. – Ned rozparł się niedbale na miękkim oparciu powozu. – Skoro to konieczne.

Gareth nie przywykł do ignorowania jego osoby. Szczególnie przez kobietę, którą całował.

– Madame Esmereldo.

Niechętnie zwróciła na niego spojrzenie.

– Kiedy już wykonam wszystkie trzy zadania, to jak szybko, twoim zdaniem, oczywiście, zakocham się i oświadczę?

– W ciągu miesiąca. – Jej głos zabrzmiał dość niepewnie, załamał się pod koniec tej niedługiej wypowiedzi.

– To wszystko? Mam zrealizować trzy wyznaczone przez ciebie zadania i odczekać miesiąc, a jeśli nadal nie poślubię żadnej dziewczyny, to Ned będzie musiał przyznać, że jesteś oszustką – podsumował Gareth.

Jeżeli ona potwierdzi, wreszcie będzie miał to, czego potrzebował. Fakt poddający się weryfika-

cji; wynik dający się zmierzyć. I co najważniejsze, ostateczny termin zakończenia upokorzeń, jakimi będą dla niego wyznaczone przez nią zadania.

– Albo przekona się, że duchy miały rację, bo znajdzie pan żonę.

Gareth prychnął lekceważąco.

– Lepiej się weź do rzeźbienia – wtrącił się Ned. Była jeszcze trzecia anomalia, nad którą należało się zastanowić, doszedł do wniosku Gareth.

Ned bez wahania spełniał wszystkie polecenia Esmereldy.

– Nie muszę brać się do rzeźbienia.

– Ale zadanie...! – Ned mało nie udławił się z oburzenia.

– Uznałem, że im szybciej będę to miał za sobą, tym lepiej. – Gareth wyciągnął z kieszeni figurkę. Promień mijanej latarni zaśnił na jej powierzchni. Esmerelda wyciągnęła rękę i przysunęła do twarzy niekształtny klocek, który nosił ślady cięcia i dłubania scyzorykiem.

Gareth uznał, że nie obejdzie się jednak bez wyjaśnień.

– Słoń – oznajmił, wskazując klocek.

– Czy nie mógł pan upodobnić go choć trochę do słonia? Wygląda jak owoc.

Gareth nie lubił być przyłapywany na nieudolności w jakiegokolwiek dziedzinie. Brak umiejętności rzeźbiarskich nie powinien go irytować, a przede wszystkim nie powinno mu zależeć na opinii tej kobiety.

- Wyznaczone zadanie przekroczyło moje możliwości – oznajmił lodowatym tonem.
- Czego się pan spodziewa? Chce pan uwieść dziewczynę figurą geometryczną?
- Uwieść? – Spojrzenie Garetha spoczęło na piersiach Esmereldy. – Myślałem, że mówimy o małżeństwie.

Madame Esmerelda zarumieniła się i wepchnęła mu do ręki mahoniowy klocek.

- Czekać – wtrącił Ned. – Pozwólcie mi zobaczyć. Gareth podał kuzynowi nieudane dzieło i popatrzył mu wymownie w oczy, zapowiadając poważne konsekwencje, gdyby Ned zaczął się śmiać. Młodzieniec ograniczył się do osłupiałego spojrzenia.

- A gdzie jest... eee... trąba? – zapytał.

Gareth pogrzebał w kieszeni i wyciągnął grubą drzazgę.

- Odpadła podczas rzeźbienia.

Madame pokręciła z dezaprobatą głową.

- Cóż, mam nadzieję, że dzisiejsze zadanie nie przekroczy pańskich, jak to pan był łaskaw określić, możliwości – powiedziała.

- Mam dać słonia wskazanej przez ciebie okropnej debiutantce.

Esmerelda potrząsnęła głową.

- I?

- Jest jeszcze jakieś „i”?

- Markizie Blakely, jeśli nie „i”, to „ale”. Ma

pan dać słońca, ale niech się pan postara zrobić coś jeszcze: uśmiechnąć się.

– Uśmiechnąć się? Mam się szczerzyć jak jakiś głupek?

– To nie jest kolejne zadanie – wyjaśniła madame.

– Tylko sugestia.

– Dlaczego miałbym się uśmiechać?

– Uśmiech to wygięcie ust, którym ludzie wyrażają zadowolenie bądź rozbawienie. – Ned zwrócił się do Esmereldy. – Prosi pani o rzecz niemożliwą. To okrucieństwo.

Powóz zatrzymał się i stangret otworzył drzwi.

Chłodne powietrze wdarło się do wnętrza i towarzystwo wysiadło z pojazdu.

Gareth schował kawałek hebanu do kieszeni.

– Nie zamierzam udawać zadowolenia ani rozbawienia.

– A nie mówiłem? – rzucił lekkim tonem Ned. – To niemożliwe.

Madame strzepnęła suknię, żeby wygładzić zagniecenia powstałe podczas podróży.

– A nie przyszło panu do głowy, że naprawdę mógłby pan dobrze się bawić?

– Tutaj? W tym towarzystwie? – Gareth spojrział na rzeźbiście oświetlone wejście. – Ned ma rację, to niemożliwe – orzekł i odszedł.

Ned i Esmerelda ruszyli za nim.

– Fiu! – gwizdnął za nim Ned. – Zimny jak ryba.

– Markiz Blakely, pani Margaret Barnard, pan Edward Carhart. – Głos majordomusa ledwo przebił się przez gwar rozmów tłumu wypełniającego jasno oświetloną salę.

Jenny spojrzała pytająco na markiza, bo to przecież on musiał powiedzieć majordomusowi, kogo ma zaanonsować. Blakely pochylił się i szepnął jej wprost do ucha:

– Moje gratulacje, Meg. Zostałaś wdową i moją daleką kuzynką. Nie próbuj tutaj przepowiadać przyszłości. – Wsunął sobie jej dłoń pod ramię i poprowadził do wnętrza.

Jenny widywała na ulicach latarnie gazowe, które dawały mdłe, pomarańczowe światło. Spotykała również niekiedy lampy naftowe, które niełatwo było napełnić i które, paląc się, wydzielaly słaby rybi odór. W pobliżu domów tak rzęsiście oświetlonych jak ten zdarzało jej się tylko czasem przechodzić. Nocny mrok musiał ustąpić wobec blasku wspaniałych kandelabrow błyszczących niewypowiedzianym bogactwem.

Nigdy czegoś takiego nie widziała. Rozległa sala zdawała się rozświetlona tysiącem złocistych słońc. Nawet najodleglejsze zakamarki były wolne od cienia. Jedyna różnica między tym oświetleniem a światłem dziennym polegała na tym, że tutaj jej brązowa suknia nabrała barwy błota.

Natomiast strój Blakely'ego zdawał się obliczony na zrobienie maksymalnego efektu właśnie w takim oświetleniu. Ciemnoczerwony haft na czarnej

kamizelce przyciągał spojrzenia. Guziki ze szlifowanego gagatu błyszcząły. Widziała wyraźnie subtelną, bogatą fakturę materiału, z którego został uszyty ciemny frak.

Jenny jeszcze nigdy nie odczuwała tak silnie własnej bylejakości. Jej suknia była pospolita i nieefekowna, skrojona najprościej jak to tylko możliwe, łatwa do wkładania i zdejmowania. Wygodna w użyciu dla osoby, która mieszka sama i musi się obywać bez pomocy przy toalecie. A ponieważ na suknię o takim kroju mogła się zdecydować tylko kobieta żyjąca na poziomie o stopień wyższym od biedoty, wybrała rozsądny i praktyczny brąz.

Kiedy popatrzyła na głowy wypełniających wnętrze pań, jej poczucie niższości jeszcze przybrało na sile. Poprzedniej nocy starannie zakręciła włosy na papiloty, a dzisiaj uczesała jej porządnie i związała wstążkami. Natomiast otaczające ją damy miały cudowne loki francuskie, opadające na ramiona z misternie utrefionych fryzur, przyozdobionych kwiatami i jedwabiem, wstążkami mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy, bogatymi i egzotycznymi, przy których jej różowe i buraczkowe kokardy wydawały się wyblakłe. Inne damy poruszały się z gracją, płynęły po sali niczym łabędzie po stawie. Roztaczały wokół siebie aromat ambry i dobrego jedzenia.

Jenny jeszcze nigdy nie widziała tak ogromnego pomieszczenia. Obiegła wzrokiem rząd okalających salę jońskich kolumn, przeniosła wzrok na



udekorowany stiukami sufit wysoko nad głowami ludzi, jakby sala przeznaczona była dla olbrzymów. Stała bezpiecznie na podłodze, nie było więc powodu, by doznała zawrotów głowy. A jednak. Zacisnęła mocno palce na łokciu Blakely'ego.

– Spokojnie, pani Barnard – powiedział. –

Wkrótce wydamy cię za mąż.

Minęła chwila, zanim do Jenny dotarło, że pani Barnard to ona.

– Co takiego?!

– Czy nie po to przyprowadziliśmy cię tutaj? Co ty na to, Ned? Czy wzięliśmy naszą daleką krewną na bal, żeby znaleźć jej drugiego męża? Musimy ustalić wspólną wersję, zanim zaczniemy udzielać wyjaśnień.

– Nonsens! – rzuciła Jenny. – Mój mąż zmarł dopiero przed rokiem. Nie jestem zainteresowana powtórным zamażpójściem, a przyprowadziliście mnie tutaj przez grzeczność, żeby mnie trochę rozweselić.

– Przez grzeczność? – powtórzył z powątpiewaniem Ned. – Blakely? Wymyślmy bardziej wiarygodną bajeczkę.

Jenny uśmiechnęła się do Neda i przeniosła rękę z łokcia markiza na ramię jego kuzyna.

– To musiał być twój pomysł, mój drogi.

Blakely potarł zagięcie ramienia, jakby chciał zetrzeć jej dotyk.

– Zauważ, Ned, z jaką łatwością ona kłamie.

– Nie uśmiecha się pan, Blakely – zauważyła Jenny. – Czy możemy w jakiś sposób poprawić panu nastrój?

Otworzył usta, ale nie pozwoliła mu wygłosić przygotowanej odpowiedzi. Radośnie klasnęła w dłonie.

– Już wiem! – zawołała. – Możemy sprawdzić zegarki!

Blakely spojrział na zegar wiszący w sali, ale Jenny potrząsnęła głową.

– Nie, pański zegarek kieszonkowy.

Minęła chwila, zanim wyjął z kieszeni ciężki złoty zegarek. Otworzył go i spojrział na cyferblat.

– Cóż, pani Barnard. Czyń swoją powinność. Jest dziesiąta trzydzieści osiem.

Ned zadrżał w pełnym napięcia oczekiwaniu. Została już tylko minuta? Wreszcie zobaczy na własne oczy, jak kuzyn się zakochuje. Potem Blakely ożeni się i będzie miał własnych potomków, dziedziców tytułu. To ich będzie traktował jak własność, to im będzie w ten zimny, bezduszny sposób narzucał swoją wolę. A co najważniejsze, madame Esmerelda – i on sam – zostaną uratowani.

Czy minuta już upłynęła? Ned z trudem powstrzymał się od zerknięcia na zegarek. Madame powiedziała przecież, że mają się kierować chronometrem Garetha. A ten drań właśnie go chował do kieszonki! Ned nie wytrzymał i wyrwał złoty dysk z ręki kuzyna. Instrument stawiał mu opór.

Blakely skrzywił się z rozdrażnieniem.

– Przypominam ci, że łańcuszek jest przymocowany do kieszonki.

– Przepraszam – mruknął Ned i wbrew uprzejmym przeprosinom mocno szarpnął łańcuszek.

Blakely nie próbował odzyskać swej własności, więc młodzieniec dodał: – Czy możesz odczepić ten zegarek? Jest nam potrzebny.

– Z przyjemnością – odparł markiz Blakely sarkastycznie.

Całe zamieszanie okazało się jednak niepotrzebne, ponieważ była...

Nadal dziesiąta trzydzieści osiem! Ned westchnął. Minęło tak mało czasu?

Dla pewności sprawdził jeszcze raz.

Nadal dziesiąta trzydzieści osiem. Sfrustrowany Ned westchnął ciężko i przebiegł wzrokiem tłum. Ciekawe, która z tych dam była przeznaczona jego kuzynowi? Żadna nie wydała mu się szczególnie interesująca.

– Ned – mruknęła madame Esmerelda. – Pamiętasz, co ci mówiłam o cierpliwości?

– Przecież jestem cierpliwy – szepnął.

Chrząknęła cicho.

– Twoja stopa.

Ned zamrugał i spojrzał w dół. Jego przeklęta stopa przytupywała ze zniecierpliwienia. Siłą woli unieruchomił ją na podłodze, a że upłynęły co najmniej dwie sekundy, pozwolił sobie znowu spojrzeć na zegarek.

– Nadal trzydzieści osiem? Blakely, czy ten cholerny chronometr jest zepsuty?

Zanim kuzyn zdążył odpowiedzieć, stało się.

Wskazówka minutowa drgnęła, zadygotała i się posunęła. Po plecach Neda przebiegł dreszcz.

– Rozpoczęła się trzydziesta dziewiąta minuta

– zaintonowała śpiewnie madame.

– Biada nam, mężczyznom. – Ciekawe, jak Blakely zdołał zachować tak znudzoną minę, gdy cała jego przyszłość wisiała na włosku? – zadał sobie w duchu pytanie Ned. Madame poradzi sobie ze wszystkim, uznał i zwrócił się ku niej, pełen oczekiwania.

Przebiegała wzrokiem tłum.

– Tam – stwierdziła w końcu, wskazując smukłym palcem szczególnie zbity tłum. – To ona.

W niebieskiej sukni, pod ścianą.

Ned wyteżył wzrok i głośno wciągnął powietrze.

To beznadziejne, pomyślał ze zgrozą.

– Masz na myśli tamtą damę przystrojoną wspaniałymi piórami? – upewnił się Blakely. – Śliczna.

Chyba już zaczynam się w niej kochać.

– Ona... ja... to... – Roztrzęsiony Ned odwrócił się do Esmereldy. Nie mógł się zdobyć na nic poza urywanymi sylabami. Zdarzało już mu się wątpić, ale w siebie. Wątpił, czy zdoła się wyrwać z mroku, który od czasu do czasu spowijał jego umysł. Teraz przez jedną, nieskończenie długą sekundę zwątpił w madame. Gdyby wskazała świnię, Ned gotów byłby uwierzyć, że to za-

czarowana królowa i że zły czar pryśnie pod wpływem pocałunku. Jednak ona wybrała jedyną kobietę, która w żadnym wypadku nie mogła poślubić Blakely'ego.

– Oczywiście, że to nie ta! – zaprzeczyła stanowczo Esmerelda.

Ned odetchnął z ulgą.

– Miałam na myśli tamtą, w bładoniebieskiej sukni. Poruszyła się teraz. O, tam!

Ned spojrział na lewo. Dostrzegł jedynie wysoko upięte jasne włosy i białą-niebieską toaletę. Z tyłu dziewczyna wydawała się bardzo młoda i szczupła. Odwróciła się i suknia zamigotała. To, co początkowo wziął za różyczki z białego materiału, okazało się perłami. Kimkolwiek była ta dziewczyna, niewątpliwie pochodziła z bogatej rodziny.

– Do licha! – rzekł Blakely. – Moje serce zdążyło już przylgnąć do Damy z Piórami.

Ned pobiegł spojrzeniem na drugi koniec sali.

Czy to przyszła żona kuzyna otwierała drzwi? Tak! Wychodzi!

– Wszystko zepsułeś, Ned – zwrócił się do niego Blakely, w najmniejszym stopniu nie przejęty faktem, że przyszła żona właśnie go opuszcza. – Następnym razem nie poganiaj Esmereldy, pozwól jej spokojnie dokonać wyboru.

Ned próbował przez chwilę zrozumieć tę niejasną uwagę, postanowił ją jednak zignorować.

– Na co czekamy? Chodźmy.

Żadne z nich nie drgnęło. Ned położył rękę na biodrze, a drugą, w której trzymał zegarek kuzyna, wskazał wychodzącą damę.

– Ona ucieka! Nie chcesz jej poznać?

– Co mam robić?

– Goń ją! – polecił Ned.

Blakely zręcznie wyjął mu z dłoni zegarek i wsunął go wraz z łańcuszkiem do kieszonki.

– Uspokój się. Jeśli rzucimy się za nią w pościg przez całą szerokość sali jak sfora psów gończych, to wzbudzimy tylko niepotrzebne zainteresowanie gości.

– Madame! – zawołał Ned. – Niech pani powie markizowi, żeby się pospieszył.

– Ned, odetchnij głęboko i uspokój się – poradziła Esmerelda.

– Nie jestem... – zaczął Ned, ale uświadomił sobie, że rzeczywiście trzęsie się z niepokoju i oczekiwania.

– Rzeczywiście, proszę spróbować zrobić pierwszy krok, milordzie. Tak byłoby najrozsądniej.

Jeśli zaczeka pan, aż dama wróci na salę, będzie pan musiał ofiarować jej słonia na oczach wszystkich.

– To trafna uwaga. – Blakely okręcił się na pięcie i ruszył ku drzwiom, za którymi zniknęła dziewczyna.

Ned wkrótce go wyprzedził, przedzierał się przez tłum, rozdzielając pogrążone w rozmowie pary. Musiał już tylko obejść potężnego jegomoś-

cia w ohydnej kamizelce i już otwierał dyskretne, nierzucające się w oczy drzwi w jednej ze ścian. Znalazł się w pustym korytarzu dla służby, który wydawał się ciemny po rzęsiście oświetlonej sali balowej. Dlaczego dziewczyna tutaj weszła? Nieważne. Nie mogła odejść zbyt daleko. Za plecami Neda rozległy się kroki kuzyna. Podeszwy jego butów głośno stukały o drewnianą podłogę. Dziewczyna usłyszała je również i zatrzymała się.

Blakely wykorzystał jej chwilowe wahanie.

– Przepraszam! – zawołał.

Nieznajoma odwróciła się powoli. Ned wstrzymał oddech. Była młodsza od niego. Miała ostre rysy twarzy, może nawet nieco zbyt wyraziste. W dużych oczach błyszczała inteligencja. Choć została zaskoczona przez trzy obce osoby, nie speszyła się. Nie odezwała się, przechyliła tylko głowę na bok, jakby bez słów udzielała im rozgrzeszenia za samowolne wtargnięcie. Duma i spokój sprawiły, że jej twarz stała się niemal piękna. Ta naturalna wyniosłość czyniła z niej idealną kandydatkę na markizę. Ned zerknął spod oka na kuzyna.

– Wydaje mi się, że zgubiła to pani w sali balowej. – Blakely podszedł do dziewczyny i bez cienia emocji podał jej topornie ociosany klocek. Ned wahał się, czy większym bluźnierstwem było nonszalanckie wypełnianie przez kuzyna wyznaczonego przez madame Esmereldę zadania,

czy też niewzruszony spokój markiza podczas pierwszego spotkania z przyszłą żoną.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Upuściłam coś? Ależ ze mnie niezdara!

Ned pomyślał, że jej głos przypomina dźwięk srebrnych dzwonek. Jakby słyszał ich czysty, wysoki ton, niosący się daleko w chłodnym powietrzu.

Spojrzała na bezkształtny klocek spoczywający na otwartej dłoni markiza. Skonsternowana, ściągnęła idealne łuki brwi.

– Upuściłam to? Raczej nie. – W czysty dźwięk dzwonek wkradł się dysonans.

Blakely wzruszył ramionami.

– Skoro pani tak twierdzi – odparł i odwrócił się. Co za bezczelność! Nawet nie próbował rzetelnie wypełnić polecenia madame Esmereldy! Ned złapał kuzyna za rękę.

– Wydaje mi się, że to jednak należy do pani. Bo skąd mogło się wziąć?

– Zapewniam pana – rzuciła dość opryskliwie młoda dama – że gdyby ten przedmiot należał do mnie, z pewnością nie czekałabym do balu, żeby się go pozbyć. Zresztą, nawet gdyby rzeczywiście stanowił moją własność, w żadnym wypadku nie przyznałabym się do tego.

– Cóż... – Ned wypowiedział to słówko przeciągle i wyprostował się. – Nawet jeśli go pani nie zgubiła, to musi go pani przyjąć.

– Dlaczego?

– Nie widzę powodu – wtrącił się Blakely.



W jego oczach czaiła się kpina. Ned zrozumiał, że następne zadania kuzyn zamierzał wypełniać z podobnym brakiem zaangażowania. Nie traktował poważnie poleceń madame. Chciał robić tylko to, co konieczne, jak najmniejszym nakładem sił.

Tymczasem Esmerelda miała rację. Naprawdę potrafiła odgadnąć przyszłość. Gdyby myliła się w sprawie kuzyna, to i przepowiednie dotyczące losu Neda stałyby pod znakiem zapytania. A tego nie mógłby znieść! Stanowczym gestem wyjął klocek z dłoni kuzyna i podał go dziewczynie. Nie miał wyboru.

– Niestety... – Ned westchnął – nie potrafię podać żadnego powodu. Po prostu musi pani to mieć.

Dziewczyna zerknęła na nieszczęsny klocek.

– A co to w ogóle jest? – Smukłym palcem dotknęła ciemnej powierzchni drewna i natychmiast cofnęła rękę. – To mi wygląda na jakiś okrągły, nadpsuty i sponiewierany... owoc cytrusowy.

– Widzisz?! – krzyknął triumfalnie Ned i złapał kuzyna za klapy. – Ona wie! Nie będziesz mógł zaprzeczyć, że madame posiada moc!

Te słowa sprowokowały wreszcie Blakely'ego do reakcji. Zamknął oczy i zasłonił twarz ręką.

– Pomarańcza to słoń? – spytała dziewczyna.

Ned uświadomił sobie, jak musi się prezentować w oczach tej eleganckiej młodej damy.

Chłopięco szczupły i całkowicie zdominowany przez wysokiego kuzyna. Niezręczny, kanciasty, a w dodatku mówiący zbyt głośno i w niewłaściwych momentach. Zaczerwienił się po korzonki włosów.

– Tak! – zapewnił znowu zbyt głośno.

– Nie! – zaprzeczył Blakely w tym samym momencie.

Dziewczyna przyjrzała się obu mężczyznom.

– Pan – stwierdziła, wskazując palcem Neda – jest chyba szalony. Pan – tym razem wycelowała palec w markiza – wydaje mi się podejrzany przez sam związek z nim. Natomiast pani – zwróciła się do stojącej za nimi Esmereldy – jest zadziwiająco milcząca. Żegnam.

Odwróciła się i odmaszerowała. Ned pomyślał, że nawet wszystkie zastępy anielskie nie zdołałyby doprowadzić do jej ślubu z Blakelym.

– Chwileczkę! – zawołał zrozpaczony. – Nie zostaliśmy sobie przedstawieni! I nie zabrała pani słonia.

Dziewczyna jeszcze raz odwróciła się ku nim.

– Rzeczywiście, nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

A ja nie przyjmuję prezentów od nieznajomych.

– Ta zasada nie odnosi się do obecnej sytuacji.

Dotyczy tylko ładnych prezentów: garderoby, biżuterii i tym podobnych. A to przecież śmieć.

Dziewczyna popatrzyła na Neda i pokręciła głową.

– Pan naprawdę oszalał.

– Tak – mruknął przez zaciśnięte zęby, po czym dodał: – Proszę więc zlitować się nad szaleńcem i wziąć tego cholera... chciałem powiedzieć tego marnego słonia.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. A potem niespodziewanie w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Nie uśmiechnęła się, ale jej oczy zabłysły. Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń.

– Proszę. – Ned położył na jej ręce drewniany klocek. – Ta rzecz należy od tej chwili do pani.

Dziewczyna podniosła na niego oczy. Były szare. Ned doznał nagle wrażenia, że zajrzały w głąb jego serca. Dygnęła.

– Dziękuję – powiedziała miękko głosem i odeszła pewnym krokiem.

Ned odprowadził ją wzrokiem. Czuł się upokorzony, śmieszny i żaloszny. Dopiero kiedy młoda dama doszła do zakrętu i odwróciła się, uświadomił sobie, że nadal nie wie, kim ona jest.

Co w tym dziwnego? Przecież zaprezentował jej się jako największy głupek w Londynie. Kto chciałby zawrzeć z kimś takim znajomość?

Co, oczywiście, nie miało znaczenia, skoro była przeznaczona Blakely'emu. Pasował do niej z tą swoją wyniosłością i chłodną elegancją. Bez wątpienia zakocha się w niej.

– Kiedyś podziękujesz mi za to, co właśnie dla ciebie zrobiłem – zwrócił się do kuzyna z goryczą.

Blakely nonszalancko machnął ręką.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien.

A teraz bądź łaskaw wrócić na salę balową.

## **Rozdział piąty**

Markiz otworzył drzwi do rześście oświetlonej sali balowej. Zanim jednak idąca na końcu za obu kuzynami Jenny zdążyła wyjść z mrocznego korytarzyka, rozległ się kobiecy głos.

– Blakely, dlaczego kryjesz się w kwaterach dla służby? I dlaczego nie powiedziałeś, że weźmiesz udział w dzisiejszym balu?

Markiz zatrzymał się tak raptownie, że Jenny o mało na niego nie wpadła. Światło ją oślepiło. Minęła dobra chwila, zanim jej przyzwyczajone do mroku korytarza oczy odzyskały ostrość widzenia. Dopiero wtedy rozpoznała kobietę, która ich zaczepiła, a właściwie zaczepiła Blakely'ego. Dama z Piórami! Kobieta w błękicie, ta, którą wskazała jako pierwszą, zanim wyraz zaskoczenia na twarzy Neda i zadowolenia na obliczu markiza nie kazał jej pospiesznie zmienić decyzji. Dama z Piórami miała twarz świeżą i młodą, ale zbyt kanciastą, by mogła zostać uznana za piękną.

Kryło się w niej jednak tyle wdzięku, że miło było na nią popatrzeć. Prezentowała się niemal równie imponująco, jak Blakely. Niebieską kreację zdobiły haftowane kwiaty i jedwabne rozetki. Szyję młodej damy okalały połyskliwe perły. Ciemnoblond loki zostały upięte wysoko, a kunsztowną fryzurę wieńczyły trzy pióra, kołyszące się przy każdym ruchu. Tak, bez wątpienia nie była piękna, ale zwracała na siebie uwagę w sposób, który wydał się Jenny znajomy.

Dama z Piórami wyciągnęła ramiona i uśmiechnęła radośnie.

Dziwne... Zachowanie markiza wskazywało, że ta młoda istota absolutnie nie nadawała się na jego małżonkę. Tymczasem dziewczyna zwracała się do niego familiarnie „Blakely”, a on nie zareagował na tę niestosowną formę typową dla siebie lodowatą pogardą.

Nagle Jenny olśniło. Nic dziwnego, że Dama z Piórami wydawała jej się znajoma i że markiz chciał, aby Esmerelda ją właśnie wybrała.

– Milordzie – zawołała Jenny – mie mówił pan, że ma siostrę.

– Widzisz?! – Ned triumfalnym gestem wyrzucił ręce w górę. – Jak możesz jej nie wierzyć? Nigdy jej o tym nie wspomniałem!

Dama z Piórami przyjrzała się Jenny z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Słyszałam pogłoski, że ta dama to twoja daleka krewna, Blakely. Nie wiedziałam, że jesteśmy spokrewnieni z Barnardami.

– Panuj nad sobą, Ned – upomniął kuzyna markiz. – Nie zapominaj, że znajdujemy się w sali pełnej ludzi. To nie jest twoja kuzynka, Lauro. Młoda dama westchnęła z żalem.

– Ze strony Carhartów, tak? Nieważne, twoja kuzynka jest moją kuzynką. – Spojrzała na Jenny i uśmiechnęła się z pewnym onieśmieleniem. – Jakie to podobne do mojego brata, prawda? Ignoruje wyraźne sygnały, że chcę, aby mnie przedstawił. O czym wygadywał Ned?

– Nie oczekuj wyjaśnień od Wielkiego Markiza – wtrącił się Ned. – Ani prezentacji. On nie raczył osobiście wręczyć słońca i nie potrafi w nic uwierzyć, nawet jeśli ma to pod samym nosem.

Błękitne pióra zdobiące fryzurę damy zakołysały się gwałtownie.

– Jakbym nie wiedziała! – Jeszcze raz spojrzała na Jenny i podjęła poufnym tonem: – On nie wierzy nawet w to, że mój narzeczony będzie w stanie w przyszłości zarządzać majątkiem. Nie ufa niczemu, czego nie może zobaczyć, powąchać czy skosztować.

Blakely nie skarcił siostry, w ogóle nie zareagował na jej kpiny.

– W rzeczywistości – podjęła skwapliwie Jenny – jest jeszcze bardziej podejrzliwy.

Markiz wyprostował się, zacisnął wargi, a w jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

– Nie do końca wierzy nawet w to, czego może posmakować – oświadczyła Jenny.

Blakely lekko rozchylił wargi, a jego spojrzenie przylgnęło do ust Jenny. Bez wątpienia pomyślał o ich namiętnym, głębokim pocałunku. Drgnął, jakby nagle poczuł bolesne ukłucie. A potem zdarzył się cud: markiz uśmiechnął się i jego twarz zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z poważnej i chłodnej stała się ciepła i zabarwiona lekkim rumieńcem zakłopotania. Efekt był piorunujący. Markiz w jednej chwili odmłodniał o dziesięć lat. Jenny wstrzymała oddech. Nic dziwnego, że się nie uśmiechał. Gdyby czynił to częściej niż raz na dziesięć lat, stanowiłby prawdziwe zagrożenie dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego.

Blakely uświadomił sobie ze zgrozą, co zrobił, i kąciki jego ust natychmiast ostro powędrowały w dół. Zwrócił się do siostry:

– Jeżeli nie przywitałem się z tobą wcześniej, Lauro, to właśnie w celu uniknięcia takiej sytuacji.

Nie zamierzam przedstawić cię tej kobiecie.

Poczuła się tak, jakby nagle wróciła do szkoły i usłyszała, jak koleżanki plotkują o „tej Jenny Keeble”, udając, że nie dostrzegają stojącej obok Jenny.

Pióra opadły, kiedy Laura pochyliła głowę.

– Z pewnością w rodzinie...



Blakely stanął pomiędzy siostrą a Jenny, aby rozdzielić je własnym ciałem. Zniżył głos, nie na tyle jednak, by cokolwiek z jego przemowy umknęło uwagi Jenny. Bez wątpienia zależało mu na tym, aby dotarło do niej każde z podłych zdań. – Ona nie jest również spokrewniona z Carhartami. W ogóle nie jest naszą krewną. To fałszywa wróżka, która zdołała całkowicie omotać Neda. Ta kobieta nie stanowi dla ciebie odpowiedniego towarzystwa.

Nie stanowi odpowiedniego towarzystwa dla damy! Tak, przyznała Jenny w duchu, każde z wypowiedzianych przez niego zdań było prawdziwe. A jednak bolało. Otwierało rany, które nie zdołały się zagoić pomimo upływu lat. Jenny uciekła ze szkoły, żeby więcej nie słyszeć podłych uwag o swojej rodzinie i o przyszłym losie.

– Ojej! – Laura zerknęła na nią spoza smukłej postaci brata. – Naprawdę przepowiada pani przyszłość? Może mi pani powróżyć? Składa pani wizyty domowe czy klienci przyjeżdżają do pani? – Robi to bajecznie! – zapewnił Ned. – Przez dwa lata nie pomyliła się ani razu. A teraz przepowiedziała Blakely’emu małżeństwo.

Markiz skrzywił się.

– Ciszej – mruknął. – Nie ma potrzeby wykrzykiwać...

– Mówi pani, że Blakely się ożeni? Kapitalnie! Od razu wiedziałam, że panią polubię. – Laura obeszła brata i wzięła Jenny pod ramię.

Jenny była zbyt zaskoczona, by w jakikolwiek sposób zareagować. Nie spodziewała się ujrzeć przyjaźnie uśmiechniętej twarzy po rewelacjach ogłoszonych przez markiza na jej temat.

Naturalnie Blakely przerwał tę idyllę.

– Pani Barnard – powiedział z naciskiem zimnym głosem i zaoferował jej ramię. – Wydaje mi się, że musimy to i owo przedyskutować. Lauro, do zobaczenia... za miesiąc.

Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny, kiedy zrozumiała, że została odprawiona. Wysunęła rękę spod ramienia Jenny, ale zdążyła przelotnie uścisnąć jej dłoń.

Markiz otworzył drzwi, którymi przed chwilą weszli na salę balową, i ponownie wprowadził Jenny do mrocznego korytarza dla służby. Uwolnił jej rękę, odwrócił się i spojrzał na nią z góry z nieprzeniknioną miną.

– Jestem odpowiedzialny za Neda – oznajmił – i moim obowiązkiem jest położenie kresu wpływowi, jaki masz na tego niedoświadczonego młodzieńca. Doprowadzę do tego, bez względu na to, co będzie się działo pomiędzy tobą a mną. Natomiast moja siostra...

– Pańska siostra wydała mi się bardzo miłą młodą damą.

– Powstrzymaj się od ocen panny Edmonton – rzucił lodowatym tonem, z bardzo silnym naciskiem na słowa: „panny Edmonton”. – Jest o szesnaście lat ode mnie młodsza i nie życzę sobie, aby

cierpiała. Potraktuj to jako ostrzeżenie. Jeśli będziesz próbowała się do niej zbliżyć, to cię zniszczę.

– A jak się panu wydaje, co widzę, patrząc na nią? Potencjalną ofiarę?

– Widziałem, jak na nią spojrzełaś, kiedy cię wzięła pod rękę. Jakby ofiarowała ci prezent. Jenny pochyliła głowę, żeby markiz nie dostrzegł w jej oczach bólu. Czowała się licha jak dywan pod jej stopami. W zimnym i jakże racjonalnym świecie Blakely’ego zarówno ona, jak i dywan kwalifikowały się tylko do oddania handlarzowi starzyzną.

– Chylę czoło przed pańską spostrzegawczością, milordzie. Dysponuje pan szczególnym typem intelektu, który sprawia, że widzi pan we wszystkich tylko to, co najgorsze.

– Tak sądzisz? Kiedy w grę wchodzi moja siostra, nie mogę ryzykować i pozwolić, aby wysłuchiwała twoich kłamstw.

„Kłamstw”. Nie powinna być zaskoczona. Aż nazbyt dobrze wiedziała, jak postrzegają ją przedstawiciele wyższych klas. Gardzili nią, niezależnie od tego, jak bardzo była grzeczna, uprzejma, szczerą i dobrą. Pozostawała dzieckiem z nieprawego łoża, które nie znało rodziców.

Jeżeli dżentelmen z towarzystwa w ogóle ją zauważał, to – jak Blakely – widział w niej jedynie obiekt umożliwiający zaspokojenie potrzeb seksualnych. Jenny uciekła z tego świata przed laty, ale okazało się, że zmieniała się jedynie twarz

mężczyzny, który czynił jej propozycje. Czyżby naprawdę była tak głupia, że uważała tego arystokratę za innego od pozostałych? Jeśli nie liczyć fizycznego pociągu, który rozpalał się w nich gwałtownym płomieniem, ilekroć się do siebie zbliżyli, markiz był taki sam jak znani jej przedstawiciele tej płci.

– Przysięgnij – zażądał – że nie będziesz się wtrącać do jej życia.

Blakely nie tylko ją, Jenny, traktował z lekceważeniem, wręcz z pogardą. Podobnie odnosił się do Neda i własnej siostry, odmawiając im rozsądku, zdolności logicznego myślenia i samodzielności w ocenie ludzi oraz zdarzeń.

– Przysięgnij – powtórzył.

Jenny zadała sobie w duchu pytanie, jak markiz postrzega samego siebie. Niewątpliwie miał się za człowieka zimnego, odróżniającego się od innych i wyrastającego ponad nich. Za kogoś, kto potrafił sprawić, by kobieta krzyczała z rozkoszy, podczas gdy on sam doświadczał jedynie dość krępującej żądz. Możliwe, że markiz gardził zwykłymi śmiertelnikami, którzy tracili panowanie nad sobą z tak błahych i niegodnych powodów, jak zaufanie czy uczucie. Biedak.

– Nie upatruję w pańskiej siostrze potencjalnej ofiary. Natomiast dziwi mnie, że pan widzi.

Zajrzał jej w oczy i chyba nawet w tonącym w półmroku korytarzu dostrzegł w nich szczerą. Jenny pomyślała z goryczą, że Blakely miał przy-

najmniej konkretny powód, by nią gardzić, nie ograniczał się jedynie do jej pochodzenia.

– Staram się zachowywać obiektywizm nawet wobec tych, których kocham. Nie zamierzam oszukiwać samego siebie. Czego, twoim zdaniem, nie dostrzegam?

– Nie dostrzega pan, że siostra, pomimo tego co jej pan powiedział, nadal pana uwielbia.

Wargi markiza zbieleły, dłonie zacisnęły się w pięści. Jenny zrozumiała, że przyjdzie jej drogo zapłacić za rozgniewanie go. Złość Blakely'ego nie była skierowana przeciwko Jenny, ale to w nią miała uderzyć. Rola kozła ofiarnego bynajmniej nie poprawiła jej samopoczucia. Położyła mu rękę na policzku. Przez moment czuła ciepło jego skóry i szorstkość zarostu. Markiz wstrząsnął się, jakby po twarzy przebiegł mu robak.

Jenny obiecała sobie w duchu, że Blakely poniesie konsekwencje tego.

– Myśl, co chcesz – rzucił i skierował się do jasno oświetlonej sali balowej – ale trzymaj się od mojej siostry z daleka.

Jenny ze zmęczenia rozboleła głowa. Tylko przenikliwy chłód wieczoru i pulsowanie w skroniach sprawiały, że nie zasnęła na stojąco. Czekali we trójkę na powóz markiza. Po opuszczeniu sali balowej pełnej jasnych barw, bogatych materii, klejnotów i wyszukanych dań, które służba przy-

gotowywała zapewne przez wiele dni, wyszli w noc, która nawet we eleganckiej dzielnicy Mayfair była taka sama jak w całej Anglii – mroczna i pełna mgły.

Ned oparł się plecami o ścianę obok Jenny i ziewnął szeroko. Natomiast Blakely stał sztywno wyprostowany jak na początku wieczoru.

– Szukałem jej – wyznał Ned – ale bez rezultatu.

I jak ją teraz wytropimy?

Blakely patrzył prosto przed siebie, w mrok.

– Po prostu zapytamy o lady Kathleen Dunning.

To córka księcia Ware’a. Dopiero w tym roku została wprowadzona do towarzystwa.

– To dobrze. – Ned znów ziewnął. – Obejdzie się bez komplikacji. Gdzie powoz?

– Za chwilę wyjedzie z za rogu. O, już.

Na widok zdumionego spojrzenia Neda Blakely wyjaśnił:

– Słyszałem, jak nadjeżdża. Rozpoznaję własne konie. Ty również usłyszałybyś turkot kół, gdybyś zwracał uwagę na otoczenie. Zorientowałbyś się także, że mało brakowało, a Esmerelda pożeniłaby mnie z własną siostrą. Wzbudziłeś jej czujność swoim jękaniem się i wymachiwaniem rękami, ale gdyby nie to, miałbyś już niezaprzeczalny dowód na to, że ta kobieta nie ma żadnych nadzwyczajnych zdolności.

To nie fair, pomyślała Jenny. Przecież zaalarmowało ją nie zachowanie Neda, a zainteresowanie Blakely’ego.

– Zauważyłem – powiedział Ned – a mimo to nie zwątpiłem w moc madame Esmereldy, tylko zacząłem się zastanawiać, czy można unieważnić więzi krwi w taki sam sposób, w jaki się je nabywa.

– Nabywa? – powtórzył Blakely, nie pojmując, o co chodzi kuzynowi.

– Czytałem mity skandynawskie. Właściwie chodziło o braci, o zawieranie braterstwa krwi. Należy przeciąć skórę na dłoni, a kiedy pojawi się krew, ucisnąć zranioną rękę druha. Po zmieszaniu się krwi z obu dłoni...

– Bzdura! Czy musisz wierzyć we wszystko, co czytasz? Braterstwo to wspólnota biologii i wychowania. Sam byś to zrozumiał, gdybyś tylko ruszył głową.

Ned starał się nie okazać, że poczuł się obrażony, ale Jenny domyśliła się tego bez trudu. Kiedy powóz zatrzymał się przy nich, Ned pomógł jej wsiąść i ze wstydem ucisnął jej rękę. Markiz usadowił się naprzeciw nich, najwyraźniej całkowicie nieświadom przykrości, jaką zrobił kuzynowi. Jenny niezłomnie postanowiła, że markiz za wszystko zapłaci.

– Milordzie – zagadnęła, pochylając się do przodu – stale odwołuje się pan do racjonalizmu, ale zauważyłam, że uprawia pan własny rodzaj alchemicznej magii.

– Słucham? Oskarżasz mnie o praktykowanie alchemii?

– Tak, panie Paracelsus\*, oskarżam.

– Wytlumacz się.

– Klasyczna alchemia ma na celu zamianę ołowiu w złoto. Pan natomiast, zapewne na skutek perwersji i wrodzonej przekory, próbuje przeprowadzić odwrotny proces.

– Wygadujesz bzdury.

Rozpoczynając swoją przemowę, Jenny nie wiedziała właściwie, do czego zmierza. Miała jednak przed sobą człowieka, który dystansował się od jakiegokolwiek irracjonalności, i nagle w jej głowie pojawił się plan.

– Zaraz pan zrozumie – zapewniła. – Mówię o drugim zadaniu.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem słyszalnym w powozie był stukot końskich kopyt o bruk.

– Chcesz, żebym zamienił złoto w ołów? –

Blakely był wyraźnie zbity z tropu i rozczarowany.

– Pewnie powinienem się cieszyć, że tak szybko uznałaś swoją porażkę. Jeżeli warunkiem spełnienia się twojej przepowiedni jest wykonanie rzeczy niewykonalnej, to przyznajesz tym samym, że twoja wróżba nie może się spełnić.

Jenny pochyliła się do przodu.

– Och, co za niemądry naturalizm! Czy zawsze bierze pan wszystko dosłownie? Od kiedy pana

\* Paracelsus – niem. lekarz, chemik, filozof, profesor Uniwersytetu w Bazylei, jeden z prekursorów nowożytnej medycyny, (przyp. red.).



spotkałam, obserwuję, jak nieustannie zamienia pan złoto w ołów.

– Proszę o wyjaśnienia. Niektórzy wolą dosłowność i nie zadowolą się okultystycznymi bredniami.

– Obserwuję pańskie relacje z kuzynem. Nietrudno spostrzec, że Ned ma złote serce.

Zakłopotany młodzieniec zrobił gest, mający oznaczać „wolałbym już zostać zadźgany widelcem, niż słuchać komplementów pod własnym adresem”.

– Widząc, jak nieustannie go pan krytykuje i tłamsi, doszłam do wniosku, że stara się pan z pomocą alchemicznych sztuczek zmienić kuzyna w człowieka z mniej szlachetnego kruszcu.

– To naprawdę przewrotna konkluzja, Esmereldo.

– W szorstkim głosie Blakely’ego nie było śladu rozbawienia. – Zakładam, że zmierzasz do podania mi następnego zadania?

– Proszę zamienić ołów z powrotem w złoto – powiedziała Jenny. – Proste, prawda?

– Mam tu i teraz powiedzieć coś dobrego o Nedzie? – zapytał z wyraźnym niedowierzaniem w głosie markiz.

Jenny dawno zrozumiała, że lepiej mówić klientom to, co chcieli usłyszeć. To przynosiło większy dochód. W dodatku przepowiadając im miłe rzeczy, sama zaczynała w nie wierzyć. Nawet samo wymyślanie pomyślnych wróżb budziło przychylny stosunek do otoczenia. Gdyby to samo spotkało

tego aroganckiego mężczyznę, byłby to znakomity początek zemsty. Przypomniała sobie jego przewiny i w jej sercu zrodził się nowy impuls, radosny i niepozbawiony złości. Tak, zasłużył sobie jeszcze na odrobinę upokorzenia.

– Ten proces powinien mieć charakter bardziej spektakularny. Chyba pan rozumie? Duchy żądają, żeby odśpiewał pan hymn pochwalny na cześć Neda na forum publicznym.

– Mam go wychwalać? – upewnił się zdumiony markiz. Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. – Dobrze. Chyba zdołam wygłosić na forum publicznym parę komplementów pod jego adresem.

– Moje uwagi na temat alchemicznych transformacji miały charakter metaforyczny. Natomiast wzmianka o odśpiewaniu hymnu pochwalnego była dosłowna.

W powozie zapadło milczenie, które zakłócał tylko stukot końskich kopyt. Nawet ten odgłos wydawał się stłumiony i słaby, jakby zwierzęta wyczuwały, że nie należy przeszkadzać w narastającej furii ich pana.

Blakely wstał i pochylił się nad Jenny.

– Mam śpiewać? Publicznie?

– Najlepiej odę własnego autorstwa.

Markiz ponownie usiadł, skonsternowany i oburzony. Latarnia uliczna rzuciła snop światła na jego dłonie. Leżały wsparte na kolanach i drżały! W ciasnym wnętrzu powozu narastało napięcie.

– Chcesz mnie upokorzyć.

Jak najbardziej! – potwierdziła w duchu Jenny.

– Nie uda ci się. Lepszy od ciebie próbowali nadaremnie.

Powóz zatrzymał się przed domem Jenny. Kiedy stangret otworzył drzwiczki, wypuściła ostatnią, śmiertelną strzałę.

– I jeszcze jedno, milordzie.

Żadnej reakcji.

Jenny uśmiechnęła się i uniosła palec.

– Bardzo proszę, żeby każde słowo pańskiej ody było szczere.

## **Rozdział szósty**

Gareth wpatrywał się ponuro w dwie kartki leżące przed nim na biurku. Cały blat był zarzucony dokumentami, którymi powinien się zająć.

Na barkach markiza spoczywał nie tylko obowiązek zarządzania posiadłościami ziemskimi, ale również prowadzenia korespondencji naukowej.

Tymczasem miał w głowie pustkę. Jego umysł w przygnębiający sposób przypominał czyste kartki, w które wbijał zrozpaczone spojrzenie.

Doszedł do wniosku, że to zasłużona kara za to, że zaniedbał pracę. Na razie jednak zadanie, jakie poprzedniego wieczoru postawiła przed nim Esmerelda, absorbowало go bez reszty.

Bardzo szybko wpadł na pomysł, jak zaśpiewać w miejscu publicznym bez narażenia się na upokorzenie. Natomiast kwestia tematu...

„Pozytywne cechy Neda” zatytułował czystą, białą kartkę, po czym ponumerował linijki od pierwszej do piętnastej. Dokładnie w ten sam sposób przystąpił do pracy poprzedniego dnia, kiedy zatytułował stronicę: „Możliwe wyjaśnienia migracji jaskółek według dotychczas znanych tras”. Wtedy jednak nie siedział przez pół godziny nad pustą kartką, nie mając pojęcia, od czego zacząć. W ciągu paru minut zapisał całą stronicę. Co dobrego jest w Nedzie? Hm. O wiele łatwiej – bez porównania łatwiej i przyjemniej! – byłoby wyśpiewywać o tym, co jest złe we wróżce Esmereldzie.

Naprzeciwko Garetha siedział jego plenipotent, który spokojnie i metodycznie sortował korespondencję. William White, inteligentny i doskonale zorientowany we współczesnych innowacjach, był niewiele starszy od Garetha. Markiz obserwował jego głowę o ciemnych, krótko, tuż przy skórze ostrzyżonych włosach, pochyloną nad biurkiem. Zapewne wyobrażał sobie, że markiz zajmuje się sprawami o równie poważnym ciężarze gatunkowym, a Gareth nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.

Zostały jeszcze dwa zadania. Nie musiał ich wypełnić. W każdej chwili mógł się wycofać. Wówczas Ned nadal we wszystkim radziłby się tej kobiety. A co gorsza, gdyby Gareth zrezygnował, Esmerelda by wygrała. Niedoczekanie! Musiał zacząć pisać.

„Na Neda popatrzeć przyjemnie”.

No i proszę! Pierwsza linijka gotowa. Może nie był to największy komplement, jaki jeden mężczyzna mógł powiedzieć drugiemu, ale Gareth nie zamierzał wypisywać peanów na temat złotobrazowych loków kuzyna. Musiał zachować choć odrobinę godności. Teraz należało znaleźć jakiś rym.

„Na Neda popatrzeć przyjemnie.

Bo jest całkiem podobny do mnie”.

To, oczywiście, nie do końca prawda. Upłynie jeszcze ładnych parę lat, zanim ramiona Neda staną się równie szerokie, jak jego. Ale z grubsza się rymowało, więc musiało tak zostać.

– Milordzie? – Plenipotent zamarł z piórem do połowy zanurzonym w kałamarzu.

Powiedz mi coś dobrego o moim kuzynie, przemknęło Garethowi przez myśl. Nie. To by było oszustwo. Klocek wyrzeźbił własnoręcznie i ode o Nedzie również sam napisze!

– Co się rymuje z „naiwny”?

White, sprawny jak zwykle, nie zastanawiał się nawet przez moment.

– „Przeciwny”, „dziwny”.

Gareth sięgnął po czysty arkusik i napisał:

„Mój kuzyn Ned nie jest zbyt dziwny,

Nawet jeśli czasem bywa naiwny”.

Ten kuplet również trudno było uznać za komplement.

Gareth zmiął i wyrzucił do kosza kolejną kartkę.

– Milordzie – odezwał się ostrożnie White

w obawie, by nie przekroczyć granicy wyznaczonej przez pozycję społeczną. – Czy pisze pan poemat?

– Nie. – Gareth skrzywił się i zerknął na siedzącego naprzeciw niego plenipotentą.

Po pierwsze, nie tyle pisał, co usiłował pisać.

Zresztą, bezskutecznie. Po drugie, to oda, a nie poemat. Gdyby udzielił podwładnemu jakichkolwiek wyjaśnień wykraczających poza niezbędne minimum, to niewątpliwie wkrótce wyszłyby na jaw szczegóły, na przykład o tym, że to oda na cześć kuzyna. Zapewne zaczęłyby się skarżyć, że został do tego zmuszony przez najbardziej irytującą kobietę, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi.

Niewykluczone, że po wykrzyczeniu rozmaitych obelg pod jej adresem mógłby nieopatrznie dodać, że kiedy poprzedniego wieczoru wysiadła z tym psotnym uśmiechem na ustach z powozu, Gareth nie mógł się opędzić od wyobrażeń, jak wyglądałaby w sukni, którą powinna wybrać na bal – modnej, głęboko wyciętej kreacji odsłaniającej ramiona, z szeroką spódnicą na rozlicznych halkach, które mężczyzna zdejmował jedną po drugiej, by odsłonić skórę gładką jak płatek kwiatu...

White nie przestawał przyglądać mu się z wyraźnym zainteresowaniem.

– Nie piszę poematu – oznajmił.

– Skoro pan tak twierdzi, milordzie. – White wrócił do wertowania dokumentów.

Wyniosły ton zrobił swoje. Gareth nie miał

ochoty nikomu się zwierzać. I nie zamierzał się zmieniać, do licha!

Służący w liberii, właściwie jeszcze chłopiec, dostarczył Jenny wiadomość tuż przed dziesiątą rano. Przez chwilę miała nadzieję, że to jeden z jej stałych klientów prosił o wyznaczenie terminu kolejnej wizyty. Niektórych nie widziała od paru miesięcy, a szczególnie była ciekawa, jak poradziła sobie z mężem nieśmiała, skromna pani Sevin.

„Skończyłem odę. Występ jutro o 7 wieczorem. Weźmiesz w tym udział. B’”.

Markiz uznał, że może nią komenderować!

A gdyby była umówiona? Jenny autentycznie żałowała, że wcześniej nie zaplanowała wieczoru, bo chętnie odpisałaby, że ma własne życie i nie może ograniczać się do zaspokajania zachcianek milorda.

Do liściku dołączona była paczka owinięta sztywnym, brązowym papierem i obwiązana sznurkiem.

Chłopak – nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat – wcisnął jej w ręce pakunek. Kosmyk jasnych włosów wymknął mu się spod białej peruki. Starał się wyglądać poważnie, ale choć stał wyprężony jak struna, Jenny domyśliła się, że czerwony uniform męczył go bardziej niż bieg ulicami Londynu.

Wzięła od niego paczkę. Z trudem rozsypła sznurek, ale wreszcie rozwinęła z szelestem papier. W przesyłce znajdowała się suknia oraz parę



dotatków – jedwabne pończochy, pantofelki na obcasie i prawdziwy gorset. Suknia była starannie złożona, ale Jenny zorientowała się od razu, że będzie miała z nią problem. Była to skomplikowana kreacja z mnóstwem wstążek, koronek i złotych lamówek wzdłuż szwów łączących czerwone i kremowe pasy materiału. Westchnęła. Lord Blakely był przecież człowiekiem spostrzegawczym, rozsądnym i inteligentnym. Co mu się stało? – Będzie odpowiedź? Pan markiz kazał mi ją przynieść. – Chłopak był zbyt dobrze wytresowany, by okazać zniecierpliwienie. Stał więc nieruchomo, wyprężony jak struna, w postawie, która przystawałaby raczej sierzantowi niż siedemnastoletniemu posłańcowi.

Jenny nakreśliła na odwrocie liściku markiza kilka słów.

„Niestety, nie mogę włożyć tej sukni. Życzę miłej zabawy”.

Wręczyła posłańcowi karteczkę wraz z paczką.

Chłopak potrząsnął głową.

– Ale to przecież dla pani.

– Już nie. Teraz to dla pana markiza Blakely’ego.

Nie sądzisz, że wyglądałby w tym nieźle?

W oczach służącego pojawiła się konsternacja.

– Nie, masz rację – stwierdziła Jenny. – Suknia byłaby dla niego za krótka.

Chłopak naburmuszył się po dziecinnemu. Naśmiewanie się z pryncypała przekraczało jego zdolność pojmowania. Jenny westchnęła. Najwy-

rażniej skłonność do strojenia ponurych min była zaraźliwa i markiz zainfekował nią swoich ludzi.  
– Zwróć mu tę suknię – powiedziała. – Nie przyjmuję jej i powinien się o tym dowiedzieć. – Uśmiechnęła się, żeby osłodzić chłopcu odmowę. Nie odpowiedział uśmiechem. Pochylił tylko bardzo oficjalnie głowę, zabrał pakunek i zniknął. Wrócił mniej więcej po godzinie. Brudne, londyńskie ulice ostatecznie pozbawiły jego elegancką liberię świeżości. Buty miał niemiłosiernie zabłocone, a czerwono-złoty surdut, na którym osiadła gęsta mgła, przesiąknięty wilgocią. Nadal ścisnął pod pachą pakunek, teraz już porządnie sponiewierany. Pod sznurek była wsunięta kolejna epistoła.

Posłaniec wepchnął paczkę w ramiona Jenny. Przeczytała wiadomość.

„To irracjonalne i nieetyczne. Nie dodawaj określenia nużąca do długiej listy swoich wad i przewin, madame Esmereldo. B’”.

Nużąca? A cóż mogło być bardziej nużącego od przesyłania sobie nawzajem paczki przez coraz bardziej przemokniętego posłańca? Jenny próbowała zwrócić chłopcu przesyłkę, ale podniósł ręce do góry i cofnął się.

– Nie, proszę pani. Nie wolno mi jej zabrać. Pan markiz zabronił i kazał pani powtórzyć, że to koniec dyskusji i że przyjmuje pani podziękowania oraz zgodę.

Jenny tupnęła nogą ze złością. Najwyraźniej

Blakely uznał jej odmowę za przejaw uporu. W tym konkretnym przypadku niespecjalnie się mylił, choć generalnie nie miał racji. Nie pozostawił Jenny wyboru. Powinien mieć pretensje wyłącznie do siebie.

– Czekasz na odpowiedź? – zapytała.

Kiwnął głową i Jenny przystąpiła do działania.

Włożyła trzewiki, gruby szal i czepek. Zaniepokojony służący popatrywał na nią w milczeniu.

– Jestem gotowa – oznajmiła Jenny i chwyciła pakunek.

Chłopak niepewnie szurał butami o posadzkę.

– Prowadź.

– Ale...

– Markiz kazał ci przynieść odpowiedź, tak? Ja jestem odpowiedzią. Będzie zły, jak nie usłyszysz, co mam do powiedzenia.

– Będzie zły, jak to usłyszysz – odważył się zaoponować posłaniec, przyjrzawszy się z niesmakiem lichemu odzieniu Jenny.

– Owszem, ale na mnie.

Ten argument do niego trafił. Kiwnął głową, poprawił przekrzywioną perukę i szybkim krokiem ruszył przez miasto. Jenny pospieszyła za nim. Im bardziej oddalali się od jej domu, tym ulice były czystsze, a budynki większe. Gdy dotarli do Mayfair, kamienne ściany rezydencji wznosiły się wyżej od wierzchołków drzew. Skwery były zadbane, krzewy przystrzyżone w figury geometryczne, trawniki gładkie.

Przechodzący ludzie bez wątpienia brali Jenny za słuźącą. Nie zatrzymywali na niej wzroku, nie zauważali jej, jakby nie istniała. Taszczyła ciężką paczkę, więc automatycznie zaliczyli ją do słuźby. Poczwała się tu wyjątkowo nie na miejscu. Miała na sobie zabłoconą spódnice i prostą bluzkę z grubego i sztywnego, ale praktycznego materiału, który miał wystarczyć na lata. W brudnoszarym kolorze.

Dojmujące poczucie niższości przybrało na sile, gdy posłaniec poprowadził ją wzdłuż muru okazałego budynku z szarego, pręgowanego kamienia do wejścia dla słuźby. Zeszli po kilku schodkach w dół i znaleźli się w uderzająco czystej spizarni, której półki uginały się pod ciężarem produktów. Dwie posługaczki spojrzały na Jenny i podniosły krzyk, nerwowo wymachując rękami. Odesłały ją w najciemniejszy kąt kuchni i kazały zdjąć zabłocone buty. Gdy Jenny schyliła się, żeby rozwiązać sznurowadła, pojawił się nadęty kamerdyner i podszedł do gospodyni. Nikt się nie uśmiechał. Kamerdyner wygłosił napuszczoną mowę na temat chlebowdawcy, któremu pod żadnym pozorem nie wolno zakłócać spokoju.

– Biedny pan ciągle pracuje – przyznała gospodyni o pocziwym, macierzyńskim wygładzie.

– Jeżeli nie znajdzie czasu, aby coś zjeść, to...

W ogóle nie zastanawiali się nad tym, czy zaprowadzić Jenny na górę, narażając się na gniew pana. Spierali się tylko o to, czy wyrzucić ją od razu

na ulicę, czy pozwolić jej się najpierw wysuszyć i rozgrzać przy ogniu.

Jenny postawiła w kącie zabłocone buty. Na szczęście nie przemokły, więc pończochy miała suche i czyste. Nie musiała się wstydzić. Odzyskała niewzruszony spokój madame Esmereldy. Postanowiła, że nie da się zastraszyć temu domostwu ani nie ulegnie ponuractwu, jakim wiecznie nadęty markiz Blakely zaraził otoczenie.

Nie będzie się czuła gorsza z powodu sztywno wykrochmalonych uniformów pomywaczek ani z powodu wyglansowanych do połysku miedzianych rondli czy obszernej, cieplej kuchni trzy razy większej niż jej mieszkanie i pachnącej smakołykami. Dostrzegła na drugim końcu kuchni wąskie schody dla służby. Gdzieś tam na górze, nad jej głową, przebywał Blakely. Krążył pewnie po pokoju, nieświadom jej bliskości. Jak zareagowałby na wiadomość, że przyszła do jego domu? Prawdopodobnie źle.

Jenny przesuwiała się powoli w głąb kuchni, przyciskając do piersi niezgrabny pakunek. Gdyby ją ktoś zaczepił, mogła skłamać, że chciała tylko położyć paczkę na jednym z blatów. Stała, udając, że przegląda się w jednym z wypolerowanych, miedzianych rondli, a w rzeczywistości sprawdziła sytuację w pomieszczeniu. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Tutaj była równie niewidzialna, jak wcześniej dla przechodniów na ulicy. To dobrze.

Starannie unikała spoglądania w stronę schodów dopóty, dopóki nie stanęła u ich podnóża.

A potem, zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, wbiegła na górę. Za jej plecami rozległy się krzyki, ale zanim ruszono za nią w pogoń, Jenny znalazła się w holu prowadzącym do prywatnej części domu. Wiszące na ścianach pejzaże przedstawiały idylliczne krajobrazy, jakich Jenny nigdy w życiu nie widziała. Jej stopy tonęły w miękkich, puszystych dywanach. Po prawej stronie znajdował się hol wejściowy strzeżony przez dwóch lokajów w liberii, którzy zwrócili się w jej stronę. Jenny skrzyła więc w lewo, na tyły domu. Otworzyła jedne z drzwi. Ogromna, prostokątna jadalnia, w której mógłby usiąść do stołu oddział żołnierzy. Cofnęła się i spojrzała na ostatnie drzwi. Serce jej mocniej zabiło, a oddech uwiązł w płucach. Tutaj albo nigdzie.

Gałka przekreśliła się gładko, bez oporów. Jenny zajrzała do środka i jej wzrok natrafił na półki wypełnione książkami, a zaraz potem dostrzegła markiza. Blask z kominka rozświetlał jego ciemnoblonde włosy. Tu, w swoim gabinecie, był swobodny i wyglądał niemal chłopięco. W jego twarzy nie dostrzegła napięcia, a wargi były lekko rozchylone. Serce ścisnęło jej się boleśnie na ten widok. Miała okazję zajrzeć na moment pod maskę chłodnej arogancji, którą przywdziewał w towarzystwie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że właśnie ten człowiek to prawdziwy markiz Blakely.

Siedział przy masywnym biurku zarzuconym dokumentami. Kartki papieru piętrzyły się na stole, krzesłach i w porządkie ułożonych stertach na podłodze. Markiz pisał coś zapamiętane. Nie podniósł oczu znad kartki. Jenny weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– I co? – zapytał niskim głosem. – Przysłała odpowiedź? Co powiedziała? – Nadal pochylał głowę nad blatem biurka.

Jenny zbliżyła się, ściskając w rękach pakunek.

– Powiedziała: nie mogę nosić tej sukni.

Blakely gwałtownie poderwał głowę i spojrzał na Jenny szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę wyglądało na to, że ucieszył się na jej widok. Zaraz jednak znowu ukrył twarz pod maską.

Gdyby Jenny miała choć odrobinę rozsądku, poczułaby się zagrożona. Tymczasem stwierdziła z ulgą, że przynajmniej dla Blakely'ego nie jest niewidzialna. Wpatrywał się w nią z niemal dziką intensywnością. Z intensywnością Jenny mogła sobie poradzić, pograżyłaby ją obojętność. Rzuciła paczkę na biurko. Papier pękł.

– To ty! Nie możesz tu przychodzić!

– Dlaczego? Przecież pan też wtargnął kiedyś do mojego mieszkania bez zaproszenia.

– To co innego. Ja...

– To rzeczywiście co innego, bo jest pan ode mnie wyższy, cięższy i dwa razy silniejszy. Byłam sama, podczas gdy pan jest otoczony służbą, która

zapewne wpadnie tu za chwilę, żeby mnie wyrzucić.

– Jenny zdjęła szal i rzuciła go na stertę książek. – Nie o taką różnicę panu chodziło, milordzie. Dla pana liczy się to, że pan jest markizem, a ja nikiem.

– Właśnie. – Zimny głos Blakely’ego stał woczywistej sprzeczności z jego gorącym spojrzeniem, skupionym na piersiach Jenny, uwypuklonych oblepiającą je moką bluzką. Jenny pragnęła skruszyć mury obronne, którymi się otoczył. I oto sam pokazał jej, jak to zrobić.

Oparła stopę na siedzisku krzesła. Przy tym ruchu spódnica Jenny uniosła się, odsłaniając kostkę i łydkę. Markiz pochylił się, nie spuszczając wzroku z kształtnej nogi.

– A więc to nie Blakely zapowiedział, że mnie uwiedzie – powiedziała cicho Jenny. – To Gareth. W tym momencie do gabinetu wpadł kamerdyner. Mocno złapał Jenny za rękę i szarpnął ją z całej siły. Ledwo utrzymała równowagę, bo jej stopa zahaczyła o krzesło.

– Milordzie – wysapał służący. – Proszę o wybaczenie. Już ją stąd zabieramy.

Blakely z trudem oderwał wzrok od nogi Jenny.

– Puść ją – polecił i dodał: – Zostaw nas.

Służący skłonił się i zniknął, nie czekając na upomnienie. Blakely znowu skoncentrował uwagę na Jenny, jeszcze raz obrzucił uważnym spojrzeniem jej mokre ubranie i spódnicę w nieładzie.

Z nieprzeniknioną miną odchylił się na krześle.



Jenny nie była pewna, co markiz zrobi. Uznała, że skoro rozpoczęła grę, musiała ją kontynuować.

– Ciekaw jestem, czego spróbujesz teraz. Interesuje mnie to, naturalnie, z naukowego punktu widzenia.

Pełen ksiązek pokój zdawał się całkowicie odizolowany od zgiełku londyńskiej ulicy, od którego w swoim mieszkanku Jenny nie mogła się uwolnić. Tutaj, w prywatnym rajku Blakely'ego, cisza aż dzwoniła w uszach. Jenny zaczęła pomału podciągać spódnicę, odsłaniając kolano i udo. Markiz nawet nie drgnął. Pochyliła się, żeby rozwiązać podwiązkę. Zrobiła to w taki sposób, aby markiz mógł dostrzec wypukłość piersiwwycięciu bluzki. Następnie zsunęła z nogi pończochę. Blakely wpatrywał się w nią teraz tak płomiennym spojrzeniem, że skóra zaczęła ją piec jak oparzona. Wreszcie przerwał panującą w gabinecie ciszę.

– Udało ci się całkowicie przykuć moją uwagę.

Mniej wróżb, a więcej tego i ja...

Jenny wyprostowała się i spódnica opadła.

Przerzuciła sobie pończochę przez ramię i okrążyła biurko, aby stanąć tuż przy markizie. Był w samej koszuli. Dobrze, pomyślała, to jej ułatwi zadanie. Podeszła blisko, dzieliły ich już tylko cale. Blakely odchylił się do tyłu, żeby móc patrzeć jej w oczy.

Jenny oparła bosą stopę na krześle pomiędzy jego udami.

– Mam przestać?

– Nie ma mowy. Jesteś prawdziwą artystką.

– Już nie nudziara?

Jenny dostrzegła w oczach markiza błysk rozbawienia, ale, niestety, nie uśmiechnął się. Dotknęła palcem jego brody, a on zbliżył usta do jej warg. Zamiast go pocałować, ujęła jego dłoń i położyła ją na swojej łydce. Blakely zamknął oczy i przesunął rękę w dół. Pogładził pieśczołliwie kostkę, po czym jego palce powędrowały do góry po wewnętrznej stronie nogi, aż pod kolano. Jenny odsunęła się, a ręka markiza zawisła w powietrzu. Robił wrażenie równie oszołomionego, jak ona.

– Proszę mi podać rękę – powiedziała.

Nie poruszył się, więc położyła dłoń markiza na gładkiej skórze swojej szyi. Powoli, nie przestając patrzeć mu w oczy, zaczęła zsuwać jego rękę w dół. Na obojczyk. Potem w bok, wzdłuż wypukłości piersi, poprzez jej wrażliwy wierzchołek na drugą stronę. Wreszcie zatrzymała jego dłoń na wysokości pasa. Znowu odsunęła się poza zasięg jego ramion.

Blakely był wyraźnie podniecony, nie przyciągnął jej jednak do siebie. Zmysłowe igraszki sprawiały mu taką samą przyjemność jak Jenny. Obeszła go dookoła i uklękła za jego krzesłem. Dotknęła jego łokcia.

– Proszę mi dać rękę – szepnęła.

Tym razem markiz posłuchał, przesunął ramię za oparcie krzesła.

Jenny pocałowała jego dłoń, po czym sięgnęła

wolną ręką po przewieszoną przez ramię pończochę, błyskawicznie zacisnęła pętlę wokół nadgarstkamarkiza i przywiązała go do oparcia krzesła. Zanim zorientował się, co się stało, Jenny wstała z klęczek, obeszła krzesło i usiadła mu na kolanach. Pożądanie widoczne w jego spojrzeniu ustąpiło miejsca złości.

– Rozwiąż mnie – syknął.

Jenny oparła dłonie na jego piersi i zajrzała mu w oczy.

– Niech pan rozwiąże się sam – powiedziała śpiewnie.

– Doskonale wiesz, że w tej pozycji to...

– Niemożliwe? Teraz już pan wie, dlaczego nie mogę włożyć tej sukni. Nie z powodu przyzwoitości czy wrodzonej kłótności. To po prostu fizycznie niewykonalne. Do wieczorowej sukni niezbędny jest gorset, a nie jestem w stanie sama go zasnuwać. Nie mam służącej, która pomogłaby mi się ubrać, Blakely.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby wyjaśnić mi to w liście? Nie musiałaś przychodzić tutaj i mnie wiązać.

– Nie musiałam, ale napisanie listu nie sprawiłoby mi takiej uciechy.

– Uciechy? – Ton głosu markiza wyrażał dezaprobatę dla czegoś tak absurdalnego.

– Uciechy – powtórzyła Jenny – i to ogromnej. Niech pan tylko się zastanowi, milordzie. Jak często jest pan do czegokolwiek zmuszany?

– Co ty możesz wiedzieć? Spójrz za siebie.  
Jenny obejrzała się na zarzucone papierami biurko.

Szkice tuszem, niezwykle plastyczne i żywe, przedstawiały najdrobniejsze szczegóły budowy skrzydeł i szponów ptaków, jakich nigdy nie widziała. Pnącza. Nasiona. Notatki sporządzone starannym, zamasztympismemmarkiza. A z boku strona tytułowa: „Studium o brazylijskich arach”.

– Pod cienką warstwą rysunków kryje się gruby plik rozliczeń majątkowych – wyjaśnił Blakely. – Nienawidzę ich. W trzech okolicznych hrabstwach żniwa były bardzo słabe. Tylko ja mogę uchronić swoich poddanych przed głodem będącym skutkiem klęsk nieurodzaju, które nękają ten kraj w ostatnich latach. Więc owszem, często odnoszę wrażenie, że mam związane ręce. Aczkolwiek z reguły chodzi o pieniądze, a nie pończochy. Tylko poranne godziny przeznaczam dla siebie. One później dają mi siłę do zmagania się z kwestiami finansowymi. To jedyna część dnia, którą spędzam według własnych upodobań.

Jenny ogarnęło zakłopotanie.

– I oto wpadam ja, odrywam pana od ulubionych zajęć i przywiązuję do krzesła – zakpiła, żeby rozproszyć jego powagę. – Nic dziwnego, że jest pan zawsze zły jak osa.

Markiz dotknął wolną ręką jej policzka.

– Ty to co innego – powiedział i przyciągnął głowę Jenny.

Mogła bez trudu odepchnąć Blakely'ego, ale nie potrafiła wyrwać się z niewoli jego wzroku i zapachu. Ujęła w dłonie jego twarz, jeszcze gładką po porannym goleniu i podsunęła usta do pocałunku, który sprawił, że oblała ją fala gorąca. Po chwili zerwała się z kolan markiza, dopóki jeszcze mogła to zrobić, i uciekła na drugi koniec pokoju. Tymczasem markiz wstał i obszedł krzesło, żeby rozwiązać węzeł na pończosze, a Jenny cofała się ku drzwiom, gotowa do odwrotu.

– Powiedz, co ci sprawiło większą przyjemność?

Przechytrzenie mnie czy moje pieszczoty?

– Chyba i jedno, i drugie. A co pan wolał?

Całować mnie czy skłonić do ucieczki, żeby mógł się pan rozwiązać?

Nie odpowiedział od razu. Uwolnił rękę i wyprostował się.

– W jednym miałaś rację.

– Słucham?

– Uwodzenie ciebie nie należy do zakresu obowiązków markiza Blakely'ego. Tę przyjemność rezerwuję dla siebie, dla Garetha.

Po tej uwadze Jenny czmychnęła, sięgając po drodze po szal.

Gareth stał w miejscu, póki drzwi nie zamknęły się za Esmereldą. Powinien ją odprowadzić, pomyślał, żeby nie spotkała jej jakaś przykrość ze strony służby, ale był zbyt skołowany tym, co się wydarzyło.

Uwiodła go! Wprawdzie nie do końca, niestety, ale przejrzała go na wylot. Wystarczyło, że wypowiedziała jedno słowo – jego imię – a pozwolił jej się związać, zarówno w dosłownym, jak i przerośnym tego słowa znaczeniu.

„Napisanie listu nie sprawiłoby mi takiej uciechy”, powiedziała Esmerelda. W życiu markiza nie było miejsca na uciechę. Nawet kiedy znajdował czas na akt seksualny, starał się, aby odbyło się to bez zaangażowania, niczym transakcja handlowa. Bezosobowa wymiana – pieniądze w zamian za przelotną fizyczną przyjemność. Zacisnął dłonie w pięści. Zmora tytułu pozbawiła go wszystkiego, co w życiu dobre i radosne. Postanowił, że na jedno musi sobie pozwolić: na tę kobietę. Będzie ją miał w swoim łóżku, żeby nie zapomnieć, iż pod maską markiza kryje się żywy mężczyzna. A jeśli Esmerelda obudziła w nim jakieś głębsze pragnienia, nie tylko fizyczną potrzebę... Spojrzał na własną rękę, w której ciągle jeszcze zaciskał jej pończochę. Fizyczne spełnienie wypędzi z jego serca te niewczesne tęsknoty. Gdyby nie udało się za pierwszym razem, będzie to powtarzał dopóty, dopóki nie rozwieją się w powietrzu jak dym. Na razie prześle jej jeszcze raz suknię, ale tym razem wraz z pokojówką.

## **Rozdział siódmy**

Ned miał ugruntowane wyobrażenia na temat mile spędzonego czasu. Na początek grono przyjaciół i kufel piwa. Potem wyścigi konne albo mecz bokserski i dziewczyna, która nie wzdraga się pokazać kostki u nóg. Do tego żarty i śmiech. Od dwóch lat, odkąd madame Esmerelda wypędziła z jego serca czarną melancholię, nauczył się cieszyć drobnymi przyjemnościami.

Wieczorek muzyczny w towarzystwie ponurego kuzyna zdecydowanie nie mieścił się w kategoriach przyjemności. Nie zaliczały się do nich również sztywno wykrochmalone damy, których sute spódnice służyły do ukrycia faktu, że kobiety istniały również od pasa w dół. Szczególnie jeśli jedną z tych dam była piękna lady Kathleen.

Usiadła w tylnym rzędzie, jak najdalej od Neda,

więc musiał odwracać głowę, żeby na nią zerknąć. Zresztą, nie miał ani powodu, ani chęci, aby ciągle na nią patrzeć. Była przeznaczona Blakely'emu, a mimo to przyciągała uwagę Neda. Może chodziło o jej pewność siebie, celowość ruchów? A może o wyraz jej oczu, gdy przyłapywała Neda na rzucaniu spojrzeń w jej stronę? Najpewniej zaś o to, że na tej sali nie było zbyt wielu osób, na których można było zawiesić oko, uznał Ned. Na przykład ta sztywna jak kołek baronowa, gospodyni tego pożałowania godnego wieczorku muzycznego, która właśnie wstała z miejsca, aby zapowiedzieć kolejny występ. Pewnie przyszła na świat, zanim wynaleziono coś takiego jak kobiece kostki u nóg. Ned podejrzewał, że gdyby zajrzał jej pod spódnicę, to znalazłby tylko halki i koronki. Westchnął. Już wolał patrzeć, niż słuchać. Nie był zbyt muzykalny. Poruszył się niespokojnie na swoim miejscu.

– Następny numer – ogłosiła donośnie gospodyni  
– to wydarzenie absolutnie wyjątkowe.

Zapewne atrakcja wieczoru, czyli śpiewaczka operowa ściągnięta po to, żeby w oczekiwaniu na jej profesjonalny występ słuchacze wysłuchali popisów amatorów. Ned nie potrafił zrozumieć, dlaczego Blakely nalegał na jego udział w tym spotkaniu. Może dowiedział się, że lady Kathleen tu będzie, pomyślał tęsknie. Tak, to musiał być powód. Przecież przyprowadził ze sobą madame Esmereldę, i to wystrojoną w najmodniejszą suknię. Ned odkrył ze zdumieniem, że to całkiem ładna kobieta.



– Markiz Blakely – ciągnęła baronowa, poruszając szybko chińskim wachlarzem – zaszczyć nas swoim występem.

Ned przypomniał sobie, że Blakely miał publicznie wykonać odę. Ale chyba nie zamierzał tego zrobić w pełnej ludzi sali? Wachlarz baronowej trzepotał w zawrotnym tempie. Nic dziwnego.

Jakiż to musiał być dla niej sukces! Ten odludek markiz Blakely nie tylko zjawił się na jej wieczorku muzycznym, ale także – po raz pierwszyw życiu – zaproponował swój występ.

Nie tylko gospodyni płonęła z ciekawości.

Wszystkie kobiety pochyliły się do przodu. Ucichł gwar rozmów, więc kiedy Blakely podszedł do baronowej, wszyscy usłyszeli ich wymianę zdań.

– Milordzie – zaświergotała – czy potrzebuje pan akompaniamentu?

Blakely przechylił głowę na ramię, jakby się zastanawiał. Ned wiedział, że to jeden z chwytów kuzyna, dzięki którym zyskał opinię wyjątkowo inteligentnego. Działo, choć nie musiał niczego udawać.

– Zamierzam przedstawić własną kompozycję

– oznajmił w końcu. – Jest utrzymana w stylu określanym w Brazylii nazwą *terrivel*.

– Ojej! – Baronowa o mało nie upuściła wachlarza z podekscytowania. – W Brazylii! Jakie to egzotyczne!

Blakely przyjął jej entuzjazm z ostentacyjnie znudzoną miną. Rozejrzał się po sali.

– Co oznacza, że akompaniament jest zbyteczny, bo i tak nie zdoła niczego poprawić.

Gospodyni była zakłopotana.

– Nie? Naturalnie, że nie. Doskonale rozumiem. Blakely skinął głową z wyższością i przeszedł na przód sali. Spojrzał na tłum z taką miną, jakby miał przed sobą gromadę trędowatych. Potem klasnął w dłonie i zaśpiewał. To nie była oda. To była katastrofa!

Ned zasłonił usta dłonią. Dobry Boże! Jak długo to jeszcze potrwa?

– Jedną z najtrwalszych cech Neda – zawodził Blakely. – To bezgraniczna lojalność. Nieważne, w jakie tarapaty wpakują się jego przyjaciele, on ich nigdy nie zawiedzie.

Ned tak mocno zacisnął zęby na własnej dłoni, że przegryzł rękawiczkę i skaleczył skórę. Odważył się rozejrzeć dokoła. Twarze wszystkich słuchaczy wyrażały najdalej posuniętą ostrożność. Wszystkich z wyjątkiem madame Esmereldy, której z błyszczących oczu biła złośliwa satysfakcja. Na szczęście dla niej markiz jeszcze nie skończył występu.

– Ned jest zawsze w dobrym humorze, co już samo w sobie stanowi rzecz godną uwagi. Byłby znakomitym politykiem, gdyby zależało mu na karierze.

Ned nie był pewien, czy można to uznać za komplement. A stwierdzenie, że „zawsze jest w dobrym humorze” bez wątpienia było dalekie

od prawdy. Odważył się zerknąć za siebie. W przeciwieństwie do pozostałych gości, lady Kathleen nie starała się udawać zainteresowania. Rozglądała się dyskretnie, zaciskając palce na poręczach fotela. Najwyraźniej wystrój sali wzbudzał w niej znacznie większą ciekawość niż występ markiza.

– Ned jest godzien najwyższej estymy – kontynuował Blakely. – Bo nie udaje kogoś, kim nie jest. Nie intryguje, nie snuje niecznych planów w rodzaju tego, jaki ja obmyślaaaam...

Blakely przeciągnął ostatnią nutę – jeśli ochrypły, niski dźwięk, jaki z siebie wydobywał, w ogóle zasługiwał na tę szlachetną nazwę. Patrzył prosto w oczy madame Esmereldy, która zarumieniła się i podniosła rękę do szyi. Dziwne, pomyślał Ned.

– ...i na tym kończę, nie próbując w tej odzie zachować rymu czy rytmu. – Blakely zamilkł.

Zapadła cisza. Na twarzach obecnych na sali gości malowała się wyraźna ulga. Blakely zmierzył wzrokiem słuchaczy z typową dla siebie lekceważącą obojętnością, jakby chciał powiedzieć: kto z państwa odważy się zabuczyć?

Nikt się nie odważył. Ned wyczuwał, o czym wszyscy myśleli. Mimo wszystko to markiz! Może w Brazylii wszystko wygląda inaczej? Występ był niewątpliwie egzotyczny, a na pewno nie gorszy od chińskiej opery, którą uraczono ich w minionym roku.

– Bravo! – zawołał Ned i zaczął klaskać. Na szczęście inni przyłączyli się do niego.

Blakely skłonił się sztywno i ruszył między rzędami na swoje miejsce. Nawet nie spojrzał na Neda, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że kuzyn go uratował. Ned doszedł do wniosku, że Blakely nie zna poczucia wstydu, i podkusiło go, żeby go jeszcze mocniej upokorzyć.

– Bis! – wrzasnął na cały głos.

Blakely spiorunował go wzrokiem. Przesunął się obok kuzyna i zajął fotel po drugiej stronie madame Esmereldy. Niestety, w tym momencie dama siedząca na prawo od Neda wychyliła się i zawołała:

– Milordzie, cóż za niespotykany styl! Chciałabym tylko wiedzieć, kim jest Ned?

Ned stłumił śmiech. Dobre pytanie! Był powszechnie znany jako pan Carhart. Koledzy ze szkolnej ławy zwracali się do niego po prostu Carhart. Tylko najbliższa rodzina oraz madame Esmerelda nazywały go Nedom.

Blakely najpierw starannie rozłożył poły fraka i usiadł sztywno wyprostowany na swoim miejscu, a dopiero potem raczył udzielić odpowiedzi ciekawskiej kobiecie.

– To człowiek. – Żadne bliższe wyjaśnienie nie padło z jego zaciśniętych warg.

– Aha. – Zamilkła na chwilę. – Czy ten styl naprawdę powinien mieć takie brzmienie?

Ned uważał, że ma święte prawo kpić z własnego kuzyna, nie tolerował jednak, gdy robił to ktoś inny.

– Dysonans jest teraz w modzie – rzucił od niechcienia. – To doprawdy wstyd, że Londyn tak bardzo odstaje od reszty świata.

Dwa zadania zostały wypełnione. Nedowi nie pozostało nic innego, jak dotrwać do zakończenia spotkania, które okazało się znacznie zabawniejsze, niż początkowo sądził. Czy lady Kathleen patrzyła na Blakely’ego? Czy ten okropny występ mógł podbić jej serce? Po raz czwarty tego wieczoru odwrócił się, żeby zerknąć na lady Kathleen.

Cztery to nie tak wiele, usprawiedliwił się w duchu. Na każdego mógł popatrzeć czterokrotnie.

Może pięć byłoby nie...

Nie było jej na miejscu! Poszukał jej wzrokiem. Przeciskała się między ostatnimi fotelami w tylnym rzędzie. Nikt na nią nie patrzył, wszystkie oczy były utkwione w śpiewaczkę operowej, która rozpoczęła właśnie arię bez porównania bardziej melodyjną od występu markiza. Lady Kathleen rozejrzała się po sali, więc Ned odwrócił się pośpiesznie.

Kiedy znowu zerknął do tyłu, dziewczyna wymykała się właśnie z salonu. Dziwne. Już po raz drugi opuszczała jakieś zgromadzenie wyjściem dla służby.

Bez namysłu ruszył za nią. Gdy tylko zamknął za sobą wąskie drzwi i śpiew z sali stał się tylko stłumionym szmerem, zawołał:

– Lady Kathleen!

Odwróciła się.

– O, Szalony Carhart. Tym razem sam.

Ned znieruchomiał. Wiedziała, jak się nazywa!  
To dobrze. Miała jednak wątpliwości co do stanu  
jego umysłu. A to źle. Bardzo źle.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, więc nie  
powinniśmy ze sobą rozmawiać. I zdecydowanie  
nie powinniśmy być w jakimkolwiek miejscu sam  
na sam – oznajmiła.

– Nonsens! – zaprzeczył Ned. – Pani zna moje  
nazwisko. Ja znam pani. – Wyciągnął do niej  
rękę. – Uściśnijmy sobie ręce i zostanmy przyjaciółmi.  
Lady Kathleen spojrzała krytycznie na jego  
wyciągniętą dłoń.

– No tak. – Ned zacisnął palce w pięść. – Panie  
nie ściskają rąk. Zapomnijmy o tym.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że na pańskiej  
rękawiczce są ślady zębów?

Ned błyskawicznie ukrył rękę za plecami.

– Gryzłem rękę, żeby nie wybuchnąć śmiechem  
podczas występu Blakely’ego – wyjaśnił. –

Pani zrobiłaby to samo na moim miejscu.

– Gryzł pan własną rękę? – Nagle uświadomiła  
sobie, co powiedziała, i zarumieniła się. To  
była pierwsza oznaka zakłopotania, jaką Ned  
u niej dostrzegł. W przeciwieństwie do innych  
panien nie odwróciła się, aby ukryć zażenowanie.  
Nie uciekła nawet spojrzeniem. Śmiało spoglądała  
mu w oczy. – Chyba cała wasza rodzina jest  
szalona.

– Wcale nie! – zapewnił Ned. – Tylko Blakely.

Zachowuje się tak od lat. W odróżnieniu od niego jestem zupełnie normalny. Tylko... nieco nerwowy, to wszystko.

– Musi pan być szalony, skoro pan za mną pobiegł. Powinien pan odejść, zanim ktoś nas tu zastanie i wyciągnie niewłaściwe wnioski.

– Gdyby pani nie zniknęła w korytarzach dla służby, nie miałyby pani tego typu problemów.

– Nie jestem... to znaczy ja nie...

– Ależ tak – stwierdził stanowczo Ned. – Ilekroć panią widzę, zmyka pani słabo oświetlonymi korytarzykami dla służby. To zagadka, którą muszę rozwikłać. Skonsultuję się z madame Esmereldą.

– Z madame Esmereldą?

– Tak. To ona przepowiedziała pani małżeństwo z Blakelym.

– Małżeństwo? Przepowiedziała? Blakely? Jakie znowu małżeństwo?! – Lady Kathleen przestała nad sobą panować. – Próbuje mnie pan wyswatać z człowiekiem, którego sam przed chwilą nazwał szaleńcem? Dlatego poszedł pan za mną? – Wyprostowała się na całą swą wysokość, ale nadal była nieco niższa od Neda. – Ściga mnie pan dla kuzyna? Myślałam...

Ned uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Zaraz to wytłumaczę. To, co powiedziałem przed chwilą o obłądnie Blakely'ego, to nieprawda.

On nie jest... taki zły. Właściwie ma parę zalet.

– Zapewne. Na przykład potrafi śpiewać.

- To akurat nie jest jego najmocniejsza strona...  
Ale ma za to tytuł markiza!
- To raczej nie jego zasługa, prawda?
- Jest wysoki. A kobiety lubią wysokich mężczyzn,  
prawda?
- To również cecha wrodzona.
- Nieprawda. – Ned odzyskał pewność siebie.
- Urodził się malutki, jak każde dziecko.  
Dopiero potem tak wyrósł.
- Lady Kathleen zakryła usta rękawiczką, żeby się  
nie roześmiać.
- Zgoda, ale on mnie nie bawi. – Popatrzyła  
Nedowi prosto w oczy. – To pewnie kolejny  
pański żart. W rzeczywistości wcale pan nie chce  
oddać mnie kuzynowi, prawda? On jest stary.  
Kiedy tak na niego patrzyła, Neda ogarnęło  
wzruszenie. Był tym zażenowany. Przecież nie  
powinien odczuwać radości, że lady Kathleen  
odrzuciła jego kuzyna. Zresztą w porównaniu  
z markizem czuł się niezdarny.
- Blakely jest bardzo odpowiedzialny – dodał  
z poczucia obowiązku. – Zdecydowanie bardziej  
niż ja.
- Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.
- I dlatego wysyła kuzyna w roli swata? – zakpiła.
- To na nic.
- Wystarczy na niego spojrzeć. – Ned nonszalancko  
oparł się o ścianę. – Czy ktoś taki jak on  
mógłby zakochać się bez odrobiny zachęty? Jest  
taki... uczony i racjonalny. Czemu jakakolwiek



kobieta miałyby go zechcieć? Potrzebuje mojego wsparcia.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Ned zrozumiał, że znowu udało mu się palnąć głupstwo. Nieuchronnym następstwem była utrata panowania nad sobą i ucieczkaw ciemność. Ned poznał to dawniej. Madame Esmerelda zdołała jednak przerwać ten cykl następujących po sobie okresów jasności i mroku. Powiedziała, że będzie mógł żyć bez obaw przed wahaniem nastrojów, i zapewniła, że nie jest szaleńcem. Przez cudowne dwa lata żył w błogim przeświadczeniu, że miała rację. Oto znów znalazł się na krawędzi. To wróciło.

– Czemu jakakolwiek kobieta miałyby zechcieć pańskiego kuzyna? – Lady Kathleen powtórzyła słowa Neda. Spojrzała w głąb korytarza i westchnęła.

– Niech pan nie próbuje mnie z nim swatać. Jeśli nie chce pan ze mną rozmawiać... – Urwała, a na uniesionej ku Nedowi twarzy pojawił się cień niezrozumiałej melancholii.

Pokręcił głową, kompletnie skołowany, więc dziewczyna wskazała mu palcem drzwi do sali koncertowej, z której dobiegał stłumiony odgłos oklasków.

– Proszę odejść – powiedziała.

Gareth wymknął się z sali na taras. Po trzynastym uprzejmym pytaniu o style wokalistyki w po-

szczególnych krajach Ameryki Południowej i towarzyszącym im przesadnym komplementom, które nie mogły być szczere, doszedł do wniosku, że potrzebuje świeżego powietrza. Odetchnął pełną piersią.

Oczywiście było to jedynie londyńskie powietrze. Wraz z zapadnięciem mroku pojawiła się mgła, przez którą z trudem przebijało się żółtawe światło ulicznych latarni. Każdy haust wciąganego w płuca powietrza był przesiąknięty wilgocią, a także zapachem mokrej ziemi z niewielkiego ogródka na tyłach domu. Jednak nawet w tej eleganckiej dzielnicy wokół unosił się lekki smród ścieków.

Kiedy oczy markiza oswoiły się z ciemnością, spostrzegł, że nie jest sam. Esmerelda przysiadła na skraju granitowej ławki. Sztywno wyprostowana, wpatrywała się w nocne niebo, choć gęsta mgła ukryła przed ludzkim wzrokiem gwiazdy i księżyc. Na razie nie zauważyła Blakely'ego.

Wykorzystał to, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Wyglądała bardzo sztywnie w wybranej przez niego kremowo-czerwonej sukni. Pokojówka z agencji uczesała jej włosy i Esmerelda bez trudu wtopiła się w grono dam z towarzystwa. Krój toalety podkreślał kształtny biust i wąską talię. Szkoda tylko, że ukrywał zarys bioder i zgrabne nogi. Poprzedniej nocy, we śnie, dotykał stóp o drobnych, delikatnych kościach, przesuwając dłonią po łydce, wyżej i wyżej...

Z wysokich, francuskich okien światło padało na taras. Gareth starał się trzymać najciemniejszych miejsc i stapać bezgłośnie. Skórzane podeszwy butów zaskrzypiały jednak na kamiennej posadzce i Esmerelda odwróciła ku niemu głowę, trochę wystraszona i zaskoczona.

– Ukryłaś się tutaj? – zapytał.

Spojrzała mu prosto w twarz, a potem znowu odwróciła głowę.

– Teraz wyrównaliśmy rachunki.

– Wyrównaliśmy rachunki? – W głowie Garetha zamajaczyła myśl o rewolucji francuskiej. Wolność, równość i te wszystkie brednie. – Nonsens!

– Związałam pana – wyjaśniła. – Zrewanżował się pan, wtlaczając mnie w ten okropny gorset. Nie mogę nawet głębiej odetchnąć.

Gareth wypuścił z płuc powietrze ze skrywaną ulgą. Miała na myśli ich małą prywatną rozgrywkę. Oczywiście! Ta uwaga nie mogła dotyczyć niczego innego.

– Przyzwyczaisz się.

– Dlaczego miałabym się do tego przyzwyczajać?

Nie mam ochoty dłużej odgrywać roli pani Margaret Barnard.

– Nawet dla tak błyskotliwego towarzystwa?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego wypowiedziane z przekąsem słowa.

– Zapytano mnie, czy życzę sobie otrzymywać zaproszenia na herbatki dobroczynne dla pań z towarzystwa. Zdaje się, że uczestniczki haftują

chusteczki do nosa, które są później rozdawane.  
Akcja ma na celu szerzenie higieny wśród biedoty.

– Nie jesteś wielbicieleką dobroczynności?

A może masz awersję do higieny?

– Myślę, że haftowane chusteczki do nosa trafiają od razu na śmieci. To strata czasu. Czy te damy naprawdę są zadowolone?

– Nie. Ani mężczyźni – rzucił bez zastanowienia Gareth.

Madame Esmerelda przechyliła głowę.

– Pan z pewnością lubi występować w roli wszechwładnego i wszytkowiedzącego markiza i narzucać innym swoją wolę. Wystarczyło jedno spojrzenie na pana i ludzie z towarzystwa zaczęli się zastanawiać, czy nie należałoby nauczyć się tej nowej manieri śpiewania, choć jest absurdalna.

Czy pan nie odczuwa najmniejszego współczucia dla bliźnich?

– Nigdy – odparł bez wahania Gareth.

Współczucie? Ludzie z towarzystwa potępili jego matkę za to, że za ledwiewrok po śmierci małżonka szczyłającego się tytułem lorda wyszła za zwyczajnego człowieka. Dziadek nie krył dezaprobaty i matka zgodziła się oddać mu pod opiekę Garetha, żeby nauczył się, jak być markizem. Resztę dzieciństwa zmarnował na wypełnianie niekończących się powinności i obowiązków. Wyższe sfery i dziadek nigdy nie okazywali mu współczucia.

– Może i namieszałem im w głowach brazylijskim śpiewem, ale na nic innego nie zasługują.

– W takim razie jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż przypuszczałam. To samo mogłabym powiedzieć o roli madame Esmereldy.

– Dlatego podjęłaś ten oszukańczy proceder? Z pogardy dla wyższych sfer? Żeby nas ośmieszyć? Wyśmiewasz się w duchu z Neda, który jest gotów skoczyć w ogień na twoje skinienie?

– Początkowo może tak. Uważałam to za żart. Z czasem rola madame Esmereldy naprawdę mnie wciągnęła. A jeśli chodzi o Neda... Czy można nim gardzić? Udawanie kogoś, kim się nie jest, to niebezpieczne zajęcie. Zanim człowiek się zorientuje, już wchodzi w rolę, i to nieodwołalnie.

Bywają takie dni, kiedy niemal nienawidzę madame Esmereldy.

W zakamarku mózgu Garetha załęgła się myśl, że madame właściwie przyznała się do oszustwa. Nie odczuł jednak triumfu, bo powiedziała tylko to, o czym oboje wiedzieli. Dopóki nie powtórzy tego w obecności Neda, nic mu nie przyjdzie z jej wyznania. Jej słowa zabrzmiały znajomo, jakby wyraziła głośno jego myśli. Bywały dni, kiedy Gareth nienawidził roli markiza.

Jenny podniosła na niego wzrok. W nocy jej oczy były ciemne jak głębokie jeziora. Światło z okien sali wydobywało z mroku na poły odsłonięte, unoszące się woddechu piersi. Rzeczywiście oddychała płycej niż dawniej. Płycej, ale szybciej. Ciekawe, jak bardzo przyspieszyłby jej oddech, gdyby Gareth pochylił się i musnął

językiem te kremowe półkule tuż nad brodawkami?  
Pragnął jej. Nie tylko tych miękkich wypukłości,  
które tak doskonale pasowały do jego dłoni.

Pragnął kobiety, która go związała.

– Musisz zdawać sobie sprawę z tego, że nie  
masz szansy na wygraną. Zostało mi już tylko  
jedno zadanie, a nie odczuwam najmniejszej  
skłonności do poślubienia lady Kathleen. Wkrótce  
wypełnię wszystkie twoje wymogi i Ned przekona  
się, że jesteś oszustką. Jego niewolnicze  
przywiązanie i bezgraniczne zaufanie nic ci nie  
dały.

– Nie zależało mi na tym, żebym coś zyskała,  
milordzie. Raczej na tym, żeby pan stracił.

– Reputację? Nic z tego. Sama widziałaś, jak  
dzisiaj zdusiłem w zarodku plotki. Wystarczyła  
arogancja, wyniosłość i lodowate spojrzenie. Musiałaś  
zrozumieć, że żadne z wymyślonych przez  
ciebie zadań nie zdoła nadszarpnąć dobrego imienia  
markiza Blakely'ego. Na tym polu nie uda ci się  
odnieść sukcesu.

– Z pewnością. – Wbiła wzrok w przestrzeń. –

Ale znowu: nie na tym mi zależało.

Każdy z obecnych na sali mógł dostrzec przez  
okno ich sylwetki. Z takiej odległości odniósłby  
zapewne wrażenie, że prowadzili niezobowiązującą  
konwersację albo prawili sobie komplementy.  
Ewentualnie wymieniali uwagi o wspólnych znajomych.  
Nic więcej.

– Mogę ci zaoferować swój patronat, jeśli skończysz z tą idiotyczną rozgrywką. Zostań moją utrzymanką. Zapomnij o tych bezsensownych celach, które chciałaś osiągnąć.

– Gdybym pragnęła zostać czyjaś utrzymanką, to nie zadałabym sobie tyle trudu, żeby wykreować postać madame Esmereldy. Nie jestem zainteresowana.

– Nie byłabyś czyjaś utrzymanką. Byłabyś moją utrzymanką.

Potrząsnęła głową.

– Mówiłam już panu, dlaczego się nie wycofam. Pan odpycha ludzi, rozdziela ciosy. Złożył mi pan propozycję po starannym przeprowadzeniu rachunku zysków i strat. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że jedyne uczucia, jakie pozwala pan sobie uzewnętrzniać, to duma, gniew i wzgarda? Nie okazuje pan radości czy rozbawienia ani smutku lub rozpacz.

– Dlatego, że nie zdradzam każdej myśli...

– Pan ukrywa pewien rodzaj uczuć – przerwała mu bezceremonialnie madame Esmerelda. – Dlaczego nigdy się pan nie uśmiecha?

– Dlaczego nie spuszczałam głowy w chwilach upokorzenia? Nie wyrywam sobie włosów z żalu? Nie ślinię się jak pies do każdego, kto budzi moją sympatię? Mam swoją dumę.

– Większość osób ceni dumę, ale to nie powód, by rezygnowali dla niej z własnego człowieczeństwa. Albo z innych ludzi.

Uważa więc, że jestem nieludzki? – zadał sobie w duchu pytanie Gareth.

– Rozumiem – rzekł lodowatym tonem. – Nie lubisz mnie.

Jenny odchyliła głowę do tyłu i spojrzała Garethowi prosto w oczy. I znów poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Chciał czuć przy sobie jej skórę, rozpuszczone włosy muskające tors.

– Nie. Raczej nie przepadam za markizem Blakelym. Zastanawiam się, dlaczego tak często odgrywa pan rolę markiza.

– Odgrywam rolę markiza? Ależ ja jestem markizem!

– A ja jestem madame Esmereldą. I panią Margaret Barnard. Myśli pan, że nie potrafię dostrzec maski, chociaż mam ją przed nosem?

– Maski? A jak sądzisz, co pod nią skrywam?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Wszystko wskazuje na to, że był pan wyjątkowo skrytym dzieckiem. Chłopcem, który funkcjonował na uboczu, poza centrum życia rodziców.

Cichym, pilnym. Może trochę zbyt spokojnym i nadmiernie zainteresowanym naukami przyrodniczymi, ale za to straszliwie znudzonym sportem. Niewątpliwie czuł się pan okropnie skrepowany w towarzystwie rówieśników. A kiedy zbijali się w grupki, co jest najzupełniej naturalne u dzieci, to w głębi serca podejrzewał pan pewnie, że naśmiewają się z pana.

– Interesująca teoria. Szkoda, że niepoparta



dowodami. – Gareth z najwyższym trudem zachował zimny ton głosu.

Od dawna nie wracał pamięcią do tamtych okropnych pierwszych lat w Harrow. Słowa Esmereldy wydobyły je z najodleglejszych zakamarków mózgu, przyprawiając go o mdłości. Wolał wyobrazić sobie, że łączy się z Esmereldą, a ona gwałtownie wciąga powietrze. Skoncentrował się na tym obrazie, żeby odepchnąć od siebie te przywołane jej słowami.

Jenny nie pozwoliła mu uciec przed wspomnieniami. – I chyba miał pan rację. Rzeczywiście wyśmiewali się z pana.

Tak było. Gareth zacisnął pięści.

– A potem odkrył pan, w jaki sposób położyć temu kres. Nie można wyśmiewać się z człowieka twardego jak kamień, stojącego wyżej w hierarchii towarzyskiej.

– To wszystko nie ma żadnego związku z moją propozycją. Powiedz Nedowi, że jesteś oszustką. A ja wezmę cię do łóżka.

– Żadne z nas tego nie chce, milordzie. Pan również nie chce, żeby markiz Blakely poszedł ze mną do łóżka. Choć pewnie już pan zapomniał, jak to jest być Garethem. Wszyscy na tym cierpią. Ja cierpię. Ned cierpi. – Zamyśliła się na chwilę. – Cierpi również służba. Ile trwało, zanim oduczyl pan ich wszystkich uśmiechać się do innych?

– Nie ponoszę odpowiedzialności za wyraz twarzy moich służących.

– Doprawdy? A proszę wymienić nazwisko choć jednego ze swoich ludzi, który uśmiechnął się w pana obecności.

Nazwisko? Gareth żył w przekonaniu, że przeważająca część jego służby nie miała nazwisk. Ani twarzy, bo kryli je za miotełkami do ścierania kurzu, kiedy zdarzało mu się czasem zwrócić na nich uwagę. Przecież zadaniem służby było przemykanie się niezauważalnie w cieniu. Oczywiście wiedział, że jego służba to normalni ludzie, mający niewątpliwie ludzkie uczucia. Co nie oznaczało bynajmniej, że on powinien zaznajamiać się z nimi szczegółowo.

Madame Esmerelda spojrzała na niego wymownie.

– White. – Gareth przypomniał sobie w końcu jedno nazwisko.

– White to...

– Mój plenipotent.

– Znakomicie – stwierdziła Esmerelda. – Niech pan się z nim zaprzyjaźni.

– Co? Mam się z nim zaprzyjaźnić?

– Tak.

– Wolę pójść z tobą do łóżka. Nie mogę się z nim zaprzyjaźnić.

– Dlaczego?

– Bo nie należy do socjety. Pomyśl tylko, z jakiej rodziny musi się wywodzić. Ja jestem

markizem, Esmereldo! Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mogę przyjaźnić się z byle kim. –

Spierał się nie tylko z nią, ale i z samym sobą.

– Zatrudnił go pan, więc nie jest byle kim.

Garetha niepokoiła nie tyle perspektywa posiadania przyjaciela, ile proces zaprzyjaźniania się.

Pamiętał pierwsze lata w Harrow. Bezskutecznie usiłował nawiązać bliższe kontakty z kolegami. Te nieśmiałe próby okazały się nieudane i bolesne.

Natomiast jego rówieśnicy bez problemów tworzyli grupy koleżeńskie. Nie znęcano się nad nim, jak nad kilku innymi chłopcami – chronił go imponujący rodowód – ale był izolowany. Dwa lata nieśmiałych prób zadzierzgnięcia znajomości, stania w milczeniu na uboczu. Dwa lata rozważania, w jaki sposób mógł włączyć się do rozmowy, kiedy okazja już dawno minęła.

– Proszę nie robić takiej posepnej miny – rzuciła karcącym tonem madame.

Początkowe skrepowanie i izolacja przekształciły się z czasem w wyniosłość i dumne odosobnienie.

Garethowi przestało zależeć na dobrej opinii kolegów. A nastąpiło to, oczywiście, w momencie, gdy byli gotowi mu ją ofiarować. Esmerelda nie miała prawa ożywiać wspomnień. Jakby była mu równa i mogła wtykać nos w jego sprawy! Jakby on należał do ludzi, którzy przyjaźnią się z własnymi plenipotentami! Którzy potrafią zaznać uciechy z kobietą!

– Przyjaciel! Też coś! – rzucił zirytowany i spo-

jrzał na nią z góry. Dostrzegł jej szeroko otwarte  
oczy. Pojął, co w tym momencie czuła: litość.  
– Biedny Blakely. – Pokręciła głową. – Pan  
musi być okropnie samotny, skoro ma się pan za  
lepszego od wszystkich ludzi na świecie.  
Te słowa zdołały wreszcie ostudzić dręczące  
Garetha pożądanie. Esmerelda, oszustka, szarlatanka  
i prawdziwa diablica, potrafiła dostrzec jego  
samotność.

## **Rozdział ósmy**

Zadanie, jakie tym razem Esmerelda postawiła przed Garethem, wydawało mu się trudne już poprzedniego wieczoru. Rano, w jasnym świetle dnia, okazało się szczególnie trudne!

W gabinecie rozlegało się skrobanie pióra, którym White starannie robił notatki. Gareth zdawał sobie sprawę, że ten nieznośny, jak odniósł wrażenie, odgłos musiał być produktem jego rozgorączkowanego umysłu. Jednak to w najmniejszym stopniu nie zmniejszało jego rozdrażnienia spowodowanego skrobaniem stalówki o kartkę.

Esmerelda postawiła wszystko na głowie. Garethowi wcale nie zależało na przyjaźni. Nie był samotny. W Brazylii całe tygodnie spędzał na pustkowiu, nie widując ludzkich twarzy, i nie odczuwał potrzeby rozmowy. No, może raz czy dwa. Ale tak samo tęsknił za gorącą kąpielą czy łykiem brandy. Było to przelotne pragnienie, które tłumił w sobie bez trudu i szybko wyrzucał z pamięci.

Nieważne, co madame chciała osiągnąć, wyznaczając mu ostatnie zadanie, ale wychodziła z fałszywego założenia. Gareth nie potrzebował nikogo. A nawet gdyby, to przyjaźń z plenipotentem nie mogła stanowić remedium na nawiedzający go od czasu do czasu ból w piersi.

Szur, szur, skrob, skrob.

Zirytowany Gareth podniósł wzrok. White odwrócił kartę w księdze rachunkowej i położył przed sobą na biurku czysty arkusz papieru. Bez wątplenia zamierzał zanotować pomysł, jak zmodernizować któryś z młynów w jednym z rozległych majątków ziemskich, należących do Garetha. Później przedyskutują jego sugestie z punktu widzenia interesów. Bez akcentów osobistych, na dystans, jak Gareth lubił.

Nie zamierzał zaprzyjaźniać się z White'em. To absurdalny pomysł. Tak właśnie jej powie! Nie miał ani czasu, ani energii na realizację idiotycznych zadań Esmereldy. Powie Nedowi... Chociaż trzecie zadanie nie miało związku z Nedom. Nie chodziło w nim nawet o wykazanie wyższości nauki nad tym, co irracjonalne. Dotyczyło tylko Garetha. Kiedy po śmierci ojca został wysłany do Harrow, marzył o koleżeństwie, jakim cieszyli się inni chłopcy. Myślał, że to pragnienie ostatecznie go opuściło, a tymczasem ukryło się tylko w najod-

leglejszym zakamarku jego duszy. Esmerelda wydobyła je na światło dzienne.

Gareth przeklinał ją za to.

– White. – To słowo miało w ustach gorzki, nieprzyjemny smak. Brzmiało dokładnie tak, jak uczył go dziadek.

Plenipotent podniósł głowę znad księgi.

– Milordzie?

Gareth spojrzał z nieskrywaną irytacją na pióro, które przysparzało mu takiej udreki. Jak postąpić?

Nie mógł przecież nakazać plenipotentowi przerwania pracy, do wykonania której został zatrudniony. Gareth zrobił niecierpliwy ruch ręką. Kompetentny White prawidłowo zinterpretował ten gest jako: odłóż to przekłete pióro i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Bez wątpienia spodziewał się rozmowy o posiadłościach markiza, a czekała go swobodna pogawędka.

– Jesteś żonaty?

Na twarzy plenipotentu odmalowało się zdumienie.

– Tak, milordzie.

– Masz dzieci?

– Czworo.

Zapadło niezręczne milczenie. Przyjaźń z plenipotentem?

– zżymał się w duchu Gareth. Pomysł

był absurdalny. Ich sytuacja życiowa różniła się diametralnie. White był głową rodziny, człowiekiem żonatym i dzieciatym. Gareth nie miał mu nic do powiedzenia. Idiotyzmem było przekonanie,

że mogła się zrodzić między nimi przyjaźń. Gareth przebiegł w myślach zawartość swej biblioteki. Tomy poświęcone rolnictwu. Księgi po łacinie i grece. Taksonomia, biologia, filozofia naturalna, matematyka. Przeczytał wszystkie. Niektóre więcej niż raz. Znał sześć sposobów udowodnienia twierdzenia Pitagorasa. Wpadł przynajmniej na tuzin pomysłów na stymulację zatrudnienia w swych posiadłościach w środkowej i wschodniej Anglii. Natomiast nie miał pojęcia, jak kontynuować rozpoczętą rozmowę. Postanowił jednak spróbować.

– Co sądzisz o pogodzie?

Chłodny, formalny ton głosu zabrzmiał nieprzyjemnie nawet w jego własnych uszach. Kojarzył się z hiszpańskim inkwizytorem, który ściga heretyka, a może nawet całą gromadę meteorologicznych heretyków.

– Milordzie? – Nic dziwnego, że na twarzy White'a malowała się konsternacja. – Dobrze się pan czuje?

Gareth otworzył leżącą przed nim księgę buchalteryjną. Liczby, bezduszne, ale kojące. Kwoty wydatków i wpływów, dostaw i sprzedaży. Pasza dla trzody. Inwestycja w nowy zakład ceramiczny w posiadłości, która została ostatnio przyłączona do sieci kolejowej. Pieniądze wypływały i wpływały na rachunek, po miesiącach urastając do poważnych sum. Każdy pens został zapisany na kartach tej księgi. Dysponował niemal nieograniczonym



funduszem na własne wydatki, a po trzydziestu pięciu latach nadal nie potrafił zdobyć przyjaciela.

– Nieważne – burknął i wbił wzrok w księgę.

Po chwili pióro White'a znowu zaskrobało o papier.

Tego wieczoru markiz Blakely wdarł się do mieszkania Esmereldy, niemal wyrywając drzwi z zawiasów. Wpadł do środka wraz z powiewem zapowiadającym wiosenny deszcz. Nie przyniósł jednak ze sobą wiosennych nadziei. Wręcz przeciwnie, cały świat skurczył się w oczach Jenny do zasepionej twarzy markiza. Ruszył ku niej bez słowa, niczym generał zbliżający się do najpośledniejszego piechura w swojej armii. Jednak oficer nie oparłby podkomendnego o ścianę, zamykając go w klatce swych ramion.

Jenny poczuła przyływ rozdrażnienia. Wyprostowała się i zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

– Nie może pan wpadać do mojego mieszkania jak burza, Blakely.

– A kto mi zabroni? Jestem markizem, a ty... –

Ująłwłdłonie jej twarz. – Ty... – rzucił pogardliwie.

– Co ja? – zapytała Jenny.

– Jeżeli widzę w ludziach to, co najgorsze, to dlatego, że oni sami tego nie widzą – wycedził. –

Weźmy na przykład ciebie. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co wyprawiasz z moim

kuzynem. Możesz próbować to ubrać w najpięk-

niejsze słowa, ale i tak nie zdołasz ukryć faktu, że go oszukujesz, w dodatku za pieniądze.

Jenny położyła dłonie na piersi markiza.

– To nie usprawiedliwia pańskiego zachowania

– odparła i próbowała odepchnąć go od siebie.

Nawet nie drgnął.

– A więc nie zaprzeczasz.

– To nie tak. Pan nie rozumie Neda. Nie zadał pan sobie trudu, aby go zrozumieć. Nie było pana w pobliżu, gdy został usunięty z Cambridge, i nie pojmuje pan...

– Żerujesz na głęboko tkwiących w nim lękach.

Nie pomagasz mu. On nie może oczekiwać od świata wsparcia czy zrozumienia. Kiedy pewnego dnia Ned przejmie po mnie tytuł markiza, nikt nie będzie się przejmował, czy ma przyjaciół. Nie musi być szczęśliwy. Musi być gotowy. Przyjmij to wreszcie do wiadomości, Esmereldo.

Oparła się plecami o zimną ścianę.

– Gdyby pan miał elementarne pojęcie o przyjaźni, nie prosiłby mnie pan, żebym go opuściła.

– Jeżeli nie myślisz o Nedzie, to pomyśl o sobie.

Postaraj się spojrzeć na siebie moimi oczami. Jak sądzisz, co widzę?

Jenny zamknęła oczy.

Lord Blakely musnął palcem jej policzek.

– Jesteś oszustką, kłamczuchą i naciągaczką.

Co ty możesz wiedzieć o przyjaźni? Ile pieniędzy

wyciągnęłaś od Neda? W zamian nie zdradziłaś mu nawet swego prawdziwego imienia.

Kiedy uniosła powieki, obraz rozmywał się jej przed oczami, ale zapanowała nad sobą i ani jedna łza nie spłynęła z jej oka.

– Nie mogłaś zdradzić Nedowi swojego imienia, lecz mnie możesz.

– Czemu mnie pan dotyka?

Dłoń, którą markiz gładził policzek Jenny, znieruchomiała.

– Dlatego – mruknął chrapliwie.

– Dostrzega pan więcej, niż gotów przyznać.

Patrząc na mnie, widzi pan...

Pochylił głowę i zawładnął jej ustami. Obejmował ją bez śladu delikatności czy czułości,

a jednak Jenny zapragnęła pozostać w jego ramionach i udawać przed sobą, że mu na niej zależy.

Nie potrafiła. Zacisnęła usta i odwróciła głowę.

– Proszę przestać – szepnęła błagalnie.

– Nie. – Siłą odwrócił jej głowę.

Wtedy zdesperowana Jenny z całej siły spoliczkowała markiza. Powoli opuścił ręce, a w jego oczach pojawił się wyraz niedowierzania.

Jenny potrząsnęła dłonią, w której czuła mrowienie.

– Nieważne, czy kogoś okłamuję. Pański tytuł jest też bez znaczenia. Kiedy patrzę na siebie, widzę kobietę, która zasługuje na szacunek. Niech pan nie waży się dotykać mnie bez pozwolenia.

Blakely skrzywił się i zaczął rozcierać policzek.

– Do licha!

– Wie pan, co widzę, patrząc na pana?

– To mnie nie interesuje. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Ani ty, ani mój plenipotent mnie nie obchodzie. Nie dbam o przyjaźń. Wszystko to funta kłaków niewarte. Mam już dość prób. Do niczego nie prowadzą.

Kawałki układanki wreszcie trafiły na miejsce: oburzenie markiza, jego wściekłość, niezadowolenie.

Jenny pojęła, co spowodowało tak spektakularny wybuch. Blakely usiłował zaprzyjaźnić się ze swym plenipotentem i poniósł porażkę. Nic dziwnego. Przyjaźni nie można nakazać, a markiz miał niewielkie doświadczenie w kontaktach z ludźmi opartych na innych zasadach niż polecenie, rozkaz, żądanie.

– Milordzie – zaczęła Jenny – nie obchodzi mnie, jak dotkliwą porażką zakończyła się dla pana próba zawarcia przyjaźni. Nie zamierzam być kozłem ofiarnym, na którym wyładowuje pan frustrację.

– Wcale tego nie robię – oburzył się. – Zachowuję się tak, jak mi się podoba.

Jenny westchnęła.

– Jest pan człowiekiem inteligentnym, więc proszę nie szukać dla siebie wymówek.

– Po prostu nie zawieram przyjaźni. Tobie to łatwo...

– Przyjaźń jest łatwa, milordzie – wpadła mu w słowo Jenny. – Udaje się nawet takim po-

spolitym istotom jak ja. Wystarczy poszukać tego, co nas łączy z drugim człowiekiem, i porozmawiać o tym. Reszta przyjdzie sama. Niech pan spróbuje rozmawiać, zamiast rozkazywać. Niech pan poszuka w drugim człowieku zalet, a nie wad.

Blakely zaczął obciągać mankiety, wyrównując je z pedantyczną precyzją. Odwrócił dłonie i uważnie im się przyjrzał. Kiedy wreszcie podniósł głowę, miał minę zbitego psa.

– Mój Boże, pan jest naprawdę samotny, milordzie

– palnęła bez zastanowienia Jenny, nagle pełna współczucia.

Zapadło milczenie.

– Lepiej już pójdę – odezwał się wreszcie Blakely.

Jenny nie pozostało nic innego, jak zamknąć za nim drzwi.

W kilka godzin później Jenny po raz trzeci poprawiła czarny materiał okrywający stół, chociaż leżał idealnie symetrycznie, podobnie jak dwie minuty wcześniej, kiedy robiła to poprzednio.

Małe mosiężne dzwoneczki rozdzwoniły się cicho poruszone powiewem wiatru, który wpadł przez otwarte okno. Wybrała je, ponieważ ich dźwięk wydawał jej się egzotyczny i budził skojarzenia ze Wschodem.

Jednak gdy wpuściła Neda do środka, czuła wyraźnie, że czegoś brakuje. Nie wystarczały ani unoszący się w powietrzu aromat drewna sandało-

wego, ani najpiękniejsza nawet czarna materia.

Nie, zabrakło czegoś znacznie bardziej istotnego.

Jenny straciła serce do odgrywania roli wróżki.

– Madame Esmereldo, przyszedłem po radę – rozpoczął Ned.

Jenny wyciągnęła rękę.

– Połóż na mojej dłoni srebro.

Kupka szylingów, jaką wsypał jej do ręki, wydała jej się zimna jak lód i ciężka jak ołów.

Dziesięć szylingów. Wystarczy na czynsz za cały kwartał, w przyszłym tygodniu mijał termin zapłaty.

Ta myśl wzmogła tylko jej wyrzuty sumienia.

Spojrzała na siebie oczami markiza i to, co zobaczyła, przyprawiło ją o mdłości. Była słaba i chciwa. Wprawdzie nie oszukiwała Neda dla pieniędzy, lecz z przyjaźni, a to było znacznie bardziej podłe.

Jenny zdobyła się na blady uśmiech.

– W czym ci mogę pomóc?

Ned pochylił się i oparł ręce na kolanach. Jego oczy błyszczały gorączkowo.

– To nie działa. – Zauważył zdumienie madame, więc wyjaśnił: – Zadania nie spełniły oczekiwań.

Ani Blakely nie zakochał się w lady Kathleen, ani ona w nim.

Dwa tygodnie temu Jenny poprosiła, żeby Ned jej zaufał. Zalecała cierpliwość i opanowanie, po czym dodała parę okultystycznych bredni w rodzaju:

„Z pomocą Jupitera szczęście spotka tych, którzy czekają”. Dwa tygodnie temu Blakely był

dla niej tylko mitycznym kuzynem, o którym Ned mówił z lękiem.

„Jeżeli widzę w ludziach to, co najgorsze – powiedział markiz – to dlatego, że oni sami tego nie widzą”. Cóż, Jenny uświadomiła sobie własne wady, patrząc w pełne nadziei oczy Neda, który z niecierpliwością oczekiwał jej odpowiedzi. Liczyła na to, że pomoże Nedowi, zmiękczyć nieco jego kuzyna. Chciała, by Blakely docenił zalety Neda, by nauczył się dostrzegać w ludziach dobro. Tymczasem nawet Ned zauważył, że zadania nie doprowadziły do celu. Blakely nie złagodniał. Niezależnie od tego, jak brutalnie zabrzmiały jego słowa, miał słuszność w ocenie stosunków łączących Jenny z Nedom.

Dopiero kiedy spojrzała na siebie jego oczami, spostrzegła własny egoizm. Uświadomiła sobie, że w głębi serca tęskni za ludzkim szacunkiem. Jako Jenny Keeble go nie zaznała, więc stworzyła madame Esmereldę. Nie miała żadnych oporów i wkrótce zdobyła klientelę, która każde jej słowo uważała za prawdę objawioną. Nie był to jednak prawdziwy szacunek, ponieważ miał źródło w fałszu.

Nie zasługiwała na podziw Neda. Nawet teraz, w obliczu jego zdenerwowania, nie potrafiła się zdobyć na wyznanie, że te zadania były wyłącznie jej wymysłem, że żadne duchy nie istnieją, a ona jest oszustką. Nie mogła znieść myśli, że zgasłoby światło w jego oczach. Zrozumiała, ile złego

wyrządziła Nedowi. Uzależniła go od swoich rad nawet w najdrobniejszych sprawach.

– Ned. – W jej głosie pojawiło się wahanie, chociaż madame Esmerelda nigdy się nie wahała. Tyle że w tej chwili przez jej usta mówiła Jenny. Ned wyczuł jej niepokój i zmarszczył brwi. Może jednak uda jej się jakoś... Nie, nie sposób wszystko naprawić. Po dwóch latach kłamstw można już tylko zmniejszyć rozmiar wyrządzonego zła.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam przed dwoma laty? Że pewnego dnia staniesz się mężczyzną?

Ned kiwnął głową.

– Ten dzień właśnie nadszedł. Czas, żebyś stał się mężczyzną. Pora z tym skończyć.

Popatrzył na nią tępo.

– Nie rozumiem. Co mam zrobić?

– Problem polega właśnie na tym, że chcesz, abym ci mówiła, co masz robić. Jestem ci za to wdzięczna, choć to niewłaściwe. Nie czekaj na moje rady. Nie... – zająknęła się, ale dokończyła:

– ...nie ufaj mi.

Oślupiały Ned patrzył na nią tak, jakby cały jego świat odwrócił się nagle do góry nogami.

– Dlaczego zaufanie do pani miałoby być niewłaściwe?

– Musisz się nauczyć polegać na własnej opinii

– podkreśliła. – Sam podejmuj decyzje. Nie możesz zwracać się do mnie w każdej najdrobniejszej sprawie.



Zdezorientowany Ned cofnął się gwałtownie.

– Chcesz być mężczyzną?

Kiwnął głową, ale otoczył się ramionami, jakby próbował się przed nią bronić.

– Bycie mężczyzną to trudne zadanie. To odpowiedzialność i podejmowanie decyzji. To ciężka praca, sprostanie wymaganiom. Nadeszła pora, żebyś stanął na własnych nogach, bez niczyjej pomocy.

– Sam? – Cichy głos Neda zdradzał przerażenie.

Jenny wzięła go za rękę i uśmiechnęła się.

Powoli, jedną po drugiej, wrzucała mu do otwartej dłoni monety. Kiedy pozbyła się ostatniego szylinga, poczuła niemal euforię. Nie wypuściła jego ręki, a mocno ją uścisnęła. W duszy żegnała się z Nedom. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie – wyszeptała – nie musisz być sam. Tylko... mądrzej dobieraj przyjaciół.

Ned wysunął rękę z jej uścisku i odwrócił wzrok.

– Chyba rozumiem – powiedział.

– Naprawdę?

Skinął głową, unikając jej wzroku. Może naprawdę zrozumiał. Może wreszcie pojął to, czego

Jenny nie była w stanie z siebie wydusić: Jestem oszustką. Byłeś okłamywany.

Wyszedł po cichu.

Jenny przez kilka długich minut rozglądała się po pokoju. Przez lata zdołała zgromadzić sporą kolekcję rekwizytów okultystycznych. Fałszywe kamienie brukowe, które kazała ułożyć w naroż-

niku. Ponura czerń pochłaniająca wpadające przez okno światło dzienne, by jedynym źródłem światła był ogień płonący na kominku.

Dawniej przepowiadanie przyszłości wydawało jej się ekscytujące. Wypatrywała najdrobniejszych oznak reakcji na twarzach klientów. I mówiła to, co chcieli usłyszeć. Słuchali z zapartym tchem. W duchu wyśmiewała się z nich. To była zemsta Jenny Keeble za nieszczęśliwe dzieciństwo. Nie była lepsza od Blakely'ego, skoro tak traktowała swoich klientów. Na myśl o tym, jak haniebnie zdradziła lojalnego Neda, bynajmniej nie czuła rozbawienia.

Wbiła wzrok w płomienie i nagle uświadomiła sobie kolejną prawdę.

– Nie mogę tak dalej żyć. – Wypowiedziała te słowa na głos.

Co miała teraz począć? Jest kobietą, więc niewiele dróg zawodowych stoi przed nią otworem.

Mogła zostać szwaczką i tracić wzrok nad igłą, żeby zarobić na nędzną wegetację. Albo spróbować kariery nauczycielskiej. Może udałoby się jej dostać posadę, ale bez referencji szansa na to była nikła, a przecież nie mogła poprosić o nie markiza. Gdybym przeniosła się na prowincję, rozmyślała, oszczędności wystarczyłyby na dłużej. Mogła złożyć je w banku i żyć z procentów. Potrafiłaby tego dokonać pod warunkiem, że do końca swoich dni zachowa sprawność i energię, które pozwolą jej gotować i prac. To założenie było dość

ryzykowne, już nie mówiąc o tym, że takie życie wydawało jej się rozpaczliwie puste i bezcelowe. Żadna z tych nielicznych możliwości jej nie odpowiadała. Odetchnęła głęboko i zadała sobie zasadnicze pytanie: Czego naprawdę pragnę? Co bym zrobiła, gdybym mogła zacząć od nowa? Co chciałabym zmienić? Natychmiast otworzyła się stara rana.

Chciała mieć matkę. Chciała mieć dziecko.

Chciała być kimś, kogo nawet człowiek tak wymagający jak Blakely musiałby szanować.

Trzy marzenia niemożliwe do spełnienia.

Powoli i uroczyście zaczęła ściągać czarne pokrowce z mebli. A potem cisnęła je w ogień.

Najpierw z paleniska wzbiły się w górę kłęby popiołu i pyłu węglowego. Jenny rozkaszała się, żeby wyrzucić z płuc drażniące substancje. Przez chwilę zdawało się, że czarna materia pochłonęła światło i ciepło, zdusiła ogień. Potem jednak rozgorzała czerwienią, a wreszcie buchnęła jasnym płomieniem. Jenny zdejmowała po kolei jaskrawe, kolorowe spódnice i wrzucała je do kominka. Za nimi poleciała cygańska chusta z głowy i szal. Stała w samej bieliźnie, nie odrywając oczu od paleniska, choć wysokie płomienie parzyły jej uda. Wreszcie ogień przygasł i madame Esmerelda ostatecznie przestała istnieć.

## **Rozdział dziewiąty**

W dwa dni po wizycie Neda u madame Esmereldy

Gareth otrzymał od niego list.

„Spotkajmy się na wieczorze muzycznym u Arbuthnotów.

Punktualnie o ósmej. W błękitnej sali

jadalnej. To bardzo ważne. Nie przyprowadzaj

madame Esmereldy. Miałeś co do niej rację. Ned”.

Gareth nie mógł znieść myśli o Esmereldzie.

Ilekcóż wracał pamięcią do tamtego wieczoru,

ogarniał go wstyd. Siedział w gabinecie i udawał,

że pracowicie przebijają się przez długie kolumny

cyfr, a w rzeczywistości próbował zapomnieć

o Esmereldzie, co powinno być całkiem łatwe.

Niestety, nie było.

Blakely nie potrafił zapomnieć pełnego potępienia

wzroku kobiety. Otwarcie, bez ogródek

powiedziała to, co latami starał się ukrywać za

chmurną twarzą, ostrym tonem i okazywaną ludziom

wyższością. Nie umiał rozmawiać z nikim.

Nie potrafił się zaprzyjaźnić. Ilekroć podejmował taką próbę, kulił się wewnątrz, niepewny i skrepowany. W życiu każdego człowieka przychodzi jednak taki moment, kiedy nie chce dłużej odcinać się od innych. Gareth nie musiał uciekać się do wróżenia z fusów, żeby przewidzieć, jak wyglądałaby jego egzystencja, gdyby nadal izolował się od bliźnich. Byłby dojmująco samotny i rozżalony na los, a przecież gdyby tylko...

Gdyby tylko – co?

Ze wszystkiego, co madame Esmerelda powiedziała mu tamtego wieczoru, najgłębiej ubodło go stwierdzenie, że stał się tym, kim jest, na własne życzenie. Latami wmawiał sobie, że chłód i wyrachowanie to wrodzone cechy jego charakteru. Że nie mógł być ciepłym, kochającym bratem, o jakim marzyła jego siostra. Że nie był w stanie traktować Neda jak przyjaciela, a nie dyrygować nim jak bezwonną marionetką.

Esmerelda odarła go z iluzji. Sam wybrał takie życie. To, co było do zaakceptowania jako wyrok losu, stało się nie do przyjęcia jako samodzielna decyzja. Gareth czuł, że jeśli w nadchodzących latach nie zmieni postawy, to do końca życia będzie go dręczyła świadomość, że dobrowolnie skazał się na samotność. Gdyby tylko starczyło mu śmiałości, aby się przełamać i zmienić nastawienie do ludzi!

Jeśli miał zdobyć się na odwagę, to nie powi-

nien tego odkładać. Trzeba zrobić to teraz, tu, w gabinecie.

– White...

Plenipotent podniósł głowę znad dokumentów.

– Milordzie?

Gareth wbił spojrzenie w aksamitne zasłony widoczne za plecami White'a. Łatwiej mu przyjdzie rozmawiać, jeśli nie będzie musiał patrzeć mu w oczy.

– Wydaje mi się, że mamy ze sobą... – Gareth zaciął się, ale głęboko nabrał powietrza i szybko dorzucił: – dużo wspólnego.

– Tak?

Kątem oka Gareth dostrzegł, że zaskoczony White zmarszczył czoło. Miał ochotę tupnąć nogą ze zniecierpliwienia, ale zdołał się opanować.

– Tak, mamy. – Do licha, w jego głosie znowu pojawił się ten rozkazujący, apodyktyczny ton.

– Może mógłby pan podać przykład, milordzie?

Gareth nie miał najmniejszej ochoty podawać przykładów! Musiał jednak zdobyć się na pewien wysiłek, jeśli chciał osiągnąć cel. Szybko przebiegł w myślach te nieliczne informacje o swym plenipotencie, jakimi dysponował.

– No... – stwierdził w końcu – obaj jesteśmy mężczyznami.

White przechylił głowę na bok. Ten ruch zmusił Garetha do oderwania wzroku od zasłony i spojrzenia rozmówcy w twarz.

– To prawda – przyznał White. – Jesteśmy.

– I – ciągnął Gareth z wysiłkiem – jesteśmy w podobnym wieku.

– Rzeczywiście, milordzie.

Gareth poczuł się jak patentowany idiota, o co zapewne chodziło Esmereldzie. White czekał, z jego twarzy nie znikął wyraz zaciekawienia. Przypominał teraz Garethowi gołębia, który zastanawia się nad tym, czy wziąć okruszek chleba z dłoni dziecka. Najwyraźniej spodziewał się czegoś więcej. Ale co jeszcze Gareth mógł dodać?

– I obaj lubimy towarzystwo kobiet.

Co ze mnie za głupiec! – skarcił się w duchu Gareth. Zdał sobie sprawę z idiotyzmu tych słów, jak tylko je wypowiedział.

– Uderzające podobieństwa, milordzie – odparł po dłuższym milczeniu White.

Zazwyczaj otwarte, bezpośrednie spojrzenie plenipotenty wydało się Garethowi nieco szydercze. Nie bez powodu nie podejmował starań, by zdobyć przyjaciół – po prostu nie potrafił. Zrozumiał również, że wykorzystywał swą pozycję społeczną jako tarczę chroniącą go przed innymi, a także przed własnym zakłopotaniem i nieporadnością w kontaktach z ludźmi. I to działało, odkąd skończył dwanaście lat.

Jeżeli nie potrafił rozmawiać z człowiekiem, którego los spoczywał w jego rękach, to czy uda mu się nawiązać kontakt z kimkolwiek? Czy miał całe życie spędzić w izolacji? Gareth szukał w myślach tematu do rozmowy.

– Jak to jest? W małżeństwie.

White odchylił się na krześle, wyraźnie zaskoczony.

– Małżeństwo to cudowna instytucja.

– Żona nigdy pana nie oszukuje?

White nie był głupi, zrozumiał powód nawiązania rozmowy.

– Zaletą małżeństwa jest to, że człowiek bez trudu orientuje się, kiedy żona kłamie.

Gareth zmarszczył czoło. Taka hipokryzja wydała mu się straszna. Zdawała się potwierdzać słuszność jego postanowienia, by unikać stałych związków.

– Jakiego rodzaju kłamstwami raczy cię żona?

White oparł policzek na złożonych dłoniach i zaczął trzepotać rękami, co miało – jak domyślił się Gareth – przypominać charakterystyczną kobiecą minę, ale w zestawieniu z ostrymi, męskimi rysami robiło okropne wrażenie.

– Och, nie, Williamie. Ten szal wcale nie był kosztowny. – Wysoki falset u mężczyzny, mówiącego zazwyczaj barytonem, zabrzmiał dziwacznie.

– Oczywiście ja również ją okłamuję – dodał

White już swoim normalnym głosem.

– Tak?

– Choćby dziś rano zapewniłem żonę: „Nonsens, moja droga, nie postarzałaś się ani trochę”.

Gareth z chmurną miną przesunął zalegające blat biurka dokumenty. W ustach plenipotenty te słowa zabrzmiały zwyczajnie. White przykrył arkuszem bibuły list, nad którym właśnie pracował.



– Moje pytanie może się panu wydać impertynenckie, milordzie, ale... czy ma pan na myśli konkretną osobę?

Gareth westchnął. Chyba nie mógł już niżej upaść w oczach White'a.

– Tak.

– A może ta kobieta uraczyła pana kłamstwami?

– Niemal wszystko, co wychodziło z jej ust, było kłamstwem – poskarżył się Gareth. – Jedyne pocałunki były szczere.

White skinął głową, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko doradzał cierpiącym miłosne męki arystokratom.

– I zastanawia się pan, czy może jej zaufać?

– Wiem, że mogę. Natomiast chciałbym wiedzieć, czy... – Urwał. Chciał się przekonać, czy jego obsesja na tle kobiety, której nawet imienia nie znał, przejdzie, gdy weźmie ją wreszcie do łóżka.

Przez Esmereldę cierpiał na rozdwojenie jaźni. Jedna część osobowości Garetha domagała się, by potraktował ją jak zwyczajny podbój miłosny, seksualną rozrywkę. Druga żądała, aby... się z nią zaprzyjaźnił. Mało prawdopodobne, przynajmniej w najbliższym czasie, pomyślał sfrustrowany.

Nie po tym, jak się wobec niej zachował.

Gareth zerknął na White'a. Zazdrościł mu spokoju ducha. Gotów był się założyć, że plenipotent doskonale wiedział, jak należy się zachować w podobnej sytuacji.

– White – mruknął, potwornie skrepowany. –  
Tak naprawdę to chciałbym wiedzieć, jak przeprosić  
kobietę?

Serce Neda ścisnęło się boleśnie, a na czoło  
wystąpiły krople potu. Doroczne zgromadzenie  
u Arbuthnotów nie powinno wprawiać go w taki  
stan. Jednak plan, który Ned obmyślił i wdrożył  
w życie, leżał mu na żołądku jak niestrawiony  
posiłek i gniótł niemiłosiernie. Piekielne sumienie  
nie dawało mu spokoju przez cały dzień. Poczucie  
honoru krzyczało, że postępował bardzo źle, że  
jego plan mógł całkowicie odmienić czyjeś życie  
i zniszczyć reputację.

Ned powtarzał sobiewduchu, że gdyby zadanie  
okazało się łatwe, test nie byłby autentyczny.  
Wiedział, co należało zrobić. Madame Esmerelda  
powiedziała wyraźnie, że wszystko w jego rękach.  
Jej słowa ciągle dźwięczały mu w uszach. „Nie ufaj  
mi”, ostrzegła.

Czy Ned był w stanie jej nie ufać? Przecież  
obiecała, że uwolni się od trapiących go dolegliwości.  
I tak się stało. Zapowiedziała, że Ned  
będzie wartościowym człowiekiem i jego życie  
nabierze sensu. Miał nadzieję, że i ta przepowiednia  
spełni się. Wyczuwał jednak, że straszliwa,  
obezwładniająca ciemność czai się w pobliżu.  
Madame Esmerelda nie mogła się mylić, zdecydował  
Ned i postanowił doprowadzić do tego,

żeby kuzyn poślubił lady Kathleen, nawet gdyby miał go do tego zmusić podstępem.

Przez ostatnie pół godziny, od przybycia na wieczór muzyczny do Arbuthnotów, Ned obserwował ukradkiem lady Kathleen. Miała na sobie białą suknię, z pozoru prostą, ale naszywaną setkami brylancików, które przy każdym ruchu rzucały olśniewający blask i sprawiały, że jasne włosy dziewczyny wydawały się platynowe.

Ona zaś przez cały wieczór omijała Neda wzrokiem, patrzyła na wszystko, byle nie na niego.

Spoglądała na innych mężczyzn, którzy jej nadskakiwali i puszyli się przed nią niczym pawie, na ulokowaną w rogu sali orkiestrę, nawet na sufit przyozdobiony malowidłem przedstawiającym czerwone i złote liście. Na niego popatrzyła tylko raz – obrzuciła go długim, badawczym spojrzeniem, zarumieniła się i odwróciła głowę.

W drugim końcu sali, dokładnie po przekątnej, znajdowała się grupa osób niemal równie często przyciągających spojrzenie Neda. Ściślej mówiąc, była tam Laura, siostra Blakely'ego. Stała obok matki Neda, chudej jak patyk, siwiejącej kobiety, której kręcone włosy ozdobione były wiosennymi kwiatami. W pobliżu ulokowała się straszliwa lady Betty, powszechnie znana z upodobania do rozpowszechniania plotek, któremu towarzyszyła wrodzona spostrzegawczość.

Ned napotkał spojrzenie Laury. Skinęła lekko głową. Znała rolę, jaką Ned jej wyznaczył. Była

z natury ciekawska, więc łatwo ją było przekupić. Wzamian za adres madame Esmereldy zgodziła się wyświadczyć mu przysługę.

Była już za pięć ósma, a Blakely jeszcze się nie pojawił.

Lady Kathleen zdradzała oznaki zdenerwowania, które Ned zauważył nawet z drugiego końca sali. Zachowała się nieco sztywniej niż zwykle, a jej śmiech wydawał się mniej naturalny. Trudno się dziwić, zważywszy okoliczności: Ned wysłał jej liścik.

Już sama korespondencja z niezamężną damą była poważnym naruszeniem etykiety. Propozycja spotkania w celu zbadania kwater dla służby u Arbuthnotów stanowiła przestępstwo, chociaż nie kryło się za nią nic naprawdę niewłaściwego. Stała mu przed oczami twarz lady Kathleen. Pomimo pewnej wyniosłości zdawała się lubić rozmowy z nim. Trudno o lepszy dowód, że los sprzyjał madame Esmereldzie.

Ned ciągle obracał w myślach słowa madame Esmereldy. Przez jedną krótką, przerażającą chwilę dopuszczał możliwość, że chciała się przyznać do błędu. Uprzedzić, że jej przepowiednie się nie sprawdzą. Nie był jednak w stanie tego zaakceptować. Dopuszczenie takiej możliwości łamało mu serce. Musiał wierzyć, że tamtej nocy, dawno temu, nie myliła się, każąc mu żyć.

„Powinieneś stanąć na własnych nogach, bez niczyjej pomocy”. Ned mógł z tego wyciągnąć

tylko jeden wniosek. Na skutek uporu Blakely'ego madame Esmerelda zdołała jedynie doprowadzić do spotkania przeznaczonej sobie pary. Reszta zależała od Neda i miała się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych czterech minut. Powtarzał sobie, że Blakely z pewnością się pojawi, że nie ma powodu do niepokoju. Kuzyn był niezwykle punktualny. Niejednokrotnie robił Nedowi wymówki, gdy ten spóźnił się choć odrobinę na umówione spotkanie. A skoro już mowa o czasie, to pierwszy aktor rozgrywanej przez Neda sztuki właśnie wkraczał na scenę. Lady Kathleen nie zerknęła nawet w stronę Neda, pomachała tylko z wdziękiem ręką, jakby się usprawiedliwiała, i wyslizgnęła się z sali. Ned zamknął oczy i w wyobraźni ruszył za nią do wyłożonego złocistą tapetą holu, z którego wchodziło się do bawialni przeznaczonej przez gospodarzy na pokój wypoczynkowy dla dam. Tuż obok znajdowały się drzwi do błękitnej jadalni, znakomicie nadawała się więc na miejsce zaplanowanej przez niego akcji. Prowadziło stamtąd tylko jedno wyjście i nie było się gdzie schować. Para, która umówiłaby się tam na schadzkę, byłaby doskonale widoczna już od drzwi. Ned pocił się ze zdenerwowania. Wystarczyłoby jedno słowo do Laury, żeby zapobiec nadchodzącym wydarzeniom. Albo krótka rozmowa z lady Kathleen. Gdyby się pospieszył, zdążyłby jeszcze ją złapać. Uznał jednak, że to przeznacze-

nie, bo przecież dziewczyna poszła na wyznaczone w liście spotkanie, pomimo całej niewłaściwości tej prośby. Tak, to musiało być zapisane w gwiazdach.

Oczywiście warunkiem powodzenia było pojawienie się Blakely'ego. Lady Kathleen spodziewała się, że – zgodnie z sugestią zawartą w liściku – to z Nedom miała rozmawiać o przyczynach, dla których opuszczała sale balowe i wędrowała po kwaterach dla służby. Ned wolał nawet nie myśleć o niestosowności tego spotkania i nie zamierzał się nań stawić. Zamiast niego miał pojawić się Blakely. Dojdzie do rozmowy pomiędzy nimi, a los i duchy z pewnością popchną ich ku sobie. Bliskość ciał dokona tego, przed czym dotychczas wzbraniały się ich oporne umysły. W parę chwil potem, jak Blakely i lady Kathleen znajdą się razem w błękitnej jadalni, Laura zaprowadzi tam niewielkie grono starannie wybranych kobiet, by zobaczyły parę na własne oczy. Reszty dokona groźba skandalu i poczucie odpowiedzialności markiza.

Ned nie miał wątpliwości, że związek zrodzony z poczucia odpowiedzialności z czasem rozkwitnie głębokim uczuciem. Z błogosławieństwem madame Esmereldy nie mogło się przecież skończyć inaczej. Jedynym powodem, dla którego Ned powstrzymywał się jeszcze od odtrąbienia triumfu, była nieobecność Blakely'ego.

A może kuzyn nie czekał, aż zostanie zaanonsowany, i poszedł prosto do jadalni? Ned zdrętwiał

z przerażenia na myśl o tym, że lady Kathleen mogła już spotkać się z markizem. Może właśnie zadawała mu pytanie, co tutaj robi. Blakely nie był głupi. Gdyby domyślił się podstępu, zdążyłby wyjść, zanim jego los zostanie przypieczętowany. Jeżeli Blakely już przyszedł, to Laura powinna natychmiast przystąpić do działania.

Ned rozejrzał się po sali. Laura nie ruszyła się z miejsca. Przypuśćmy jednak, że Blakely się spóźnił, myślał Ned gorączkowo. Wówczas lady Kathleen byłaby sama w błękitnej jadalni. Lady Betty nie powinna przecież przyłapać samotnej dziewczyny. Powiadają, że reputacja damy jest bardzo krucha. Dlaczego więc zniszczenie jej sprawiało Nedowi tyle trudności?

Madame Esmerelda nie twierdziła, że wyznaczone Nedowi zadanie będzie łatwe. Kazała mu polegać na samym sobie. Możliwe, że to właśnie powinien teraz zrobić. Odetchnął głęboko i ruszył do jadalni.

Zamierzał podsłuchiwać pod drzwiami, żeby sprawdzić, czy obie ofiary wpadły w pułapkę. Tymczasem ujrzał lady Kathleen, która stała w progu i niecierpliwie postukiwała pantoflem w podłogę.

Rytmiczne uderzenia sprawiały, że światło załamywało się w zdobiących suknię brylancikach, i dziewczynę otaczała świetlista aureola.

Jakby była Zeusem, rzucającym wokół siebie maleńkie błyskawice.

– Wreszcie raczył pan się pojawić? – Gniew

sprawił, że jej dźwięczny głos zabrzmiał nieco ochryple. – Nie powinnam tu przychodzić. Należało zignorować pański liścik. Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni i obecne spotkanie jest w najwyższym stopniu niestosowne. Jakby tego było mało, kazał mi pan na siebie czekać. Jeżeli pragnął pan porozmawiać ze mną na osobności, to zabrał się pan do tego w fatalny sposób.

Spojrzała na Neda, wyraźnie oczekując przeprosin. – Nie widziała pani nikogo innego?

Lady Kathleen zignorowała to pytanie. Zerknęła w głąb holu, określiła się na pięcie i zniknęła w błękitnej jadalni.

Ned nie miał innego wyjścia, jak ruszyć za nią. W błękitnej jadalni, której nie ociepiał ani ogień na kominku, ani żar tłumy rozgrzanych ciał, panował chłód. Uderzyło go, że ściany były złoto-kremowe, bez śladu błękitu. Nie dostrzegł markiza.

Zegar na ścianie wskazywał dwie minuty po ósmej. Najwyraźniej kuzyn się spóźnił.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, lady Kathleen odwróciła się twarzą do Neda i wyciągnęła jego liścik zza szarfę przepasującej suknię.

Dłonie drżały jej tak mocno, że naderwała delikatną białą szarfę. A wraz z nią szew sukni. Trzasnęło i spod białej materii wychynął skrawek halki barwy kości słoniowej. Dziewczyna spojrzała w dół i uderzyła pięścią w papier.

– To – zawołała, wymachując mu kartką przed



nosem – najgorsze wykroczenie przeciw etykiecie, z jakim się spotkałam. Nie powinien pan prosić mnie o rozmowę w cztery oczy, a ja nie powinnam przyjść. – Odwróciła głowę na bok. – Więc dlaczego tu jestem?

– Lady Kathleen. – Ned uniósł dłoń, jakby chciał w ten sposób powstrzymać jej narastający gniew. – Mój kuzyn...

– Pański kuzyn – powtórzyła głosem bez wyrazu.

– Niech pan wreszcie przestanie się nim zasłaniać.

– Szare oczy zabłyśły jak gwiazdy w zaczerwienionej ze złości twarzy. – Chyba nie sądzi pan, że uwierzę, iż chodzi o niego.

Ned machnął uspokajająco ręką.

– Chwileczkę. Mogę to wyjaśnić. Prosiłem panią o rozmowę na osobności, ponieważ...

Musiałem odseparować panią od reszty gości, aby złapać panią w pułapkę i zmusić do ślubu z Blakelym, dopowiedział w myślach. Nie mógł dokończyć tego zdania na głos. Gdyby nieopatrznie zdradził się z prawdą, dołałby tylko oliwy do ognia.

– Ponieważ co?

– Pewnie mi pani nie uwierzy... ale naprawdę nie planowałem niczego niestosownego.

Lady Kathleen zachmurzyła się.

– Ja... chciałem tylko... – Ned zrezygnował ze znalezienia wiarygodnego wyjaśnienia swego postępowania.

Uznał, że to niemożliwe. – Przepraszam.

– Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią

czoło. – Wiem, że postąpiłem niewłaściwie. Ale, widzi pani, jestem nieco rozkojarzony... i ostatnio nie wszystko układa się tak, jakbym sobie życzył. Dopiero gdy te słowa padły z jego ust, Ned uświadomił sobie, że znowu wszystko skomplikował. Ogarnęło go przerażenie. Naprawdę nie nadawał się do niczego. Schował chusteczkę do kieszeni.

– Proszę o wszystkim zapomnieć, dobrze?

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Wie pan co? Gdy poprzednio sugerowałam, że jest pan szalony, nie byłam o tym w pełni przekonana. Ale... to prawda?

Sytuacja zmieniła się z niezbyt dobrej w zdecydowanie fatalną, uznał Ned.

– Nawet wygląda pan na chorego. – Lady Kathleen zdjęła rękawiczkę i położyła chłodną dłoń na czole Neda.

Ciało młodzieńca natychmiast zareagowało.

W końcu miał dwadzieścia jeden lat i był tylko człowiekiem. Dziewczyna stała tak blisko, że mógł jej zajrzeć w dekolt. Patrzył na zagłębienie pomiędzy piersiami i... był podniecony, w niekontrolowany, upokarzający sposób.

Lady Kathleen zmarszczyła brwi i przesunęła ręką po jego czole.

– Chyba ma pan gorączkę.

Zdecydowanie fatalna sytuacja zmieniła się w katastrofalną w rodzaju: błagam, pozwólcie mi umrzeć w tej chwili! Ned był sam na sam z kobietą,

podniecony i zażenowany, a ona go dotykała. Co za nieporozumienie! Przecież zamierzał ją skompromitować, żeby wyszła za innego. Tymczasem wyraziła obawę, że on jest chory lub szalony. Ned wiedział aż nazbyt dobrze, że jej przypuszczenia mogły mieć pewne podstawy. W dawnych, mrocznych czasach wydawało mu się, że nosi w sobie ziarno obłędu. Ale żeby ta pewna siebie dziewczyna patrzyła na niego z taką litością... Nie może być gorzej! Oczywiście okazało się, że może.

Ned usłyszał odgłos otwierania drzwi. Złapał lady Kathleen za rękę, żeby ją od siebie odsunąć, ale nie starczyło na to czasu. Nie było gdzie się ukryć. Ned zastygł jak sparaliżowany, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Mógł tylko stać jak słup soli, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co zobaczy osoba, która zaraz stanie w progu.

Lady Kathleen z ciepłą, pełną troski twarzą. Jej rękawiczka na podłodze. Rozdarta suknia, szarfa rozwiązana i zwisająca w nieładzie. Dłoń spoczywająca na czole Neda i jego ręka zaciśnięta wokół nadgarstka dziewczyny, jakby próbował porwać ją w objęcia. Błagam, prosił Ned w duchu. Błagam, niech to Blakely otworzy drzwi. Jeżeli to nie będzie markiz, to Ned rzeczywiście zdoła doprowadzić do kompromitacji lady Kathleen, tyle że zostanie skompromitowana przez niewłaściwego mężczyznę.

## **Rozdział dziesiąty**

Kościelne dzwony wybiły właśnie siódmą trzydzieści, kiedy ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Jenny zawahała się, czy otworzyć. Kolejny seans umówiła następnego dnia i nie podjęła jeszcze decyzji, co począć z klientami. Teraz, kiedy jej pokój został ogołocony z oszukańczych dekoracji i wrócił do dawnej, nudnej funkcjonalności, musiała w jakiś sposób wytłumaczyć jego wygląd. Ale jak?

W końcu uchyliła drzwi.

– Wiem, że najchętniej zatrzasnęłabyś mi drzwi przed nosem – powiedział markiz – ale proszę, nie rób tego.

Jenny wciągnęła do płuc rześkie, wieczorne powietrze. Blakely był nieogolony i niedbale ubrany, fular trzymał w ręku, miał rozpiętą kamizelkę. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w jego oczach i budziły w nich niepokojące błyski. Z odległości dwóch stóp poczuła jego

męski zapach i ciepło jego ciała. To tylko iluzja, powiedziała sobie stanowczo, wytwór dręczącego ją pożądania i złudnych nadziei. Natychmiast przypomniała sobie lekceważenie i brak szacunku, jaki okazał jej podczas ostatniego spotkania.

– Proszę w jednym zdaniu wyjaśnić, czemu miałabym pana wysłuchać.

Przyjął to lepiej, niż się spodziewała.

– Jasne.

Blakely zmrużył oczy, wyraźnie szukając argumentu, który by ją skłonił do zmiany decyzji.

Przemknęło mu przez myśl, że czuły pocałunek – niepodobny do tamtego sprzed dwóch dni – mógłby dokonać cudów. W końcu jednak zabrakło mu śmiałości.

– Tylko kłamstwa przychodzą mi do głowy – przyznał. – Nie powinnaś mnie wpuszczać za próg. Na twoim miejscu na pewno bym tak zrobił.

Jenny opierała dłoń o klamkę.

– Jestem dzisiaj wielkoduszna, milordzie.

Odetchnął głęboko i zrobił krok do przodu.

– Daję panu trzy zdania.

W pierwszej chwili myślała, że spojrzenie Blakely'ego stanowiło ostrzeżenie, by nie stroiła sobie niestosownych żartów. Ale nagle stał się cud: markiz uśmiechnął się. Był to lekki uśmiech, nieco sztywny, jakby mięśnie twarzy nie były do tego przyzwyczajone. Blakely mniej przypominał roz-

czochrany, ale idealnie wyglądający posąg greckiego boga, a bardziej nieprawdopodobnie przystojnego i ze wszech miar rzeczywistego mężczyznę.

Jenny zabrakło tchu. Jakie to do niego podobne, pomyślała. Blakely nie potrzebował nawet jednego zdania, aby ją kompletnie rozbroić.

A jednak postanowił uciec się do pomocy słów.

– Ogromnie przepraszam za swoje zachowanie poprzedniego wieczoru – powiedział. – Moje postępowanie było nie do przyjęcia. Nie dość mocno mnie spoliczkowałaś.

Jenny nie spodziewała się takiej deklaracji.

– Dlaczego zadał pan sobie trud przeproszenia kogoś tak mało znaczącego jak ja? Myślałam, że nie przejmuje się pan czymś tak nieistotnym jak moje uczucia.

– Nie przepraszam cię po to, żeby ukoić twoje emocje: gniew, żal, rozgoryczenie. – Chłodny ton zdecydowanie bardziej pasował do markiza, jakiego Jenny знаła. – Przepraszam dlatego, że jestem ci winien przeprosiny.

– Milordzie, czy w ogóle ma pan pojęcie, czym są przeprosiny? – zapytała Jenny.

– Mam pewną orientację – oznajmił, po czym zaraz zniszczył cały efekt swoich słów, dodając: – Zapytałem White'a.

– Kogo?!

– Mojego plenipotentą. Nie oczekuję niczego w zamian – dodał, mimo że jego wzrok przyłgnał

do ust Jenny, zadając kłam wypowiedzianym słowom. – Poza tym mam się spotkać z Nede punktualnie o ósmej, więc nie mogę zostać. Chciałem ci to tylko powiedzieć.

– A ma pan jeszcze pięć minut? – zapytała Jenny. – Właśnie zaparzyłam herbatę. – Od razu zapragnęła ugryźć się w język. Herbata była przeciętnej jakości, dla zwyczajnych śmiertelników.

Nie zaprasza się markiza na taką herbatę.

Zerknął na nią ostrożnie. A potem – dziw nad dziwy! – skinął głową na znak zgody.

Wchwilę później Blakely siedział w pokoiku na tyłach, a przed nim stał fajansowy czajniczek.

Przechodząc przez ogołocony z okultystycznych dekoracji frontowy pokój, rozejrzał się uważnie, ale o nic nie zapytał. Jenny poprowadziła go krótkim korytarzykiem do części mieszkalnej.

Usiadł na skrzypiącym krześle przy stole, po czym wziął od niej filiżankę i obracał ją w dłoniach.

Jenny wydawało się, że notował w pamięci wszystkie niedoskonałości na powierzchni, każdą szczerbę na rancie.

– Niestety, nie mam cukru – powiedziała.

– Nie słodzę – odparł.

Jenny pomyślała, że takim samym tonem herszt piratów wygłosiłby kwestię: „Nie biorę jeńców”.

– White twierdził, że przeprosinom powinny towarzyszyć przynajmniej kwiaty – oznajmił. –

Uprzedził mnie również, że prawdopodobnie zapytasz, za co cię przepraszam, i że nie znajdę na to

pytanie właściwej odpowiedzi. – Zerknął na nią ukradkiem, ale zaraz wrócił do kontemplowania filiżanki. – White jest niezwykle kompetentny. Odkrycie, że nie zawsze bywa w porządku, podziało na mnie bardzo deprymująco.

– Rozmawiał pan z White'em?

Wypił łyk herbaty.

– Tak. Odbiliśmy bardzo długą rozmowę. –

Rzucił kolejne spojrzenie na Jenny.

– Było miło?

– Ja... tak. – Blakely wbił wzrok w filiżankę i zakołysał nią, aż płyn zawirował. – Tak sędzę.

Chyba tak. – Cuda najwyraźniej chodziły parami, bo na jego usta znowu wypłynął uśmiech.

– Trzy – oznajmiła Jenny z satysfakcją.

– Trzy? – Odstawił filiżankę tak energicznie, że herbata chlusnęła na drewniany stół. – Jakie trzy?

– Trzy punkty.

– Punkty? Co za punkty?

– Przyznaję sobie po jednym punkcie za każdy pana uśmiech – wyjaśniła Jenny. – Postanowiłam nagrodzić się pięcioma, jeśli uda mi się sprowokować pana do śmiechu.

Wyglądał na urażonego. Wreszcie z jego ust padły zaskakujące słowa:

– A w jaki sposób ja zdobywam punkty?

Jenny nie posiadała się ze zdumienia. Markiz

Blakely zrezygnował ze zmiążdżenia jej arogancką

wyniosłością! Może herbata zmieniła jego osobowość?

Zanotowała w pamięci, że herbata najpoś-



ledniejszego gatunku stanowi skuteczną zaporę przed arogancją lordów. Postanowiła wykorzystać chwilową przewagę.

– Pan nie zdobywa punktów – oznajmiła, przechylając głowę na bok.

– Dlaczego?

– Pan lubi liczby. A ja potrzebuję punktów.

Wielu punktów. To moja ochrona.

– Jeśli ty zbierasz punkty, to ja również powinienem coś z tego mieć. Inaczej byłoby niesprawiedliwie.

Jenny wzruszyła ramionami.

– Cóż, ja nie lubię liczb, więc pan nie może otrzymywać punktów.

Przez chwilę bębnił palcami o stół. Herbata z jego filiżanki znowu prysnęła na blat.

– To jakaś dziwaczna logika w świecie całkowicie pozbawionym logiki. White o tym również mnie uprzedzał. – Westchnął. – A co ty lubisz?

– Nie sądzę, żeby to pana obchodziło. – Niegrzeczna riposta padła z ust Jenny, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Esmereldo... Meg... Czy jak ci na imię... Muszę ci coś wyznać. To zapewne nie będzie dla ciebie zaskoczenie. Otóż ilekroć naprawdę mi na czymś zależy, z moich ust padają ostre, nawet brutalne słowa. Zupełnie jakbym dążył do zerwania wszelkich stosunków z innymi ludźmi.

Ten bez wyrazu, pozbawiony emocji głos działał odpychająco. Jenny słyszała go już wielokrot-

nie, ale nauczyła się mu nie ufać. Zaczynała rozumieć, że markiz nie jest człowiekiem pozbawionym ludzkich uczuć. Po prostu kompletnie nie potrafił ich uzewnętrznić.

– Zależy mi – mówił dalej – i staram się przestać odpowiadać w typowy dla siebie sposób. Powiedziałem, że cię przepraszam, i było to szczere.

Jenny nie miała pojęcia, w jaki sposób postępować z takim markizem Blakelym, jaki teraz siedział przy jej stole. Przepraszał ją takim samym aroganckim tonem, jakim poprzedniego wieczoru obrażał.

– Zatem – kontynuował – wróćmy do punktów.

Co lubisz?

Gdyby Jenny była damą, to najprawdopodobniej odparłaby, że najbardziej lubi fiołki. Gdyby była kurtyzaną, przyznałaby, że pragnie szmaragdów.

Jenny Keeble nie chciała żadnych prezentów.

Niczego od niego nie chciała.

Zmarszczyła brwi, udając skupienie.

– Wie pan – powiedziała cicho – chyba mam słabość do...

Pochylił się do przodu w skupieniu.

– Do słoni – dokończyła.

Blakely uniósł głowę.

– Próbujesz mnie rozśmieszyć – rzucił oskarżycielsko.

– Nic z tego. To nie zasługuje na pięć punktów.

Jenny parsknęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

Markiz uśmiechnął się w odpowiedzi i jego twarz się rozjaśniła.

– Do licha! – Markiz odsunął od siebie filiżankę i wstał.

– Co się stało? – zapytała Jenny, ale zaraz przypomniała sobie, że uprzedzał ją o spotkaniu z Nedom.

– Będę musiał przeprosić cię po raz drugi.  
Jenny wygładziła spódnice.

– Rozumiem. Jest pan umówiony z Nedom.  
Markiz zbliżył się do niej.

– Nie o to chodzi – stwierdził szorstko. Stali tak blisko, że Jenny czuła jego świeży zapach. –  
Widzisz – podjął – kiedy się śmiejesz, wydaje mi się, że bije od ciebie blask. Nie wiem, jak na to reagować. Uciekać od światła jak karaluch czy lecieć w ogień niczym ćma? Próbowałem uciekać. Nic to nie dało. Powinienem więc przejąć kontrolę nad eksperymentem. Czy mogę zmodyfikować zmienne?

Nie od razu do Jenny dotarło, że mówił o pocałunku.

– Jeśli każesz mi przestać, przestanę – zapewnił.

– Jeśli każesz mi wyjść, wyjdę. Wolałbym jednak, żebyś pozwoliła mi zostać.

– Pocałuj mnie – palnęła bez zastanowienia Jenny.

Kiedy jego wargi spoczęły na jej ustach, rozchyliła je i przyjęła pocałunek. Położyła dłoń na piersi markiza i przesunęła palcami po gładkim płótnie koszuli. Głośno wciągnął powietrze i zaczął dotykać jej ciała, pieścić plecy, ramiona, kark.

Nagle odsunął się i Jenny zamrużyła powiekami jak wyrwana z głębokiego snu. Blakely nie zamierzał jej opuścić. Usiadł na krześle, które zatrzeszczało ostrzegawczo, i pociągnął Jenny na kolana.

Usiadła okrakiem na jego udach, a on pocałował ją znowu, tym razem bardziej namiętnie.

Dłonie, obejmujące ją dotąd w talii, przesunął w górę. Jenny gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy musnął kciukami brodawki jej piersi, a potem zaczął pobudzać je okrężnymi ruchami.

Oderwał się od jej ust i przez materiał sukienki objął wargami brodawkę. Następnie uporał się ze stanikiem sukienki i zsunął w dół luźną koszulkę.

Chłodne powietrze owiało jej nagie piersi, ale tylko na moment, bo zaraz ogrzały ją usta markiza.

– Nie masz pojęcia, ile razy snułem fantazje na ten temat – wyznał po dłuższej chwili Blakely. Zanim Jenny zdążyła odpowiedzieć, ponownie zaczął pieścić jej piersi i wszelkie myśli uleciały jej z głowy. Zacisnęła ręce na jego ramionach, przepełniona pożądaniem.

– Jesteś bardziej namiętna niż w moich snach. Reagujesz na najlżejszy dotyk. Poruszasz się... Meg, powiedz, jak ci na imię.

Jenny, odparła w duchu: nazywam się Jenny Keeble.

– Zdradź mi swoje imię – wyszeptał – a wejść w ciebie.

Wsunął rękę pod jej spódnicę i dotykał jej

w najwrażliwszym miejscu, budząc rozkosz, która przeniknęła ją całą, od czubka głowy do palców stóp.

– Tak – szepnął. – Czuję, że mnie pragniesz.

Pozwól, że...

Jenny potrząsnęła głową.

– Nie będę pana utrzymanką.

Pocałował ją w szyję.

– Chwilowo niczego ci nie proponuję. Jestem tu z powodu tego, co powiedziałaś.

– A co takiego powiedziałam?

– Że jestem samotny. Staram się znaleźć to, co nas łączy. Tak mi radziłaś, prawda? To twoje słowa, pamiętasz?

To nie tak miało być! Powinien pozostać chłodny i daleki, a tymczasem obudził w niej autentyczną namiętność.

– Tak, jedno łączy nas bez wątpienia – rzekł, pieszcząc ustami pierś, a dłonią źródło kobiecej rozkoszy.

– Blakely...

Podniósł głowę.

– Gareth – poprawił.

– Co?

– Mam na imię Gareth. Nie nazywaj mnie markizem Blakelym. Przynajmniej nie teraz.

Zdradź mi swoje imię.

– Od dwunastu lat nikt nie zwracał się do mnie po imieniu.

– Mnie od dwudziestu czterech nikt nie nazy-

wał Garethem. I starczy. Nie chcę przeżyć kolejnego dnia, nie słysząc, jak ktoś je wypowiada.

Dzwony kościelne wybiły godzinę. Niskie tony zdawały się wibrować wewnątrz ciała Jenny, współbrzmiać z rozkosznymi doznaniem, które budziły w niej dotknięcia Blakely'ego. Półprzytomnie liczyła uderzenia. Raz, dwa...

– Proszę, powiedz, jak ci na imię – wyszeptał wargami wtulonymi w jej szyję.

Trzy, cztery, pięć. Jenny rozkołysała się jak ten dzwon. Próbowwała sobie przypomnieć, dlaczego nie powinna zdradzić mu swego imienia. Sześć. Dlaczego nie powinna iść z nim do łóżka. Siedem. Dlaczego nie powinien wejść w nią teraz, kiedy siedziała okrakiem na jego udach. Osiem. Dzwon zamilkł.

Ósma godzina.

Nagle przypomniała sobie, co powiedział markiz, zanim weszli w głąb mieszkania.

– Ned!

– Ned? – Skrzywił się, wyraźnie urażony. –

Mam na imię Gareth.

Jenny gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ned, twój kuzyn.

Usiadł prosto, nadal spięty.

– Ned! Kompletnie o nim zapomniałem. Muszę do niego iść?

Ostatnie zadanie zabrzmiało niemal płaczliwie, jak u dziecka. Podjął jednak decyzję, zanim Jenny się odezwała. Obiecał spotkać się z Nedom o ós-

mej, więc nie mógł go zawieść. Poczucie honoru i odpowiedzialności nie dopuszczało innej możliwości. Jenny zeszła z jego kolan. Markiz próbował doprowadzić się do porządku – pozapinał guziki i wygładził surdut.

– Wróć. – Zawiązał fular z miną człowieka, który zakłada sobie pętlę na szyję. – Jak tylko się da. Droga w obie strony nie potrwa więcej jak piętnaście minut. To nie powinno mi zabrać zbyt wiele czasu.

Zatrzymał się jeszcze na moment i położył rękę na nagim ramieniu Jenny, po czym wyszedł.

## **Rozdział jedenasty**

Gareth wszedł do wypełnionej po brzegi sali balowej u Arbuthnotów i natychmiast buchnął mu w twarz zaduch rozgrzanych ciał. Nie znosił tłumów. Nawet największe pomieszczenie wypełnione ludźmi wydawało mu się zbyt małe. Zapach potu w połączeniu z wodą różaną czy jaśminową dawał w efekcie odór przyprawiający o mdłości. W dodatku odnosił wrażenie, że wszyscy się na niego gapią, choć z racjonalnego punktu widzenia było to niemożliwe.

Rozejrzał się po sali, usiłując wyłowić wzrokiem kuzyna spośród wielu wyfraczonych mężczyzn. Stojący obok majordomus zapowiedział jego przybycie donośnym głosem. Gareth był tak skoncentrowany na poszukiwaniu Neda, że w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na nienaturalną ciszę, jaka nagle zapadła. Na początku uznał to za złudzenie, potem pomyślał, że to zwykła przerwa w rozmowach.



Zorientował się, że twarze gości zdawały się zwracać w jego stronę jak opiłki żelazne w polu magnetycznym. Zrozumiał, że ta dzwoniąca wuszech cisza nie była przypadkowa. Pospiesznie sprawdził, czy pozapinał wszystkie guziki i czy fular się nie przekrzywił.

Po paru sekundach dręcząca cisza została przerwana i zgromadzeni na sali zaczęli rozmawiać z ożywieniem. Do Garetha docierały poszczególne słowa i strzępy zdań. Z ust starszej damy padło nazwisko „Carhart”, więc nadstawił ucha. Następne słowa utonęły jednak w powszechnej wrzawie. „Objęcia” usłyszał jednak zupełnie wyraźnie, a także „kompromitacja”.

Tych trzech słów wolałby zdecydowanie nie łączyć ze sobą. Może istniało jakieś racjonalne wyjaśnienie? Na razie nie było powodu do paniki. Przecież wypowiedziane scenicznym szeptem zdanie mogło brzmieć na przykład tak: „Jak to dobrze, że pan Edward Carhart padł wreszcie w objęcia kuzyna i skończył z tą rodzinną waśnią, bo to była prawdziwa kompromitacja”.

Mogło tak być.

Gareth powoli torował sobie drogę przez tłum. Ludzie rozstępowali się przed nim. Nikt go nie zagadywał. Ci, którzy stali najbliżej, milkli. To było w najwyższym stopniu irytujące. Pierwszy raz w życiu miał ochotę posłuchać cudzych rozmów,

a tymczasem nikt nie był łaskaw spełnić jego pragnienia. Gareth zdołał uchwycić za ledwie urywki zdań. Przypominało to zbieranie odłamków kolorowego szkła. Każdy kawałek z osobna nie znaczył nic, ot, po prostu nieforemny barwny okruch. Gdy markiz dotarł na drugi koniec sali, zdążył już ułożyć z tych szkiełek paskudną mozaikę.

Ned został przyłapany z lady Kathleen w jakimś ustronnym miejscu. Trzymał ją w objęciach, więc dziewczyna została skompromitowana. W zamieszaniu, jakie nastąpiło po tym odkryciu, Ned dostał w nos na tyle mocno, że zakrwawił kilka – od dwóch do pięciu – chusteczek do nosa. Nie było jasne, czy cios zadała mu młoda dama, czy też jej ojciec, książę Ware.

Jakby tego było mało, książę ewidentnie nie zamierzał na tym poprzestać. Wyzwał Neda na pojedynek. Zaproponował szable lub pistolety, ale Ned nie miał wpraw w posługiwaniu się żadnym rodzajem broni. Zresztą to bez znaczenia, bo przecież nie mógł walczyć z sześćdziesięcioletkiem, w dodatku parem Anglii.

Podjęte przez panią domu próby załagodzenia sytuacji spełzły na niczym, bo książę Ware oświadczył w obecności gromady utytułowanych świadków, że ujmy na jego honorze nie zmaże nic poza śmiercią tego bydlaka, który śmiał dotknąć jego córki.

– O, Blakely! Chwała Bogu!

Gareth zatrzymał się. To były pierwsze słowa skierowane do niego tego wieczoru. Rozpoznał ten głos, choć był zmieniony przez powstrzymywane łzy.

Odwrócił się, żeby powitać siostrę.

Laura zatrzymała się gwałtownie dosłownie o cal od niego. Przez chwilę wydawało mu się, że rzuci mu się w ramiona na oczach wszystkich.

Kwiaty wplecione w jej włosy zwisały żałośnie na połamanych łodyżkach, a oczy były zaczerwienione i opuchnięte.

– Gdzie... – zaczął Gareth.

– Chodź ze mną – przerwała mu zachrypniętym głosem.

Stojący w pobliżu ludzie zamilkli. Dobre wychowanie nie pozwalało im otwarcie gapić się na markiza i jego siostrę, ale zerkali ukradkiem.

Gareth wiedział, że w nadchodzących tygodniach każdy szczegół będzie omawiany do znudzenia we wszystkich salonach Londynu. Postanowił jednak nie dopuścić do tego, by plotkarze wycierali sobie usta imieniem jego siostry.

Laura odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Garethowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za siostrą. Tym rozstępował się przed nimi, zgromadzeni odprowadzali ich wzrokiem przez całą długość sali. Kiedy wreszcie znaleźli się w holu, Gareth natychmiast odczuł ulgę. Pozostało mu uporać się ze skutkami skandalu wywołanego przez Neda. Laura otworzyła drzwi do błękitnej jadalni.

Za nimi zgromadzili się bohaterowie dramatu. To w tym pokoju miał miejsce incydent, pomyślał Gareth. Wzdłuż całego pomieszczenia ciągnął się długi stół. W jednym kącie kuliła się lady Kathleen, nad którą czuwała jak kwoka jej matka. W drugim zaszyła się matka Neda, nie odrywając od syna spojrzenia ciemnych, smutnych oczu. Na samym środku pokoju Ned siedział okrakiem na wyściełanym krześle. Obejmował ramionami oparcie i wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Nad nim stał książę Ware. Jego łysina lśniła w świetle lampy gazowej. Gestykulował gwałtownie i przemawiał do Neda. Na widok Garetha urwał.

- Blakely – rzucił na powitanie.
- Ware. – Gareth skłonił się i podszedł bliżej. Książę stanął po drugiej stronie Neda, żeby zrobić mu miejsce u boku kuzyna. Ten ruch nasunął Garethowi skojarzenie z dwoma drapieżnikami, które okrążają czujnie jedną ofiarę, jeszcze niezdecydowane, czy podzielić się zdobyczą, czy walczyć o wyłączne prawo do niej.
- Pański chłopak – Ware ruchem głowy wskazał Neda – nie potrafi podać żadnego wytłumaczenia swojego postępowania.
- To dla mnie nic nowego. Niemniej jednak nie pozwolę panu go zabić – stwierdził Gareth. – Jego śmierć byłaby mi wyjątkowo nie na rękę.
- Jeżeli to miała być próbka jego zachowania, to wydaje mi się, że śmierć przyniosłaby wszystkim większą korzyść niż jego życie.

Ned nawet nie drgnął. Bez wątpienia wysłuchiwał tego typu uwag od chwili, gdy doszło do skandalu.

Nawet człowiek znacznie mniej inteligentny niż markiz zrozumiałby bez trudu, co zaszło. Ned wierzył święcie, że przeznaczeniem Garetha było małżeństwo z lady Kathleen. Gdyby nie wizyta u Esmereldy, to właśnie Blakely, a nie Ned, zostałyby nakryty z lady Kathleen w kompromitującej sytuacji. Gareth nie był nawet w stanie wykrzesać z siebie stosownego oburzenia. Powinien być wściekły. Powinien nawet wymyślać Nedowi z powodu jego podłych machinacji. Tymczasem czuł jedynie ogromne współczucie dla skulonego na krześle młodzieńca. Postąpił niemądrze i źle, ale markiz doskonale rozumiał, co go do tego popchnęło. Duma, dążenie do udowodnienia swoich racji za wszelką cenę oraz ta jego przekłeta bezgraniczna lojalność. Ten sam impuls kazał Nedowi wręczyć lady Kathleen drewniany klocek, a także zerwać się z miejsca, krzyczeć i klaskać, kiedy Gareth zakończył swoją okropną odę.

– Blakely. – Głos Neda był stłumiony przez wełniany rękaw fraka. – To nie ja miałem tam być, tylko ty.

– Co? – Wzrost zrobił się fioletowy na twarzy i złapał go za żakiet. – Skompromitowałeś moją córkę, choć nawet nie chciałeś jej dla siebie? – Zniżył głos. – Jeżeli kiedykolwiek jej to powiesz, to ja... Markiz uniósł dłoń. Niewielu ludzi miałoby

czelność uciszać księcia. A już wyjątkowo nielicznym mogłoby się to udać. Szczęśliwym trafem okazało się, że Blakely należał do tych ostatnich. Książę puścił frak Neda.

– Musimy porozmawiać, Ware. Najpierw jednak chcę się dowiedzieć, co się tutaj stało i dlaczego.

– Przez cały wieczór próbuję uzyskać odpowiedź na pytanie: dlaczego! – rzucił ze złością książę. – Ten pański chłopak nie powiedział jednego sensownego zdania.

– Muszę z nim pomówić w cztery oczy. Wątpię, by na tym etapie udało nam się znaleźć sensowne rozwiązanie. Proszę zabrać żonę i córkę do domu, porozmawiamy później.

– Ale ja chcę go zabić, i to natychmiast!

Markiz wytrzymał wściekłe spojrzenie księcia.

– Chce pan go zabić, ale na razie odwiezie pan córkę do domu.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Ware najwyraźniej marzył o tym, żeby położyć trupem zarówno markiza, jak i jego nieszczęsnego kuzyna. W końcu jednak ustąpił.

– Chodź, kochanie. Nie ma sensu zostawać w miejscu, w którym wzięto cię na języki. Wracamy do domu.

Nawet po ich wyjściu Ned nie wstał z krzesła.

Nie uniósł nawet głowy.

– Ułatwię ci wyznanie. – Gareth nie chciał, aby jego głos brzmiał zbyt surowo, ale i tak słowa padały z jego ust jak kamienie. – A zatem to ja

miałem wpaść w tę idiotyczną, zastawioną przez ciebie pułapkę.

– Zrobiłem to dla twojego dobra – wymamrotał Ned. – Ktoś musiał to przecież załatwić.

Ten ktoś to ja, pomyślał markiz. Znowu to piekielne poczucie odpowiedzialności! Odpowiedzialności i... winy, uświadomił sobie nagle. Odnosił się do Neda jak zimny, pozbawiony ludzkich uczuć automat. Być może pojawiła się szansa naprawienia ich stosunków.

– Przepraszam – podjął Ned. – Wiem, że to było moje zadanie. Ja... po prostu nie umiałem go wypełnić. Powiedziała, że mam polegać na sobie. A zatem spróbowałem. Powinno było się udać, prawda?

– Ona? Powtórz mi jak najdokładniej, co Esmerelda kazała ci zrobić.

Upłynęła przeszło godzina, a Blakely nie wrócił. Jenny krążyła niespokojnie po frontowym pokoju, nie zdołała usiedzieć w miejscu. Wystarczyło szurnięcie skórzanej podeszwy o bruk, a jej puls przyspieszał. Biegła do okna i odwracała się zawiedziona na widok starego obdartusa, który mijał jej dom i roztopiał się we mgle. Ciepła, wiosenna noc przyniosła jej wiele rozczarowań – odgłosy, które mogły zapowiadać powrót Garetha, jednak go nie sprowadziły. Londyńskie ulice tętniły życiem nawet o tak późnej porze.

Podkscytowanie stopniowo opuszczało Jenny. W końcu wpadła w przygnębienie. To głupota, szydziła z samej siebie, snuć rozmaite scenariusze wydarzeń, skoro nie wiadomo, co go zatrzymało. Nie mogła jednak się powstrzymać. Jenny nie uważała się bynajmniej za klejnot bez skazy. Kiedy lord Blakely wychodził z jej mieszkania, był wyraźnie podniecony. Mógł jednak znaleźć jakąś wesołą wdówkę ze swojej sfery, gotową zaspokoić jego pożądanie. W dodatku nie miał powodu kontynuować uwodzicielskiej kampanii, bo Ned uznał Jenny za oszustkę. Może to właśnie była jego zemsta – ten stan dojmującego pożądania, w jakim ją zostawił. Może właśnie w tym momencie wyobrażał ją sobie i chichotał złośliwie, gdziekolwiek się znajdował. Jenny zdawała sobie sprawę, że dała się ponieść wyobraźni. Takie zachowanie nie leżało w charakterze Blakely’ego. On nie chichotał. Wyobraźnia raz spuszczonej z więzi nie chciała się jednak uspokoić i podsuwała kolejne obrazy. Markiz mógł zostać stratowany przez spłoszonego konia albo porwany przez rywalizującego z nim ornitologa i poddany torturom, żeby zdradził wyniki swoich badań nad papugami. Brednie! Jenny wymyślała te idiotyczne historyjki, byle tylko nie dopuścić do siebie tego jednego wyjaśnienia, które nasuwało się od początku. Blakely był umówiony z Nodem. Od niego dowiedział się, że podczas ostatniej wizyty Es-



merelda powiedziała mu, żeby jej nie ufał. Skoro Ned został uwolniony spod jej wpływu, markiz nie miał po co do niej wracać.

Znowu została porzucona.

Jenny nie pamiętała, kiedy spotkało ją to po raz pierwszy, ale kładło się cieniem na całym jej życiu.

Wychodziła z założenia, że ma rodziców. Była to nie tylko kwestia biologicznej konieczności, ale ktoś przecież regulował rachunki za jej naukę w Elland School w Bristolu. Płacił przez czternaście lat, od dnia, kiedy tam przybyła, aż do chwili, kiedy odeszła w wieku osiemnastu lat. Z wcześniejszego dzieciństwa w pamięci Jenny zachował się tylko mglisty obraz jakiejś opiekunki.

Ci, którzy łożyli na jej utrzymanie i edukację, pozostali anonimowi, ukrywając się za różnymi prawnikami. Nikt nie odpowiadał na wysyłane przez Jenny listy, a pisała je od chwili, gdy tylko nauczyła się kreślić pierwsze koślawe litery. Rodzice byli więc dla Jenny tylko płatnikami regulowanych punktualnie co kwartał rachunków. Po ukończeniu osiemnastu lat została poinformowana, że środki na jej utrzymanie wkrótce przestaną nadchodzić, więc powinna poszukać posady.

Wszelkie związki emocjonalne, jakie mogły jeszcze łączyć ją z przekazami pieniężnymi, zostały zerwane.

Jenny westchnęła i uśmiechnęła się smętnie.

Mając trzydzieści lat, powinna wreszcie oswoić poczucie opuszczenia. Niczego innego nie za-

znała. Jeżeli Blakely zniknie z jej życia, zrobi po prostu to samo, co wszyscy inni przed nim.

A jednak – co za głupota! – to ostatnie porzucenie bolało równie mocno, jak pierwsze. Odszedł, zostawiając ją w stanie całkowitego zamętu emocjonalnego.

Podobnie jak w dzieciństwie, kiedy z wysyłanych przez prawników przekazów stworzyła sobie iluzję rodziców, tak teraz będzie dręczyła się rozważaniami o tym, jak mogłoby być. Jenny głęboko nabrała powietrza i dała sobie prawo jeszcze tylko do minuty rozpamiętywania przeszłości. Od jutra powinna rozpocząć nowy etap życia.

Po minucie wstała i zatarła ręce.

– Dobrze – zwróciła się do pustego pokoju. –

Właściwie wcale go nie chciałam – skłamała.

Zaledwie pół godziny później się obudziła,

wyrwana ze snu. Zdezorientowana, wyskoczyła

z łóżka z mocno bijącym sercem. Rozległo się

pukanie. Jenny przesunęła drżącymi rękami po

nocnej koszuli. Nie mogła mu się pokazać w tym

stroju. Co tu robił w środku nocy? I jak ona miała

się w tej sytuacji zachować?

Znowu rozległo się pukanie. Biegając krótkim

korytarzykiem łączącym jej pokoje, Jenny szukała

w głowie słów, które mogłyby go przekonać, że to

spóźnienie miało dla niej równie niewielkie znaczenie,

jak dla niego.

„Spóźnił się pan. To pan? Kompletnie o panu zapomniałam”.

Wytarła spocone dłonie o wełnianą kapę i szeroko otworzyła drzwi.

– Pewnie pan sądzi...

Blakely miał tak ponury wyraz twarzy, jakby parę godzin temu nie błagał jej, by zdradziła mu swoje imię, jakby nie całował jej i nie pieścił.

Jednak to nie mina markiza sprawiła, że słowa uwięzły Jenny w gardle, a widok Neda. Słaniał się na nogach, był blady i wyraźnie przygnębiony.

– Ned! – zawołała Jenny. – Co tutaj robisz?

Nie odpowiedział.

– Będzie lepiej, jak zaczniesz mówić – odezwał się Blakely.

Ned wydał ciężkie westchnienie. Minął ciągle jeszcze tarasującą wejście Jenny i ostatkiem sił usiadł na krześle. Blakely dał znak, by Jenny weszła do pokoju, i zamknął drzwi. Namacała świecę na stole i fidybus na obramowaniu kominka. Migotliwy blask świecy wydobył z mroku twarze obu mężczyzn.

Jenny nie przerywała panującego milczenia, bo po prostu zabrakło jej słów, a Blakely nie kwapił się z przypomnieniem Nedowi, że powinien udzielić wyjaśnień. W końcu młodzieniec ukrył twarz w dłoniach i zaczął mówić.

– Zadania nie działały, więc ode mnie zależało, czy Blakely i lady Kathleen się zejdą.

Jenny aż się zachłysnęła, ale Ned nie zauważył jej pełnej przerażenia reakcji.

– Oboje byli oporni, więc zaaranżowałem ich

schadzkę. Mieli zostać przyłapani przez... przez osoby, które potrafią rozsiewać plotki. Blakely się nie pojawił. Poszedłem, żeby zbadać sprawę, i to ja zostałem z nią przyłapany.

– Ned, dlaczego?

– Powiedziała pani, że mam polegać na sobie – rzucił oskarżycielsko.

– Mówiłam ogólnie. Nie kazałam ci przecież zmuszać do małżeństwa dwojga ludzi, którzy się nie chcą!

– Po ślubie na pewno by się zechcieli. Tak pani mówiła. – Ned podniósł na nią zaczerwienione oczy. – Teraz nie ma na to żadnej szansy, i to z mojej winy. Nie jestem dość dobry ani wystarczająco silny. Madame Esmereldo, myślała pani, że już potrafię żyć na własny rachunek, obywając się bez pani rad. Nic z tego. Wszystko popsułem i musi mi pani pomóc to naprawić.

Jenny wiedziała, że Blakely nie po to przywiózł Neda, żeby wysłuchiwać kolejnych przepowiedni. Żałowała, że podczas ostatniej wizyty Neda nie przyznała się do oszustwa. Chciała oszczędzić sobie przykrości i oto, jaką cenę zapłacił Ned za jej egoizm. Straci wszystko, co – jak jej się zdawało – pomagała mu odzyskać swymi kłamstwami.

– Z trudem przekonałem ojca lady Kathleen do rezygnacji z natychmiastowego zastrzelenia Neda – oznajmił Blakely. – Co wyniknie z wydarzeń tego wieczoru, to jeszcze kwestia do negocjacji. Wiele zależy od tego, co Ned uzna za swoją powinność.

Jenny nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Bała się spojrzeć na Neda – nie mogła znieść wyrazu przygnębienia, malującego się na jego twarzy. Nie potrafiła również podnieść wzroku na markiza. Obawiała się, że zobaczy w jego rysach niechęć i rozczarowanie.

– Ned, kiedy powiedziałam, że musisz polegać na sobie, nie myślałam o tym, żebyś doprowadził do małżeństwa kuzyna. Chodziło mi o to... – Wzięła głęboki oddech. – Chodziło mi o to – powtórzyła z wysiłkiem – że twój kuzyn miał rację. Nie potrafię przepowiadać przyszłości. Nie porozumiewam się z duchami. Nie mam żadnych mocy nadprzyrodzonych. Musisz polegać na sobie, ponieważ nie powinieneś ufać mnie.

Ned wzdragał się przy każdym zdaniu, jakby to były razy spadające na jego plecy.

– Nie! To pewnie jakiś rodzaj testu. Chce mnie pani ukarać za dzisiejsze niepowodzenie. Mogę udowodnić swoją lojalność!

– To nie jest żaden test. To prawda.

– A arkana tajemne? Skąd zawsze pani wiedziała, co powiedzieć?

– Mówiłam tylko to, co chciałeś usłyszeć.

– To nie mogły być kłamstwa – oświadczył tępo. – To musiała być prawda! Nie zgadzam się, żeby było inaczej! Nie dopuszczę do tego.

– Okłamywałam cię przez dwa lata. Ale... nie chciałam, żeby tak było.

Ned spojrział na nią z rozpaczą.

– To jakiś koszmar. Madame Esmereldo, Blakely, niech mi ktoś powie, że śnię.

Jenny ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Ale... jeśli nie ma w pani mocy, to dlaczego ten pokój...

Urwał. Dopiero teraz spostrzegł brak czarnych materii, kryształów, dzwonków. Tylko zwyczajne, tanie, rozklekotane meble. Żadnych śladów wiedzy tajemnej.

– A pani imię? – zawołał. – Z imieniem madame Esmerelda na pewno...

Jenny nie musiała nic mówić. Sam zrozumiał.

Płasko położył dłonie na blacie stołu, jakby chciał się go przytrzymać. Wreszcie przyjął do wiadomości, że była oszustką. Przez minione dwa lata Jenny doskonale poznała reakcje Neda. W jego twarzy nie dostrzegła pogardy jej należnej, a coś znacznie gorszego. Młodzieniec czuł odrazę do samego siebie.

– Ned...

– Niech pani tak do mnie nie mówi! Po imieniu zwracają się do mnie tylko przyjaciele.

Blakely przyglądał się kuzynowi z rosnącym przerażeniem.

– Panie Carhart – wykrztusiła z wysiłkiem Jenny.

– Zaciągnęłam u pana ogromny dług. Wątpię, czy kiedykolwiek zdołam go spłacić.

Pozostało jeszcze jedno, ostatnie zdanie, które musiała wypowiedzieć. Była to winna Nedowi, a także markizowi. Na własne oczy przekonał się,

do czego doprowadził jej egoizm. Nie zdziwiłaby się, gdyby już nigdy się do niej nie odezwał. Jeśli kiedykolwiek miał o niej dobrą opinię, to niewątpliwie stracił ją bezpowrotnie. Nie bez powodu.

Jeśli zdradzi mu swoje imię i nazwisko, to prawdopodobnie więcej go nie zobaczy. W najlepszym razie mogła liczyć na spędzenie z nim jednej nocy. A potem markiz ją zostawi i nie będzie mogła mieć o to pretensji. Na nic więcej nie zasługiwała.

Ukrywała się pod maską innej kobiety. Została madame Esmereldą, żeby uciec od losu, który jej nie odpowiadał. Przed spotkaniem markiza nie zadawała sobie nawet pytania, co chce w życiu osiągnąć.

Wystarczyły dwa tygodnie, a on zdołał wszystko zmienić.

Miała mu to i owo do zawdzięczenia. Musiała przyznać, że posiadał pewne zalety mimo dziwactw i nadmiernego racjonalizmu. Zdradzenie mu prawdziwego nazwiska byłoby z jej strony aktem bezwarunkowej kapitulacji. W swój niespotykany, pokrętny sposób Blakely przywrócił Jenny jej tożsamość. W zamian mogła mu przynajmniej ofiarować samą siebie.

Zaschło jej w ustach. Zmusiła się jednak do mówienia.

– Gdyby pan kiedykolwiek mnie potrzebował, to nazywam się... – Głos ją zawiódł.

Blakely wychylił się do przodu.

– Nazywam się... – wyszeptała – Jenny Keeble. Mogli zrobić z tą informacją, co chcieli.

## **Rozdział dwunasty**

Jenny Keeble powtarzał w myślach Gareth podczas drogi powrotnej do najelegantszej dzielnicy Londynu, Mayfair. Ned siedział w ponurym milczeniu na skórzanej kanapie powozu. Gdy dojechali na miejsce, Ned wysiadł i bez słowa skinął głową na pożegnanie Garethowi, który odesłał woźnicę do ciepłej stajni, a sam pomaszerował przed siebie, szepcząc imię w rytm kroków:

Jen-ny. Jen-ny.

Światło latarni gazowych załamywało się w londyńskiej mgle. Kiedy po raz trzeci tego wieczoru stanął pod drzwiami mieszkania Jenny, wirująca mgła spowiła już schody prowadzące do jej sutereny.

Gęste opary tłumyły odgłos jego kroków.

Zapukał energicznie. Rozległo się ciche skrzypienie zawiasów i w progu stanęła Jenny. Spojrzała Garethowi w oczy.

– Jesteś – powiedziała.

– Tak. – Garethowi zaschłowustach, więc jego głos zabrzmiał chrapliwie.



Przez parę chwil żadne z nich nie poruszyło się. Wreszcie Jenny ujęła Garetha za łokieć i wciągnęła do mieszkania. Nie cofnęła ręki, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi. Gareth wyczuwał emanujące z niej napięcie. Przesunął palcami wzdłuż jej brody i kciukiem odnalazł wargi.

Pragnął ją zdobyć i osiągnął swój cel. Wygrał na całej linii. Zmusił ją, by przyznała się do oszustwa, a Neda do kapitulacji. Zdobył nawet jej szacunek. To powinien być moment jego triumfu: oto rozum wziął górę nad tym, co irracjonalne. Jednak nieoczekiwanie przestało mu zależeć na obronie swoich racji.

– Nie przerywaj. – Przykryła dłonią jego palce.

– Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań – powiedział Gareth, zaskakując samego siebie. Pomyślał, że zapewne następnego dnia będzie kręcić głową z niedowierzaniem z powodu tej dziwacznej decyzji. – Przecież wygrałem.

Znowu musnął kciukiem wargi Jenny. Stała nieruchomo, przyjmując jego pieśczętę.

– Wygrałeś? – Pokręciła głową. – Nie. Przegrałeś.

Ned też przegrał. Miałeś rację, ale to nie jest wygrana.

Położyłam rękę na piersi, ale nie żeby odepchnąć Garetha, a oprzeć się o niego. Wsunął palce w jedwabiste włosy Jenny.

– W takim razie dlaczego, skoro nie czujesz się zobligowana?

– Ja również przegrałam.

– Więc co to jest?

– Pocieszenie i zarazem pożegnanie.

Pożegnanie! Gareth wolałby, gdyby mieli inną perspektywę, ale rzeczywiście co mogło łączyć markiza Blakely'ego i kobietę nie pochodzącą z jego sfery, która parała się przepowiadaniem przyszłości i nie zamierzała zostać jego utrzymanką?

Została im ta noc.

Jenny ujęła Garetha za rękę i w księżycowej poświacie poprowadziła do mrocznego pokoju na tyłach. Dotyk ciepłych palców obejmujących jego dłoń, które zdawały się wypalać na jego skórze ślad jej linii papilarnych, wystarczył, by obudziła się uśpiona namiętność. Od momentu pierwszego spotkania Gareth nazywał Jenny oszustką, szarlatanką, Esmereldą, kłamczuchą. Tej nocy wszystkie te określenia przestały mieć rację bytu. Zastąpiły je inne, choć ich jeszcze nie wypowiedział: powiernica, przyjaciółka, kochanka. Wziął Jenny w ramiona. Spodziewał się, że pocałunek poprzedzający zbliżenie wstrząśnie nim, rozbudzi chęć posiadania, napelni uczuciem męskiej satysfakcji. Kiedy ich usta się spotkały, pojął, jak bardzo się mylił. Pocałunkiem prosił o wybaczenie za każde ostre słowo, za każdą obelgę, wyrażał akceptację, zrozumienie i podziw.

Pragnął tej inteligentnej i odważnej kobiety, która otwarcie wyznała Nedowi, że była oszustką.

– Jenny – wyszeptał jej imię jak zaklęcie.

Westchnęła, oddając z zapamiętaniem pocałunek.

Gdy dobiegł końca, rozwiązała węzeł fularu.

Gareth czekał biernie, aż śliski jedwab zsunął się z jego szyi. Kusilo go, by zerwać z siebie ubranie w obłądnym pośpiechu, pohamował się jednak i czubkami palców kreślił wzory na ciele Jenny, na piersiach, biodrach, obrysowywał stwardniałe brodawki i znowu wędrował dłońmi na biodra.

– Jenny – szepnął ponownie.

Zadrżała, ale nie zrewanżowała się wymówieniem jego imienia. Przesunęła rękami po jego torsie, rozpięła surdut i zabrała się do kamizelki.

Gareth zrzucał z siebie rozpięte części garderoby, a koszulę ściągnął przez głowę. W chłodnym nocnym powietrzu jego ciało pokryło się gęsią skórą. Jenny przycisnęła dłonie do torsu Garetha, jakby chciała go ogrzać. Pożądanie eksplodowało w nim, nie mógł już dłużej czekać.

Wziął Jenny na ręce i zaniósł do łóżka. Było bardzo ciemno, bo jedyne źródło światła stanowiły uliczne latarnie, których promienie musiały w dodatku przedrzeć się przez żółtawe szybki w oknach i grube warstwy wiszącej w powietrzu mgły.

Gareth widział tylko zarys sylwetki Jenny, ale detale – kolor skóry czy krzywizna bioder – kryły się w mroku.

Skóra na jej kolanach była tak gładka, jak w jego

wspomnieniach. Wsunął palce pod rąbek koszuli i powoli unosił ją w górę. Jenny podniosła ramiona, żeby mógł zdjąć jej koszulkę przez głowę. Wreszcie była całkowicie naga. Tym razem, zamiast obwieść kciukiem brodawkę piersi, wziął ją do ust. Jenny wygięła się w łuk i położyła dłonie na ramionach Garetha, który zaczął ssać pierś, drażniąc brodawkę językiem. W pewnym momencie Jenny odnalazła pasek spodni. Przez chwilę mocowała się z nim w ciemności, ale wreszcie zapięcie puściło. Wystarczyło kilka kopnięć, by niepotrzebny materiał znalazł się na podłodze. Gareth gorącymi pocałunkami znaczył sobie drogę w dół jej ciała. Jęknęła, ale nadal nie wymówiła jego imienia. Gdy dotarł do źródła kobiecej rozkoszy, z ust Jenny wyrwał się okrzyk:

– Gareth!

Otworzyła się dla niego, a on był zgubiony, ale czuł się tak, jakby wracał do domu. Wszedł w nią powoli, zagłębiając się w jej ciało cal po calu.

Obejmowała go mocno.

– Gareth – szepnęła.

Dłużej nie był w stanie się powstrzymać.

Pozwolił, aby gwałtowna namiętność i dojmująca potrzeba scalenia z Jenny całkowicie nim zawładnęły.

Kochał się tak, jakby spodziewał się, że nastąpi koniec świata – zapamiętał, z żarem i oddaniem.

Oboje doznali wszechogarniającej rozkoszy, po czym zapadli w błogostan.

Gdy Gareth powoli powrócił do rzeczywistości,

zadał sobie w duchu pytanie: Co teraz usłyszy od Jenny? Chociaż to jego ciało przygniatało ją do materaca, a tors uciskał jej miękkie piersi, w jakiś niezrozumiały sposób czuł, że to on został pokonany i schwytyany w pułapkę. Czego przed chwilą doświadczył? Na pewno rozkoszy, ale nie tylko. Miał poczucie zespolenia, zjednoczenia. To był koniec jego długotrwałej, ponurej samotności. Gareth nie mógł się zdobyć na opuszczenie ciała Jenny, bo nagle stała się dla niego wszystkim. Dotknął czołem jej czoła. Wypowiedz jeszcze raz moje imię, poprosił w myślach. Nie posłuchała. Położyła dłonie na jego piersi i lekko nacisnęła. Przesłanie było jasne.

Gareth wysunął się z niej z westchnieniem i materac ugiął się pod jego ciężarem. To był wyjątkowo zdezelowany, niewygodny siennik. Czuł pod plecami całą masę rozmaitych nierówności. Łóżko było zbyt wąskie, by mogli leżeć obok siebie, nie dotykając się. Gareth zamknął oczy, jego nagą skórę owiało chłodne powietrze.

– Cóż. – Jego głos zabrzmiał obco. – Może jednak powinniśmy byli podać sobie ręce na pożegnanie.

– To byłaby wątpliwa przyjemność.

Jenny to jedyna kobieta, która zrozumiała, że wyniosła izolacja markiza Blakely'ego to tylko maska, taka sama jak kolorowe fatałaszkii madame Esmereldy, pod którymi dawniej sama się kryła.

– Przyjemność to coś, co ludzie odczuwają,

kiedy dobrze się bawią. Słyszałam, że mogą jej doznawać nawet poważni lordowie o zacięciu naukowym. – Gareth nie zareagował na to stwierdzenie, więc Jenny ostentacyjnie westchnęła.

Wiedział, co powinien zrobić, jeśli chciał ocalić choć odrobinę godności – wstać, ubrać się i wyjść.

Tymczasem pragnął trzymać Jenny w ramionach i czuć jej cudownie aksamitną skórę, słuchać jej oddechu i napawać się jej zapachem. Był rozdarty między dumą a namiętnością.

– Nie musisz się czuć odpowiedzialny – powiedziała Jenny. – Nie obawiaj się, nie narażę cię na komplikacje.

– Chyba jestem zbyt wyczerpany, by się ruszyć.

– Milordzie... Gareth?

Mruknął coś sennym głosem i przewrócił się na bok, obejmując ramieniem biodro Jenny. Okryła go kocem i wstała. Po chwili usłyszał plusk wody.

W parę minut później umościła się przy nim i zaczęła miarowo oddychać.

Przy Jenny był bezpieczny. Decyzje mogą poczekać do rana, uznał Gareth i zapadł w głęboki sen.

## **Rozdział trzynasty**

Poranne hałasy wyrwały Jenny ze snu. Na pobliskim targu trwał ożywiony ruch, podobnie na ulicy przed domem. Blakely nie wymknął się w środku nocy, jak początkowo podejrzewała. Nadal tu był. Leżał na boku i wpatrywał się w nią uważnym wzrokiem. Odjak dawna ją obserwował? Zanim zdążyła powiedzieć coś na powitanie, pochylił się nad nią i zamknął jej usta pocałunkiem. Przesunął rękami wzdłuż jej ramion i boków. Jenny pozazdrościła mu pewności, z jaką po nią sięgnął. Przecież dotykał jej po raz ostatni. Zdawała sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie nigdy nie zazna takiej cudownej bliskości z żadnym mężczyzną, jak ostatniej nocy z Garethem. Zamknęła oczy i całkowicie poddała się doznaniom. Odnalazł jej pierś i pieścił ją językiem. Jenny przebiegł dreszcz rozkoszy.

Po pewnym czasie Gareth odsunął się, a Jenny uniosła powieki. Wspierając się na przedramionach, popatrzył na nią zmrużonymi oczami. Złociste promienie słońca padały na jego nagie ciało, smukłe, ale silne.

– Jenny – odezwał się cicho – jesteś nieobecna duchem. Nie leż tak, proszę, dotknij mnie.

Posłusznie położyła ręce na jego ramionach.

– Nie wiesz, o co prosisz.

– Nie wiem? – Przesunął pieszczotliwie palcami po jej szyi. – Proszę, żebyś się ze mną kochała.

– Gareth – wyszeptała. – Lepiej, nie. Już i tak jest dość trudno...

Zamilkła. Jeżeli tylko tyle mogła mieć, te kilka chwil z nim, to nie czas na żale. Chciała móc po latach powiedzieć sobie, że wykorzystała każdą odrobinę szczęścia, jaką los dla niej przeznaczył.

Uśmiechnęła się, a on – dziw nad dziwy! – odpowiedział uśmiechem.

– Tak lepiej – powiedział. – Kiedy to robisz, czuję się niemal istotą ludzką.

Połączyli się, ich ciała pasowały do siebie idealnie.

– Jeszcze lepiej – mruknął ochrypłym głosem.

Odnależli wspólny rytm. Poruszali się jak w świetlistej bańce. W końcu bańka prysła i zalała ich kaskadą oślepiającego blasku. Gareth zacisnął powieki.

Włosy przylepiły mu się do czoła, wilgotne i splątane. Nagle otworzył oczy i spojrzał na Jenny.



To było wyjątkowe doznanie. Jenny obserwowała, jak powoli ustępował z jego oczu blask. Pewnie markiz Blakely przypominał sobie, dlaczego ich związek jest niemożliwy. Nie wspominał o niczym więcej niż tylko o czysto fizycznym akcie miłosnym i Jenny zależało na tym, żeby się nie zorientował, jak bardzo tęskniła za czymś więcej.

– To było to – powiedziała.

Odsunął się od niej bez słowa. Jenny usiadła i spuściła nogi na podłogę. Słyszała równy oddech markiza i szelest pościeli. Łóżko zadrżało, kiedy się poruszył. Ostrożnie wstał. Strzepnął spodnie i wciągnął je, nie patrząc na Jenny. Potem włożył pogniecioną koszulę, zdecydowanie zbyt wytworną jak na tę porę dnia. Jenny kurczowo zacisnęła palce na wystrzępionym brzegu kapy. Gareth poprawił mankiety i podniósł wzrok.

– To łóżko jest okropnie niewygodne.

Jenny zachłysnęła się z oburzenia. Nawet kłamstwa czy przeprosiny byłyby lepsze od tych słów.

Markiz Blakely – bo Gareth znowu stał się w każdym calu markizem, choć kamizelka, którą właśnie wkładał, domagała się natychmiastowego kontaktu z żelazkiem – chyba nie zauważył jej gniewu.

– A kołdra zdecydowanie za cienka.

– Czy potrafisz mnie tylko krytykować?

Znieruchomiał, a potem ściągnął z szyi fular i przechylił głowę na bok.

– Czy to była krytyka pod twoim adresem?

Wydaje mi się, że nawet o tobie nie wspomniałem.

– Jego głos był spokojny, karcący.

– Ty... ty...

– Z moich obserwacji wynika, a przyjrzałem ci się naprawdę dokładnie, że nie jesteś ani kołdrą, ani materacem. Jeśli zamierzasz brać do siebie każdą moją uwagę na temat umeblowania, to, niestety, nic nie mogę na to poradzić.

– Milordzie...

Niewzruszony spokój opuścił go natychmiast, spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– Gareth – poprawił ją z naciskiem. – Zwracaj się do mnie po imieniu.

– Odchodzisz.

Sięgnął po surdut.

– Rzeczywiście. Mam dzisiaj mnóstwo do zrobienia.

– Więc to pożegnanie.

– Przed chwilą próbowałem ci powiedzieć, że pomimo niedoskonałości otoczenia spędziłem tutaj najwspanialszą noc w swoim życiu.

Jenny otworzyła usta ze zdumienia, a wówczas Gareth nagle pochylił się i ją pocałował. Odsunął się równie szybko.

Czy ta krótka przemowa miała wyrazić jego podziw? Jenny musiała odnaleźć nową drogę życiową. Wyciągnęła więc rękę i dotknęła jego dłoni.

– Żegnaj, Gareth.

Z godnością przyjął jej słowa, jednak przed wyjściem odwrócił się i sprostował:

– Nie „żegnaj”, a „do widzenia”. Na razie.

W ten sposób Jenny dowiedziała się, że zamierza wrócić. Nie wiedziała, czy płakać z tego powodu, czy się cieszyć.

Jenny musiała stawić czoło rzeczywistości. Pozbywszy się ze swego życia madame Esmereldy, została bez grosza przy duszy. Potrzebowała pieniędzy, i to szybko. Włożyła więc najładniejszą suknię, jaką miała, zanim Gareth sprawił jej nową wieczorową kreację, i wyszła z domu.

Słońce stało wysoko, jeszcze nieprzesłonięte zbierającymi się na niebie burzowymi chmurami. Powietrze było czyste, lekki wiatr wiejący w stronę rzeki niósł zapach świeżo pieczonego chleba.

Jenny wydawało się nierealne, że zaledwie w parę godzin po miłosnych uniesieniach wystroiła się w suknię z jasnoniebieskiego muślinu i wyruszyła, by złamać jedną ze swych żelaznych, przestrzeganych od lat zasad.

Zmierzała do banku przy Lombard Street, żeby wypłacić pieniądze z konta, a nie zdeponować je. Od ośmiu lat żyła bardzo oszczędnie i odkładała każdego pensa. Z miesiąca na miesiąc majątek Jenny rósł, a wraz z nim jej poczucie bezpieczeństwa i niezależności.

Zwróciła Nedowi jego szylingi. Przed godziną zaś, kiedy pani Sevin przyszła, jak zwykle, na

seans, Jenny spojrzała jej prosto w oczy i otwarcie przyznała się do oszustwa. Kolejna gwinea przepadła, ale ona odczuła to wyznanie jako katharsis, choć było jej przykro, że pani Sevin tak bardzo pobladła. Katharsis jednak nie mogło opłacić czynszu, a termin mijał za parę dni. Dlatego Jenny musiała udać się do banku.

Dzień był piękny, ale po nocnych ekscesach bolały ją mięśnie, o których istnieniu już dawno zapomniała. Zanim dotarła na Lombard Street, zdążyła stracić energię. Uchyliła drzwi banku, w którym zdeponowała swoje fundusze. Pół godziny temu minęło południe, więc zastała tylko kilku niższej rangi kasjerów. Na szczęście wśród nich znajdował się ten, który pomógł jej założyć rachunek.

Problem polegał na tym, że – co Jenny uświadomiła sobie ze ściśniętym sercem – był to pan Sevin, który zgodził się założyć jej konto na prośbę żony. Na domiar złego przyszła ona do męża zaraz po wizycie u Jenny. Małżonkowie stali teraz bardzo blisko siebie, nie dotykali się – to byłoby w najwyższym stopniu niestosowne – ale pochylili ku sobie głowy i toczyli ożywioną rozmowę, której treści Jenny domyśliła się już od progu.

Pani Sevin na jej widok zacisnęła palce na torebce i odwróciła wzrok. Natomiast jej mąż skierował się ku Jenny, stanowczo dając żonie znak, by szła za nim. Posłuchała, wbijając oczy w ziemię.

– Madame... Esmerelda? – Pan Sevin przesunął spojrzeniem po sukni Jenny, tak różnej od jaskrawego kostiumu wróżki. Rozciągnął usta sztucznym uśmiechu.

Jenny od dawna podejrzewała, że jej nie lubił, ponieważ bał się jej nadprzyrodzonych zdolności. Dopiero teraz jednak, na widok malującej się na jego twarzy satysfakcji, doszła do wniosku, że usłużność miała źródło w strachu. Obawiał się, że przejrzała jego najgłębiej skrywane tajemnice. Nietrudno było odgadnąć, jakiego rodzaju były to sekrety, bo strzępy informacji o ich pożyciu, jakie wyrywały się niekiedy żonie, budziły niepokój.

– Jak się pani miewa? – Jego głos zabrzmiał w niewielkim pomieszczeniu nieco zbyt głośno. Pan Sevin wypiął pierś jak mały chłopiec, który idzie nocą przez las i udaje, że nie boi się wilków. – Żona zrelacjonowała mi właśnie nader ciekawą rozmowę z panią.

Pani Sevin skuliła się i ukryła za plecami męża, którego Jenny obdarzyła wyjątkowo udaną imitacją uśmiechu.

– Tak się składa, panie Sevin, że zawieszam usługi.

– Ach tak. Dlaczego?

Przecież wiedział, obrzydliwiec, ale koniecznie musiał wyrwać Jenny to wyznanie. Przyznanie się do winy przed cichą, spokojną panią Sevin nie budziło jej oporów. Zupełnie inaczej rzecz się miała z apodyktycznym panem Sevinem. Czy

gdyby go teraz okłamała, podniósłby rękę na żonę? Robił to już dawniej, bił ją często. Nie czas na kłamstwa, uznała Jenny. Musi powiedzieć prawdę, potem przyjdzie kolej na naukę, jak zdobyć szacunek bez uciekania się do oszustwa.

Odetchnęła głęboko.

– Wycofuję się, ponieważ nie mogę przepowiadać przyszłości.

– To znaczy, że duchy już do pani nie przemawiają?

– Zerknął na żonę. – A może pani nadprzyrodzone siły jeszcze wróca?

Wystarczyłoby jedno kiwnięcie głową, a Jenny spotkałaby się ze współczuciem, a nie potępieniem.

Nie mogła jednak tak postąpić, chociażby z powodu pani Sevin.

– Nie – szepnęła. – Nigdy nie miałam żadnych nadprzyrodzonych mocy. To wszystko było... oszustwem.

To, do czego doszła dzięki oszustwu, czyli pozycja, która zapewniała jej minimum szacunku, znikło. Nawet ten wstrętny człowiek, ta obmierzła ropucha, patrzył teraz na nią z góry! Pan Sevin powoli pokiwał głową.

– Moja żona, oczywiście, nigdy nie wątpiła w pani moc. Jak mogłem zaufać kobiecej ocenie?

– Proszę jej nie winić.

– Winić? Moja droga, ja winię samego siebie! – Złączył czubki palców i spojrzał w dal. – Nie ma pani nadnaturalnych zdolności, pozwalających przeniknąć skrywane tajemnice człowieka?

Jenny pokręciła przecząco głową.

Na twarzy pana Sevina pojawiło się coś na kształt uśmiechu, choć pozbawionego wesołości czy satysfakcji. Grymas rozszerzał się, stawał się coraz bardziej drapieżny, a wreszcie z oczu pana Sevina zniknęła niepewność. Jenny zadała sobie w duchu pytanie, jakie mroczne sekrety skrywa ten mężczyzna.

– Na prośbę żony przez lata nadstawiałem za panią karku. Zdaje pani sobie sprawę, że bank, cieszący się taką renomą jak nasz, nie prowadzi rachunków osób o pani statusie majątkowym. A gdyby ktoś mnie zapytał, dlaczego otworzyłem pani u nas konto? Co by się ze mną stało?

– Nie sądziłam...

– Zapłaciłbym za to utratą stanowiska – oznajmił pan Sevin. – A mam żonę i dziecko.

– Ale...

– Wydawało mi się, że lepiej pani nie drażnić. Żona twierdziła, że dysponuje pani nadnaturalnymi mocami, ale jej obawy, jak większość kobiecych lęków, okazały się chimeryczne. – Pan Sevin rozejrzał się ukradkiem po banku, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

Niestety, nikt nie zwracał na nich uwagi. Większość stanowisk była pusta, a dwaj obecni na sali kasjerzy siedzieli w drugim końcu pomieszczenia i pochylali ku sobie głowy, zatopieni w rozmowie. Pani Sevin, zawsze bardzo spokojna, teraz skamieniała w bezruchu i wpatrywała się w podłogę.

Jenny powtarzała sobie jak mantrę, że cała wina leży po jej stronie i że reprimenda pana Sevina, aczkolwiek ostra, była w pełni zasłużona.

– Przepraszam za kłopoty – powiedziała. – W pełni doceniam pana starania o moje interesy. Ma pan pełne prawo...

– Pełne prawo! Sama pani przyznała! – Oblizał wargi i pochylił się do przodu. Emanowała z niego wściekłość.

Jenny zaczynała rozumieć, dlaczego dawniej tłumy paliły czarownice na stosie. Nie dlatego, że ludzie bali się ich władzy, bo prawdziwe wiedźmy, które dysponowały budzącą lęk mocą, unikały stosu. Tylko dlatego, że gdy wyszło na jaw, iż w ogóle nie było się czego bać, musieli kogoś ukarać za swój irracjonalny strach. Pan Sevin na oczach Jenny przeistoczył się w jednostkę z tego tłumu.

– Może zamknę swoje konto – zaproponowała, żeby złagodzić jego gniew. – Zlikwiduję rachunek i więcej się nie spotkamy.

Pan Sevin wydał wargi.

– Jaki jest stan pani konta?

Jenny wyjęła z torebki książeczkę czekową i podała ją panu Sevinowi. Polizał palec i przekartkował książeczkę aż do ostatniej strony, rozmazując atrament, którym zapisywane były przez lata wszystkie uciulane przez nią sumy.

Oddał weksel z książeczki i podsunął go Jenny.

– Proszę to wypełnić. I podpisać. Jeszcze tutaj.



Wstał i przeszedł przez salę. Po chwili wrócił z grubą, brązową księgą. Jenny rozpoznała sygnaturę rejestru z dnia, w którym otworzyła konto. Położył tomisko na biurku i zaczął leniwie przerzucać karty.

– Czy naprawdę nazywa się pani madame Esmerelda? – zapytał od niechcienia.

– Nie. Nazywam się Jenny Keeble.

– Hm. Dobrze. – Przestał przerzucać strony.

Złapał książeczkę czekową i podpisany przez nią weksel. Wrzucił je do szuflady i przekręcił klucz w zamku, zanim Jenny zdążyła odebrać mu swoją własność.

– Nie może pan tego zrobić! Proszę mi to oddać!

– Comam pani oddać? – Ton głosu pana Sevina był niewinny, ale usta wygięły się w diabelskim grymasie.

– Moją książeczkę czekową! Tę, którą dałam panu przed chwilą.

Pan Sevin pokręcił głową ze zdumieniem.

– Zaraz, zaraz. Chyba rzeczywiście mam jakąś książeczkę w szufladzie. Nie należy ona do Jenny Keeble. – Popukał w górną kartkę, na której znajdował się fałszywy podpis. – To rachunek madame Esmereldy, a pani nią nie jest.

– Panie! Niech pan lepiej... albo ja... ja...

– Pani co? Przeklnie mnie? Sama pani przed chwilą przyznała, że nie posiada pani żadnej mocy. Postawi mnie pani przed sądem? Jakim sposobem, skoro sama jest pani oszustką?

– Ja... – Jenny przygryzła wargę w bezsilnej złości. Gdyby zaczęła robić awanturę, pozostali kasjerzy podeszliby, żeby sprawdzić, co się dzieje. Dowody nieuczciwości pana Sevina mogłyby okazać się zbyt słabe dla sądu, ale z pewnością wystarczyłyby, aby Jenny otrzymała zwrot swoich funduszy, których tak bardzo potrzebowała. Jednak pani Sevin stała za ich plecami jak milczący wyrzut sumienia. Jenny wiedziała doskonale, że mąż wyładowywał na tej kobiecie swoje niezadowolenie z życia. Posuwał się zarówno do rękoczynów, jak i presji psychicznej, besztając ją ostrymi, obraźliwymi słowami. Pierwsze pytanie, jakie pani Sevin zadała Jenny, brzmiało: „Jak mogę się stać lepszą żoną?”

Jenny odetchnęła głęboko. Wkrótce musiała zapłacić czynsz, ale mogła tu wrócić pod nieobecność pana Sevina, w dniu, w którym pracował w niepełnym wymiarze godzin. Dzięki temu ciężar jego gniewu nie spadłby na żonę. Na pewno znajdzie się sposób, by wytłumaczyć sytuację innemu kasjerowi, który znał ją z widzenia, a nie wiedział nic o paskudnej historii madame Esmereldy. To była tylko krótka zwłoka, czasowe odroczenie. Zresztą Jenny nie miała wyboru. Swymi kłamstwami zawiniła wobec pana Sevina, podobnie zresztą jak wobec Neda. Na ustach pana Sevina pojawił się wyraz satysfakcji, przez co jego twarz upodobniła się do świńskiego ryja.

Spojrzała ponad jego ramieniem na twarz pani Sevin.

– Przepraszam – powiedziała Jenny. – Z całego serca przepraszam za wszystko.

Kiedy Jenny ruszyła do wyjścia, pan Sevin pomachał jej ręką na pożegnanie.

– Miło było panią poznać, panno Keeble – rzucił z przekąsem.

Gareth wszedł do gabinetu, zdejmując rękawiczki.

Dopiero minęło południe, a miał już za sobą sporo załatwionych spraw. Na stole, przed White'em piętrzył się stos dokumentów. Plenipotent podniósł wzrok i skinął głową w przyjaznym powitaniu. Gareth odwzajemnił ten gest z wahaniem, ale po raz pierwszy nie poczuł się niezręcznie.

Prawdę mówiąc, poczuł się... wręcz wspaniale.

Usiadł naprzeciwko plenipotentu.

– Zanim zaczniemy – odezwał się White. –

Przyszedł list od księcia Ware'a, którym trzeba się zająć niezwłocznie. Pozwoliłem sobie zainteresować się tą sprawą i... – White urwał w pół zdania.

Gareth odłożył rękawiczki na biurko.

– Co się stało?

– Musiał pan już załatwić tę sprawę.

– Musiałem? Skąd taki wniosek?

– Milordzie, pan się uśmiecha! – wypalił White.

Gareth dotknął własnej twarzy. Jakie to dziwne!

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że się

uśmiecha. W dodatku wcale nie miał ochoty przestać.

– Czego oczekuje książę?

– Chce zorganizować spotkanie z udziałem pana i młodego pana Carharta. Gdzieś tu była jego lista punktów do omówienia. – White rozejrzył się po biurku i rozłożył kartkę. – Po pierwsze, nie zamierza oddać córki komuś tak... hm... pozwolę sobie zacytować jego słowa: „bezmyślnemu i zidiociałemu” jak pana kuzyn. Po drugie, lady Kathleen jest niemile zaskoczona, że pan Edward Carhart nie raczył jeszcze się u niej pojawić. Po trzecie...

Gareth podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

Londyn był szarobury jak zawsze w niepogodę.

Jednak przychylnie nastawiony do świata Gareth zauważył plamę oleju, która wyczarowała tęczę na powierzchni kałuży. Uświadomił sobie, że White mówił już do niego od pewnego czasu.

– Nie słuchał pan.

– Niestety, nie.

White odłożył list i zerknął na piętrzącą się obok korespondencję.

– Czy będzie pan dzisiaj w stanie przedyskutować ze mną jakiegokolwiek kwestie?

– Umów mnie z Ware'em. Znasz mój rozkład zajęć. Zachowaj list księcia. Przed spotkaniem przeczytam go uważnie.

White zanotował polecenie.

– A jeśli chodzi o pozostałe sprawy...

White chrząknął.

– Czy mogę pozwolić sobie na śmiałość?

Gareth kiwnął głową.

– Zakładam, że przeprosiny zostały przez nią przyjęte?

Gareth poczuł, że uśmiech znowu wypłynął na jego twarz.

– Przez nią? Co to za ona?

– Hipotetyczna ona, sir.

Jedna noc z bynajmniej niehipotetyczną Jenny okazała się niewystarczająca, by Gareth przestał o niej myśleć. Obudziła w nim tylko nierealne nadzieje. Jenny nadal stanowiła dla niego zagadkę. Poznał jej imię, lecz nadal nie miał pojęcia, skąd pochodziła, ani jak to się stało, że została zawodową wróżką. Może gdyby wiedział o niej więcej, przestałaby go tak pociągać?

– White – powiedział. – Chcę, żebyś zebrał dla mnie pewne informacje.

Plenipotent najwyraźniej nie był zaskoczony zmianą tematu rozmowy.

– Tak, milordzie. O księciu Ware'em?

Gareth pokręcił głową.

– Nie, o kobiecie. Nazywa się Jenny Keeble.

A jeśli chodzi o to... – Spojrzał na piętrzący się na biurku stos papierów. – Umów mnie z Ware'em i poinformuj o terminie mojego kuzyna. Wychodzę. Muszę załatwić pewną sprawę.

## **Rozdział czternasty**

Ned przykręcił knot lampy naftowej i pokój pogrążył się w mroku. Czerwone promienie zachodzącego słońca malowały na ścianach drżące cienie rozkołysanych na wietrze liści wiązów, które rosły pod domem. Przestało padać, ale nie miało to dla Neda najmniejszego znaczenia. W powietrzu unosił się przykry zapach jego niemytego ciała i nieświeżych prześcieradeł. Pokój wymagał wietrzenia. Czuł na skórze lepłą warstwę potu po całym dniu spędzonym w łóżku na udawaniu chorego.

Właściwie nie było to do końca udawanie. Kręciło mu się w głowie, nawet kiedy się nie poruszał, odczuwał dokuczliwe mdłości. Wróciły dolegliwości, które ustąpiły dwa lata temu pod wpływem spotkań z madame Esmereldą. Ned rozpaczliwie pragnął jej wierzyć i skwapliwie uznał za prawdę, że miał jednak w sobie coś wartościowego. Tak bardzo mu na tym zależało, że

zniszczył reputację lady Kathleen, aby udowodnić, iż przepowiednie madame Esmereldy się sprawdzają. Zamknął oczy i wyobraził sobie widok z okna swojego, znajdującego się na drugim piętrze pokoju. Plac, lampy uliczne. Wysokie okna mansardowe w spadzistym dachu domu naprzeciwko.

Niżej okna zamurowane w obawie przed podatkami.

Prosta ulica pomiędzy białymi ścianami domów, która prowadziła poza granice miasta.

Gdyby zdobył się na to, żeby wstać z łóżka, zobaczyłby w szybie własne odbicie. Może nawet uchyliłby okno, by wygnać z pokoju ten zaduch.

To wymagałoby wysiłku, a mięśnie Neda opierały się jego woli.

Minęły dwa lata, odkąd musiał się zmagać z podobną niedyspozycją. Jeżeli można terminem „zmagać się” określić leżenie w łóżku i gapienie się w sufit. Dwa lata temu, pewnego popołudnia, Ned przypomniał sobie wróżkę, którą odwiedzili kiedyś dla żartu z grupą przyjaciół, madame Esmereldę.

Zwłókł się z łóżka i wybrał się do niej, ona zapewniła go, że pewnego dnia stanie się mężczyzną. Przepowiedziała, że jego los się poprawi.

I rzeczywiście nastąpiła poprawa. Wkońcu Ned uwierzył, że obezwładniająca słabość zniknęła na zawsze.

Okazało się, że nie zniknęła. Przyczaiła się tylko

w oczekiwaniu na stosowną chwilę, by znowu rzucić się na niego i pozbawić go kontroli nad własnym życiem. Obietnica madame Esmereldy nie była warta funta kłaków.

Gdzieś pomiędzy południowymi smętnymi rozmyślaniami a przyływem rozpaczy w porze popołudniowej herbaty nadszedł list od kuzyna.

Blakely zawiadamiał, że następnego dnia o siódmej wieczór obecność Neda byłaby mile widziana – niekonieczna, a właśnie mile widziana – na spotkaniu z księciem Ware'em i lady Kathleen.

Zamierzali wspólnie poszukać wyjścia z sytuacji.

Ned nie wątpił, jakie wyjście wybiorą. Będzie musiał poślubić lady Kathleen. Choć nie miał nic przeciwko tej uroczej młodej damie, na myśl o małżeństwie przeszywał go zimny dreszcz.

W związku małżeńskie powinni wstępować mężczyźni silni i godni zaufania, a nie beznadziejni nieudacznicy, którzy co dwa lata zapadają w mroczną otchłań. Mężczyźni, którzy pragnęli mieć dzieci i nie obawiali się, że mogłyby odziedziczyć rodzinne skłonności do obłądu. Ned żył w przekonaniu, że nigdy się nie ożeni, lecz byłoby przesadą twierdzić, że jego duch wzdragał się przed stałym związkiem. Wzdraganie się oznaczałoby pewien wysiłek, a Ned nie miał na to dość energii.

Odwrócił się i zaczął myśleć o londyńskiej ulicy, która przecinała plac pod jego oknem. Gdyby teraz wstał z łóżka i włożył ubranie, to mógłby



postawić stopę na chodniku. A potem ruszyć przed siebie, stawiając jedną stopę przed drugą, a potem tę drugą przed pierwszą. Mógłby zniknąć w ciemnościach i już nigdy nie wrócić. Mógłby, i ta myśl obudziła w nim ślad zainteresowania, trafić na złodziei lub bandytów i stanąć z nimi do walki. Przegrałby z pewnością i to bardzo ułatwiłoby mu sytuację.

Z drugiej jednak strony, gdyby nawet zdobył się na wysiłek wyjścia z domu, mógł zostać jedynie obrabowany, a na samą myśl o tym, że musiałby odejść bardzo daleko, Ned poczuł się straszliwie wyczerpany. Zresztą, choćby uciekł setki mil od Londynu, nie zdołałby umknąć przed wewnętrznym wrogiem. A on właśnie stanowił jego największy problem.

Zamiast wyruszyć na poszukiwania bandziorów, odwrócił się na drugi bok i zapadł w głęboki, krzepiący sen.

– No, jesteśmy na miejscu. Gdzie to pani postawić?

Jenny, przemoczona w trakcie powrotu do domu z banku, popatrzyła tępym wzrokiem na zadającego pytanie mężczyznę. Trzymał w zębach źdźbło słomy, śmierdział potem, a jego włosy nie widziały grzebienia co najmniej od miesiąca. Przed jej domem stał wóz, który zablokował ulicę. Dwaj ludzie ściągali z niego dębowe belki.

– Co gdzie postawić?

Mężczyzna popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.

– Dostawę. A niby o czym rozmawiamy?

– Jaką dostawę?

– Mamy dostarczyć nowe i od razu wywieźć stare.

– Nie oczekuję dostaw. Ani starych, ani nowych.

A w szczególności dostawy tych... co to za przedmioty?

– To łóżko, psze pani. Ten pan mówił, że to bardzo pilne.

Mężczyzna skrzywił się i odwrócił wzrok od Jenny, która pomyślała, że bez wątpienia uświadomił sobie, jakiego rodzaju kobiety otrzymują w prezencie łóżka. Tylko jeden człowiek mógł jej przesłać taki podarunek: markiz Blakely. Idiota! Byłaby na niego wściekła, gdyby... ten gest nie był wzruszający.

Szczególnie że wykonał go Blakely, który w kontaktach z ludźmi był tak niepewny i skrepowany, że nie potrafił traktować innych... po ludzku.

Jenny z pewną obawą wpuściła mężczyzn do mieszkania.

Stolarz – ten śmierzący potem mężczyzna okazał się stolarzem – szybko złożył łóżko, bez trudu dopasowując do siebie poprzycinane elementy. Starannie omijał wzrokiem Jenny. Pilnował się również, żeby się nie rozglądać po domu. Minęło zaledwie pół dnia od chwili, gdy Jenny została kobietą upadłą, a już dostała próbkę tego, czego

miała doświadczać przez resztę życia: pogardy uczciwego człowieka. I lekceważenia człowieka nieuczciwego, dodała w myślach, pamiętając o obrzydliwym panu Sevinie.

To nie z powodu wzgardy stolarza, który właśnie starannie wbijał ostatnie gwoździe, Jenny poczuła ukłucie w sercu. Sprawiała to świadomość, że zaledwie kilka dni temu ona sama kręciła nosem na utrzymanki. Na te nieszczęsne kobiety, które znalazły się w sytuacji bez wyjścia i musiały sprzedawać ciało i korzyć się przed mężczyzną, aby zdobyć środki do życia. Rola utrzymanki oznaczała bezwarunkowe podporządkowanie się protektorowi bez prawa do jakiegokolwiek szacunku. Czyżby miała zostać utrzymanką?

Robotnicy wynieśli jej stare, rozklekotane łóżko i siennik. Po chwili pod domem Jenny zatrzymał się kolejny wóz. Tym razem dostarczono jej materac i grubą, wspaniałą kołdrę, jakiej jeszcze nigdy nie widziała. W ślad za nimi pojawiły się pledy z łabędziego puchu i bawełniane prześcieradła. Łóżko było znacznie większe od poprzedniego. Za duże jak na ciasny pokój na zapleczu.

Markiz Blakely wkroczył w jej świat tak niedawno i jak to się skończyło! Przewrócił całą jej egzystencję do góry nogami. W życiu Jenny nie było miejsca na wyznawane przez niego zasady moralne, a jednak stała oto nad ogromnym łóżem, pozbawiona klienteli ciekawej własnej przyszłości, a także dostępu do konta bankowego.

Niech ją lichy porwie, jeśli pozwoli odebrać sobie również niezależność! Nie zmieni się w pożałowania godną istotę, która nie ośmiela się nawet pisnąć, aby nie stracić protektora. Kopnęła ze złością skrzynię. Daremnie starała się wepchnąć do jedyne go kąta, który pozostał jeszcze wolny po zainstalowaniu w sypialni łoża.

– Głupi markiz Blakely – mruknęła gderliwie.

– Ciągłe to sobie powtarzam – rozległ się męski głos. – Dla ciebie głupi Gareth.

Jenny odwróciła się gwałtownie. Markiz nie wyglądał na zmęczonego, co wydało jej się wyjątkową niesprawiedliwością. Prezentował się całkiem nieźle w starannie wyprasowanych spodniach i surducie, z zawiązanym niedbale fularem.

Jego oczy w promieniach chylącego się już ku zachodowi słońca wydawały się złote.

– Gareth! – Potrząsnęła głową. – To łóżko...

Nie chcę od ciebie żadnych prezentów.

– To nie był prezent.

– Nie zamierzam przyjmować zapłaty w żadnej formie. Jeśli czujesz...

– To eksperyment naukowy.

Jenny usiadła ciężko na brzegu łoża.

– Słucham?

– Doszedłem do wniosku, że możliwe są dwa wyjaśnienia, dlaczego ostatnia noc była taka a nie inna. Albo ze względu na ciebie, albo z powodu nierównego materaca. Aby rozstrzygnąć tę kwestię, muszę sprawdzić każdą z hipotez osobno.

– Teraz rozumiem – oznajmiła z przekąsem Jenny. – Zabrałeś moje stare łóżko do siebie i spróbujesz się na nim przespać.

Markizowi najwyraźniej zabrakło słów.

– To ci umożliwi ocenę obu hipotez – dodała ze słodkim uśmiechem.

Dziw nad dziwy, ale Gareth odpowiedział uśmiechem.

– Pięć – mruknęła odruchowo Jenny.

– Zarobiłaś co najmniej dziewięć, a może i dziesięć punktów. Uśmiecham się przez cały dzień, co ma zdecydowanie negatywny wpływ na służbę.

Będę musiał im wyjaśnić, że zaangażowałem się w... eksperyment naukowy.

Zaczął się zbliżać do Jenny jak lampart skradający się do upatrzonej ofiary.

Jenny uniosła brwi.

– Myślałam, że nauka i kwestie sypialniane to dziedziny bardzo od siebie odległe.

– I tu popełniasz błąd – oznajmił i wyciągnął do niej rękę. – Poważny błąd. Mam ci to udowodnić?

– To zależy – odparła Jenny. – Czy będziesz potrzebował pióra i papieru? Zawsze mi się wydawało, że mężczyzna udowadnia swoje zdolności w praktyce, a nie na gruncie teoretycznym.

Wziął ją za rękę. Nie pociągnął jej jednak ku sobie, a ukląkł na podłodze u jej stóp.

– Nie lekceważ potęgi teorii. Choć pewna praktyka jest również mile widziana. Kobieta to nie regaty wioślarskie, w których wystarczy wypraco-

wać odpowiednią technikę, aby zapewnić sobie sukces. Kobieta to wiedza, więc sukces jest uzależniony od obserwacji i indukcji.

– Indukcji?

– Powtarzanego sprawdzania. Dowód naukowy to nic innego jak dowód przez indukcję czy raczej rozumowanie indukcyjne. – Pochwycił jej nogę i pogłaskał stopę. – W taki sposób. – Drugą rękę zaczął przesuwać w górę łydki.

Jenny głośno wciągnęła powietrze.

– To jest dowód?

– To teoria. Założyłem teoretycznie, że ta część twojej stopy – pogłaskał wygięcie – jest bardzo wrażliwa. Powtarzam eksperyment.

Powtórzył. Jenny wypuściła powietrze z płuc.

– Widzisz? Założyłem również, że lubisz być dotykana tutaj. – Musnął palcami delikatną skórę w zagłębieniu pod kolanem.

Jenny zamknęła oczy.

– Skąd możesz wiedzieć, czy miałaś rację?

– Wnioskuje na podstawie pewnych drobnych oznak. Twoje nozdrza rozdymają się, dłonie zaciskają, oddech staje się nierówny. – Dłoń Garetha powędrowała w górę łydki. – Właśnie tak.

Kiedy Jenny otworzyła oczy, dostrzegła, że mimo tej całej skomplikowanej gadaniny o obserwacji i indukcji, na jego twarzy malowało się wyraźne pożądanie. Ukrywał je za naukowym żargonem, jakby chciał przekonać Jenny, że to wyłącznie ona doświadczała żądzy, która zresztą

była czysto mechaniczną reakcją na bodźce, podobnie jak igła kompasu ustawiająca się tak, by pokazywać północ. Przez całe samotne dzieciństwo Jenny lokowała uczucia w koleżankach, które ich nie odwzajemniały.

– Może nie zdajesz sobie z tego sprawy – powiedziała spokojnie – ale masz prawo interesować się mną z przyczyn pozanaukowych.

Zacisnął palce wokół jej łydki.

– Dowód... – Temu słowu towarzyszyło spazmatyczne westchnienie.

Jenny wstała.

– Do diabła z dowodami! I z logiką! – Miała już dość marnych wymówek. – Jeżeli czegoś ode mnie chcesz, musisz to powiedzieć wprost.

Gareth nadal klęczał przy łóżku.

Jenny sięgnęła do tyłu i rozsznurowała sukienkę.

Na deszczu troczki się zasupłały, ale wystarczyło parę mocniejszych szarpnięć i puściły. Suknia opadła na podłogę z cichym szelestem. Gareth nie odrywał wzroku od jej szyi, ale po chwili przesunął go niżej. Pod jego gorącym spojrzeniem brodawki jej piersi ściągnęły się w twarde pączki.

– Chcę, żebyśmy się dobrze rozumieli – powiedziała

Jenny. W ślad za sukienką na podłogę powędrował gorset, a potem koszulka. Chłodne powietrze owiało jej nagą skórę. – Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, ale najpierw musisz o to poprosić. I musisz tego pragnąć dla siebie, nie dla dowodu.

Gareth powoli wstał. Nie dotknął Jenny.

– Pragnę ciebie.

– Skoro mnie pragniesz, to mnie weź, idioto.

Natychmiast porwał ją w ramiona i zagarnął jej usta w namiętym pocałunku. Jakimś sposobem zdołał zerwać z siebie ubranie, nie przerywając pocałunku.

– Proszę, żebyś zwracała się do mnie po imieniu

– powiedział, gdy uwolnił jej wargi.

Usiadł na łóżku i pociągnął Jenny na siebie.

– Chcę, żebyś mnie dosiadła – wyszeptał jej wprost do ucha.

Zmieszana Jenny znieruchomiała, a wtedy ujął rękami jej biodra i pokazał, o co mu chodziło i jak powinna się poruszać.

– Wymów moje imię.

– Gareth.

Gdy oboje przeżyli paroksyzm rozkoszy, Jenny opadła na pierś Garetha i wsunęła palce w jego wilgotne od potu włosy. Gareth uniósł jej rękę i pokrywał pocałunkami niebieskie żyłki na nadgarstku.

– Jak doszło do tego, że zostałam madame

Esmereldą? – zapytał.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Jestem z natury ciekawski.

– Ta historia nie stawia mnie w najlepszym świetle.

– Jenny, kiedy cię spotkałem, byłaś przebrana za Cyganekę i odpowiednio ucharakteryzowana.



Nie możesz powiedzieć niczego, co mogłoby pogorszyć moją opinię o tobie.

Jenny popatrzyła na niego koso i Gareth uświadomił sobie nagle, co powiedział.

– Chciałem tylko... Przepraszam.

Położyła mu rękę na ustach.

– Wiem, co chciałeś powiedzieć. Kiedy miałam osiemnaście lat, zakochał się we mnie starszy brat jednej z koleżanek. A przynajmniej tak twierdził.

– Arystokrata?

– Przeceniasz mnie. Młodszy syn właściciela młyna. Mówił, że nie może się ze mną ożenić, ale nigdy nie przestanie mnie kochać. – Dłoń Jenny kreśliła linie na brzuchu Garetha. – Uciekłam z nim.

– Kochałaś go?

– Nie, lecz pragnęłam być kochana. Powinnam być mądrzejsza. Przecież już wtedy wiedziałam, że wszyscy wokół kłamią.

– Dlaczego więc uciekłaś?

– Z uwagi na swoją przyszłość. Wiedziałam, że muszę zarabiać na swoje utrzymanie. Mogłam starać się o posadę guwernantki, ale nie miałam referencji. Mogłam więc zapomnieć o najlepszych posadach, a nawet o tych średnich. A najgorsze...

Cóż, jeśli już się sprzedawać, to po co jeszcze zajmować się cudzymi dziećmi?

– Mogłaś wyjść za mąż jak większość kobiet.

– Zapominasz, że nie miałam ani rodziny, ani posagu.

– Z pewnością niektórzy mężczyźni byliby gotowi przymknąć oko na pewne defekty twojego pochodzenia, aby zdobyć dobrą żonę. Farmerzy. Urzędnicy.

– Dobra żona? Ja? Dla farmera, urzędnika czy kogoś w tym rodzaju?

– Cóż, gdyby nie twój upór... i parę drobniejszych defektów charakterologicznych...

– Gareth, naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, na jakim świecie żyjesz. Uczęszczałam do szkoły, która miała z nas zrobić damy. Damy! Uczono mnie, jak z wdziękiem dygać i nalewać herbatę. Dbano o prawidłowy akcent i wymowę. Wbijano w głowę podstawy francuskiego, ale tylko tyle, żebym mogła swobodnie prowadzić konwersację, nie dość jednak, abym mogła odnieść z tego jakieś praktyczne korzyści. Nauczono mnie malować akwarelki i grać kilka kawałków na fortepianie. Nie potrafię natomiast wydoić krowy ani posadzić kwoki na jajach. Jaki pożytek miałby ze mnie farmer?

Taki, jaki właśnie zrobił Gareth. Była w niej pewna swawolność, która sprawiała, że pragnął przyciągnąć ją do siebie i trzymać w ramionach. A także bystra inteligencja i niezachwiana wytrwałość, które kazały mu ją szanować.

– Moje pochodzenie nie pasowało do edukacji, jaką odebrałam, albo edukacja nie pasowała do pochodzenia. Nie miałam szansy na małżeństwo. Uciekłam z mężczyzną, bo wydawał mi się dość

miły i zaprzysiągł mi miłość aż po grób. Nigdy przedtem nie zaznałam nawet przelotnego uczucia. Wydawało mi się, że to wyjątkowo rzadki skarb.

Gareth z góry wiedział, jak zakończy się ta historia. Będzie miał ochotę przylać tamtemu mężczyźnie, choć równocześnie zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia on także porzuci Jenny.

– Przywiózł mnie do Londynu i ulokował w niezbyt eleganckiej dzielnicy. A w dwa miesiące później wręczył mi radośnie srebrną bransoletkę i życzył powodzenia. Byłam... wściekła. Widzisz, ja wiedziałam, że jego miłość kiedyś umrze. Spodziewałam się jednak, że potrwa tyle, ile życie psa, a nie na przykład... na przykład...

– Skarabeusza – podsunął Gareth.

Jenny się uśmiechnęła.

– Co wtedy zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam podążać dłużej tą samą drogą.

Życie utrzymanki jest piekielnie nudne. O posadzie guwernantki nie miałam co marzyć. Pomyślałam, że skoro wszyscy kłamią, to mogę i ja.

– Mogłaś... – Gareth urwał. Co właściwie mogła robić? Gdyby była wykształconym mężczyzną, mogłaby zostać urzędnikiem. Ale jako kobieta... – Mogłaś robić kapelusze?

– Szybko straciłabym wzrok, harując za grosze.

W Londynie mieszkanie i wyżywienie są bardzo drogie. Zresztą, pragnęłam czegoś więcej. Chcia-

łam być niezależna. Chciałam, żeby ludzie odnosili się do mnie z szacunkiem. – Głos Jenny zadrżał. – Nie rób mi wymówek, że marzyłam o odrobinie respektu, którym ty cieszyłeś się od urodzenia. Gareth sądził, że jeśli dowie się czegoś więcej o Jenny, to jej władza nad nim się zmniejszy. Ale nie zadziało. To, co czuł...

Na myśl o osiemnastoletniej, zdradzonej, zdanej tylko na siebie dziewczynie, która postanowiła mimo wszystko pokazać całemu światu, że sobie poradzi, poczuł ból w sercu.

– Największą zaletą roli madame Esmereldy – podjęła Jenny – było to, że musiałam się tak wiele dowiedzieć. Słuchałam plotek, oczywiście, ale studiowałam również kwestie finansowe, gospodarcze, nawet naukowe. Znacznie łatwiej przepowiadać przyszłość, kiedy się zna teraźniejszość.

Dawniej nikt nie oczekiwał, że będę cokolwiek wiedziała.

Gareth spodziewał się, że rezultatem poznania przeszłości Jenny będzie pewna zażyłość, może nawet bliskość. Nie wykluczał również pogardy czy obojętności. A tymczasem opowieść Jenny wzbudziła jego szacunek.

– Powiedz mi – poprosił cicho. – Przekonałaś się, że wszyscy kłamią. Jak do tego doszło?

Czuł na skórze ciepło jej oddechu, słyszał ciche westchnienie, ale linia jej ramion stała się już tylko niewyraźnym zarysem w zapadającym zmierzchu.

– Kiedy zostałam zawieziona do szkoły – za-

częła głosem tak cichym jak szmer spokojnej wody – byłam całkowicie zagubioną i niepewną siebie czteroletnią dziewczynką. Nauczycielka, której opiece zostałam powierzona, powiedziała, że jeśli będę grzeczna, to niedługo przyjedzie po mnie mama.

Może dlatego, że obejmujące ją ramiona Garetha dawały złudzenie bliskości, zdobyła się na tak głębokie wyznanie. Był wstrząśnięty potwornym okrucieństwem, jakim było powiedzenie małemu dziecku takiego kłamstwa.

– Więc byłam grzeczna. – Jej obojętny ton sprawił, że przeniknął go ziąb aż do kości. – Może trudno ci w to dzisiaj uwierzyć, ale byłam spokojna, układna i uczciwa. Przynajmniej w dzieciństwie. Nie płakałam nawet wtedy... chyba zdajesz sobie sprawę, jak okrutne potrafią być małe dziewczynki. Gareth widział, jak chłopcy z Harrow znęcali się nad kolegami pochodzącymi z mniej znanych, nie tak starych rodzin. Jak odtrącali nieśmiałych i cichych. Zapewne podobnie działo się w szkołach dla dziewcząt.

– Byłam wyjątkowo grzeczna do dziewiątego roku życia. Wtedy jedna z dziewczynek popchnęła mnie. Przewróciłam się, rozciąłam sobie kolano i zabrudziłam błotem sukienkę. Zaczęłam powtarzać w duchu, że wszystko się zmieni, kiedy przyjedzie po mnie mama, i nagle zrozumiałam, że minęły lata. Mama nie przyjechała i nie przyjedzie.

Nikt po mnie nie przyjedzie, choćbym była nie wiadomo jak grzeczna. Pani Davenport mnie okłamała, byłam sama na świecie.

– I co wtedy zrobiłaś?

Wyczuł, że Jenny wzruszyła ramionami.

– Przestałam być grzeczna. I oto jestem.

Przekreśliła się i uśmiechnęła do niego. Udawała, że to wszystko nieważne.

– Rozmowa o mnie staje się nudna. Powiedz, co z tobą? Miałaś dwadzieścia jeden lat, kiedy odkryłaś, że wszyscy kłamią, tak?

Gareth milczał. Nie miał ochoty na zwierzenia.

Dotychczas trzymał język za zębami, bo chciał wiedzieć o niej więcej niż ona o nim. Teraz, po jej dramatycznej opowieści, dołączyła do tego niechęć do uzalania się przed Jenny na swoje blahe przykrości.

– Jak zwykle – mruknął wreszcie. – Zawód miłosny.

– Kobieta? – Musiał chyba mimowolnie wydać głębokie westchnienie, bo nakryła ciepłą dłonią jego zimną rękę. – I inny mężczyzna, jak sędzę.

– Mój dziadek.

Wciągnęła z sykiem powietrze.

– Dobry Boże! Jak to... to znaczy... dlaczego?

– To był zakład. Zamierzałem poprosić ją o rękę.

Dziadek, który wychowywał, a właściwie tresował mnie po śmierci ojca, uważał, że nie jest dość dobra, by zostać markizą Blakely. Upierałem się, że to wspaniała dziewczyna, a wtedy on

zapropował zakład. Zamierzał mi udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że nie mam racji.

– Założył się, że nie jest dość dobra? – oburzyła się Jenny. – To okropne!

Nie bardziej niż odseparowanie matki Garetha od syna tylko dlatego, że ponownie wyszła za mąż.

– To był element edukacji, jaką mi zafundował.

Uczył mnie prowadzenia posiadłości ziemskich, przyjmowania odpowiedzialności. Twierdził, że mam plebejskie upodobania i instynkty, które należy ze mnie wykorzenić.

– Więc on...

– Przespał się z dziewczyną, którą pragnąłem poślubić.

– I on to nazwał nauką? To jakaś parodia! Jak śmiał ci powiedzieć o tym, co zrobił?

– Nie musiał mówić. Postarał się, żebym wszystko słyszał. Wykrzyczała jego nazwisko.

– W tamtym czasie on był markizem, tak?

Bogu niech będą dzięki za inteligentną kobietę, pomyślał Gareth. Zrozumiała wagę jego wyznania i nie zmuszała go do odsłaniania się jeszcze bardziej, niż to uczynił. Przesunął palcami wzdłuż krzywizny jej kręgosłupa.

– A kiedy odziedziczyłeś... – zaczęła.

– Minęło wiele lat. Ale tak, odkąd zostałem markizem Blakelym, nie chcę słyszeć tego tytułu z ust kobiety.

Wszystko wskazywało na to, że Jenny będzie zmuszona pójść tą samą drogą, co tysiące upad-

łych kobiet na świecie. Los nie pozostawił jej wyboru; nie miała ani rodziny, ani perspektyw. I to ona pocieszająco położyła rękę na torsie Garetha i oparła głowę na jego ramieniu. Ona udzielała mu wsparcia, a on, egoistyczna bestia, wysysał z niej ciepło, podobnie jak wcześniej samolubnie sięgnął po jej ciało. Przytulił Jenny, żeby choć na krótko poczuła się bezpieczna i mogła zapomnieć o poważnych problemach.



## **Rozdział piętnasty**

Kiedy Jenny obudziła się rano, łóżko obok niej było puste. Gareth musiał wyjść w nocy. Z zewnątrz dochodziły zwykle poranne odgłosy, między innymi wołania mleczarki: „Świeże maselko, świeże maselko!”.

Po wieczornych wyznaniach czuła się bezbronna. Po nim najwyraźniej spłynęło to jak woda po gęsi. Głupotą było wiązać jakiegokolwiek nadzieje z markizem Blakelym. Dla niego ich związek to przelotny romansik, możliwość zaspokojenia potrzeb seksualnych. Pewnego dnia odejdzie, a ona powinna się postarać, żeby życie nie wydało jej się wówczas tak puste jak teraz ten pokój.

Spuściła nogi z łóżka i sięgnęła po leżące w nieładzie na podłodze ubrania. Wkładając poszczególne sztuki garderoby, uświadomiła, że jej pragnienie bycia kochaną nie zmałało przez ponad dziesięć lat, jakie upłynęły od jej pierwszego,

katastrofalnego romansu. Dlatego doszukiwała się w słowach Garetha świadectwa, że naprawdę mu na niej zależy. Tymczasem nie licząc słodkich słówek, które wymknęły mu się w chwilach najwyższego uniesienia, traktował Jenny jak utrzymankę.

A przecież przysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie zdana na czyjaś łaskę, że nie da się więcej wykorzystać i ogłupić.

Pozwoliła, by jej ogromna tęsknota za miłością wzięła górę nad rozsądkiem, i wdała się w niebezpieczny romans. Tymczasem powinna się skupić na rozwiązaniu poważnych, życiowych problemów, na przykład, w jaki sposób wyrwać czterysta funtów ze szponów pana Sevina i co zrobić z tymi pieniędzmi, kiedy dostanie je już do ręki.

Gdyby chociaż nie opowiedziała tak głupio Garethowi o swoim dzieciństwie, nie czułaby się teraz taka obnażona. Ale przecież obejmował ją potem z taką czułością... Czuła się wówczas tak, jakby dotarła do domu. Nigdy dotąd nie miała domu.

Od wielu już lat Jenny nie pozwalała sobie na płacz, a teraz się rozpłakała. Wylewała łzy nad własną głupotą. Nagle dobiegł ją odgłos kroków i brzęk metalu. Jenny podniosła zalane łzami oczy w momencie, gdy Gareth wszedł do niewielkiego korytarzyka łączącego oba pokoje. Obie ręce miał zajęte, w jednej trzymał jakąś paczkę, a w drugiej czajnik. Spojrzał na Jenny i zamarł.

– Do licha – odezwał się wyraźnie speszony. –  
Nie wiem, co w takiej sytuacji powiedzieć.

Jenny pociągnęła nosem.

– Nie odszedłeś?

Popatrzył na nią jak na osobę niespełna rozumu.

– Mała poprawka: wyszedłem. Byłem głodny,  
a nie znalazłem niczego do jedzenia. Kupiłem  
chleb, trochę sera i pomarańcze. – Położył paczkę  
na stole. – Czekaj. Czyżbyś myślała, że cię porzuciłem?  
Tak bez słowa? Sądziłaś, że mógłbym tak  
się zachować? – dopytywał się urażony.

Kiwnęła głową.

– Doprawdy, Jenny, dlaczego tak mnie oceniasz?

– Nie wiem – odparła. – Może dlatego, że kiedyś  
powiedziałeś, iż oczekujesz ode mnie jedynie  
udanego seksu.

– Ja tak powiedziałem? – W pierwszej chwili  
Gareth był wyraźnie zaskoczony, a potem zamyślił  
się. Najwyraźniej przypomniawszy sobie własne słowa,  
bo skrzywił się z niechęcią. – Jak mogłem? Nie  
rozumiem, jakim cudem zgodziłaś się choćby mnie  
dotknąć.

Z czajnika unosiła się para. Jenny przyglądała  
się, jak wlewał wrzątek do dzbanka.

– Sam sobie parzysz herbatę?

Odstawił czajnik.

– Nie jestem całkowicie niesamodzielny. Miesiącami  
żyłem w brazylijskich lasach deszczowych  
w bardzo niewielkiej grupie osób. Potrafię zapa-

rzyć całkiem przyzwoitą herbatę i kawę, a także ugotować owsiankę. – Machnął trzymaną w ręku ścierką. – Lubisz pomarańcze. Zaraz ci jedna obiorę.

– Skąd wiesz, że lubię pomarańcze?

– A z jakiego innego powodu mogłabyś mieć w torbie pomarańcze w dniu naszego pierwszego spotkania? No, chodź tu i weź się do jedzenia.

Poczujesz się lepiej.

Jenny sięgnęła po pomarańczę.

– Łzy są irracjonalne – orzekł Gareth. – Nie musisz się obawiać, że zostawię cię ze srebrną bransoletką. Ja poważnie podchodzę do swoich zobowiązań – dodał i podał jej kawałek sera.

Jenny pokręciła głową.

– Chyba nie sądzisz, że pieniądze stanowią dla mnie jakiś zasadniczy problem. Dlaczego więc nie miałbym...

– Nie dasz mi pieniędzy, ponieważ ci na to nie pozwolę. Mam dość własnych. Zaoszczędziłam pewną kwotę. Nie chcę, żebyś traktował mnie jak zobowiązanie. Myślisz, że oczekuję, iż będziesz wypłacał mi pensję?

– Dlaczego nie? Większość kobiet by tego chciała.

Jenny znowu pokręciła przecząco głową, po czym zalała się łzami.

Gareth patrzył na nią z przerażeniem.

– Co takiego powiedziałem? To bez sensu! – zawołał.

– Przecież jesteś inteligentną kobietą. Fakt, że mężczyzna zaoferował ci niewielkie wsparcie finansowe, to nie powód do płaczu.

Apel do jej rozsądku nie odniósł skutku.  
Jenny nie mogła zaakceptować takiej propozycji.  
W dzieciństwie korzystała z pieniędzy obcego,  
najwyraźniej pozbawionego cieplejszych uczuć  
człowieka, który powierzył opiekę nad nią zimnym,  
obojętnym kobietom. Nie mogła się zgodzić  
na finansową rekompensatę za zerwanie związków  
uczuciowych. Została madame Esmereldą,  
ponieważ nie chciała mieć pana i władcy. Niech ją  
licho, jeśli zgodzi się na zależność od drugiego  
człowieka!

– Posłuchaj, Jenny – tłumaczył Gareth. – Będę...  
będę ci pomagał finansowo i... od czasu do  
czasu przysyłał kosz owoców.

Nieoczekiwanie Jenny parsknęła śmiechem.

– Przyznaj, Gareth, czy można być bardziej  
bezradnym niż ty?

– Bezradnym? – Zmarszczył czoło. – Wcale nie  
jestem bezradny, tylko nie wiem, co powiedzieć.  
Jeśli nie wyjaśnisz mi, o co chodzi, nie będę  
w stanie rozwiązać problemu.

– Gdybyś mógł rozwiązać ten problem, to  
przecież nie płakałabym, prawda?

– To co, do diabła, mam zrobić z problemem,  
którego rozwiązanie nie leży w mojej mocy?  
Gdyby znała odpowiedź na to pytanie! Nie  
miała domu, do którego mogłaby wrócić, ani  
przeszłości, do której mogła się odwołać.

– Chyba byłoby dobrze, gdybyś podszedł do  
mnie – powiedziała.

Gareth przysunął krzesło do łóżka i usiadł, wyraźnie skrepowany.

– Tak dobrze?

Kiwnęła głową.

– Możesz mnie objąć.

– Tak dobrze?

Odprężyła się w jego ramionach.

– Prawie dobrze. Mocniej, właśnie tak.

– To nie jest racjonalny sposób rozwiązywania problemów – zauważył Gareth.

– Cicho. Czasami słowa są niepotrzebne, wystarczy dotknięcie.

– Jak w zamkniętym obiegu elektrycznym?

Jenny obilo się coś o uszy na temat najnowszych teorii o przepływie energii, ale niewiele mogła na ten temat powiedzieć, więc zachowała milczenie.

Dopiero po dłuższej chwili się odezwała.

– Mogę potępić własne postępowanie, ale nie potrafię zmienić przeszłości. Odrzuciłam życie, które wydawało mi się monotonne i nie dawało żadnych szans na szczęśliwą odmianę losu. Wiem, że bogobojne niewiasty zatrzęsłyby się ze zgrozy, słysząc to stwierdzenie, ale naprawdę Pan Bóg nie obdarzał mnie dotychczas szczególnymi łaskami.

Czułam się tak, jakby zamknięto mnie w trumnie, a potem powiedziano, że jeśli będę w niej leżała spokojnie, to krzyki potępieńców będą znacznie cichsze. Obserwowałam otaczające mnie nauczycielki

– zimne kobiety, wiecznie w złym nastroju, pozbawione przyjaciół i rodziny. Nie mogłam

pójść w ich ślady. Miałam osiemnaście lat, Gareth.  
Nie wiem, co dalej ze mną będzie.

Pogładził włosy Jenny.

– Na razie... – Urwał i po namyśle podjął: – Na razie chciałbym, żebyś żyła ze mną.

– O to właśnie chodziło! Zdobyłeś się na gest pocieszenia, i to niesprowokowany przeze mnie. Szybko się uczysz.

W odpowiedzi Gareth przyciągnął bliżej Jenny.

W kilka godzin później Jenny wybrała się do banku. Pracowało trzech kasjerów, z których żaden nie był panem Sevinem, co odnotowała z ulgą.

Podeszła do tego, u którego kiedyś dokonywała wpłaty. Powitał ją uprzejmie, z czego wywnioskowała, że pan Sevin nie podzielił się z kolegami informacjami o niej.

– Może mógłby mi pan pomóc – zwróciła się do niego Jenny. – Chyba gdzieś... hm... zapodziałam książeczkę czekową. Chciałam wypłacić pieniądze.

– Naturalnie – odparł kasjer. – Poznaję panią.

Czy ma pani swój numer bankowy?

Jenny podała mu świstek papieru. Przebiegł go wzrokiem i zniknął w pomieszczeniu na zapleczu.

Wrócił z plikiem dokumentów. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– Madame Esmerelda, prawda?

Jenny zadała sobie w duchu pytanie, czy wdawać się w tłumaczenia. Zdecydowała, że nie

byłoby to rozsądne. Ostatnia wizyta w banku nauczyła ją, że lepiej nie przyznawać się, iż to fałszywe nazwisko, dopóki nie dostanie pieniędzy do ręki.

– Tak.

– To dziwne. Zazwyczaj nie otwieramy rachunków na tak niskie kwoty.

Jenny westchnęła. Słyszała już to stwierdzenie.

– Wiem. Kiedy otwierałam konto... – Urwała.

Wolała nie zdradzać udziału pana Sevina, bo gdyby kasjer postanowił porozumieć się z kolegą, to nie wiadomo, jak cała sprawa by się zakończyła.

– Gdy otwierałam konto, zrobiono dla mnie wyjątek – zakończyła.

Kasjer machnął ręką.

– Tak, naturalnie. Czasami robimy wyjątki.

Teoretycznie nie mamy prawa, ale cóż... Nigdzie nie chcą otwierać konta osobom z tak niewielkim majątkiem. Przechowywanie małych sum nie przynosi bankowi profitów.

W głowie Jenny zrodziło się podejrzenie. Kasjerzy nie należeli do bogaczy. Nie mówiliby z lekceważeniem o dwunastu czy trzynastu funtach, które udawało jej się co roku zaoszczędzić.

– Jaka suma znajduje się na koncie? – zapytała.

– Nieco ponad jeden funt – odparł kasjer. –

Kilka dni temu dokonano wypłaty. Chce pani zajrzeć do rejestru?

Jenny zachwiała się i złapała się brzegu kontuaru, żeby utrzymać równowagę. Dopóki wierzy-



ła, że jej pieniądze spoczywają bezpiecznie w banku, choć chwilowo nie ma do nich dostępu, dopóty czuła się bezpiecznie. Przez dwanaście lat odejmowała sobie od ust, żeby zabezpieczyć się na przyszłość. Dzięki temu mogła bez obaw zrzucić z siebie kostium madame Esmereldy, wyrzekając się przyszłych dochodów.

– Jest coś dziwnego w tym ostatnim zapisie – zauważył kasjer. – Ten, kto realizuje znaczną wypłatę, zazwyczaj notuje nominały, na przykład pięć monet jednofuntowych, ileś tam szylingów i ileś pensów. Ale ten, kto dokonał ostatniej transakcji, wpisał po prostu trzydzieści szylingów. Ciekawe dlaczego?

Pan Sevin nie tylko ogołocił rachunek Jenny, ale zostawił jej jeszcze wiadomość. Mało subtelne, ale nie musiał szczególnie się starać dla kogoś, komu kradł czterysta funtów. Tylko które z nich, zdaniem pana Sevina, było oszustem, a które oszukanym?

Kasjer wpatrywał się w Jenny z dziwnym wyrazem twarzy.

– Może byłoby prościej, gdybym po prostu zlikwidowała konto? – zapytała.

Kiwnął głową i zaczął odliczać monety. Jenny zamknęła oczy. Cały jej majątek wynosił teraz trzy funty i trochę drobnych. Nie wystarczy na czynsz za kwartał. Za mało na wniesienie skargi do magistratu. A nawet gdyby to zrobiła, to stałaby na z góry straconej pozycji. Żaden rozsądny urzędnik

nie wszcząłby dochodzenia po wysłuchaniu jej opowieści. Przecież jedynym dowodem na to, że padła ofiarą perfidnego oszustwa, był leżący przed nią plik dokumentów na nazwisko madame Esmereldy z fałszywym podpisem Jenny.

Pomyślała, że nie pozwoli, by ogarnęła ją panika. Strach paraliżuje, jest złym doradcą. Posiada przecież pewien majątek, który może spieniężyć. Wystarczy na kilka miesięcy. A potem... da sobie radę.

– Proszę tutaj podpisać. – Kasjer podsunął jej dokument.

Jenny podpisała i wzięła garstkę monet, zamiast czterystu funtów.

Nedowi udało się nie zemdleć, kiedy służący myli go i ubierali. Siedział nieruchomo, gdy lokaj mydlił mu twarz i szyję, a potem ostrą brzytwą golił zarost, by młody pan mógł stanąć przed księciem i jego córką.

Następna czynność nie była trudna: tkwienie w salonie w towarzystwie matki i kamiennych posągów. Pani Carhart mówiła górnolotnie o obowiązkach Neda i jego przyszłości, i nawet pragnął jej wysłuchać, bo przecież chciała dobrze. Niestety, niewiele docierało do jego otępiełego mózgu.

Ned nie miał nic do roboty, wystarczyło czekać, aż Blakely przyjedzie po niego i zabierze go do imponującego kamiennego gmazyska, w którym mieszkał książę Ware. Markiz zajmie się wszystkim. Jednak Ned nie poczekał na kuzyna. Wstał

nagle, a pani Carhart wyciągnęła rękę, aby go zatrzymać, ale minął ją i jakwtransie opuścił salon, po czym zszedł po schodach na ulicę. Przeszedł na drugą stronę, nie próbując nawet omijać płynącego rynsztokami końskiego łajna. Natychmiast przesiąkł smrodem siana i stajni.

Minęła siódma, a nikt nie wiedział, gdzie się podział Ned. Ani Blakely, który zapewne przeproszał właśnie za jego nieobecność księcia i lady Kathleen. Ani kamerdyner, który bez słowa otworzył przed nim drzwi. Ani nawet matka, która odprowadzała go spojrzeniem pełnych bólu oczu, kiedy opuszczał salon.

Jedyną osobą, która wiedziała, gdzie w tym momencie znajdował się Ned, był on sam. Nawet on nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego po latach skierował kroki właśnie na tę ulicę i skręcił na tym właśnie rogu.

Z zewnątrz jaskinia hazardu nie różniła się od pozostałych słabo oświetlonych domów. Zarówno dom uciech po prawej, jak i palarnia opium po lewej stronie zostały wzniesione z takiego samego, pokrytego teraz węglowym pyłem kamienia, a ich okna były równie brudne. Minęły dwa lata od czasu, gdy Ned bywał w tej okolicy.

Teraz tamte dni wydawały mu się bardzo odległe. Wydarzenia sprzed dwóch lat, kiedy był poważnie zagrożony wydaleniem z Cambridge i równie poważnie zagrożony zmarnowaniem własnego

życia, zachowały się w jego wspomnieniach nieostre i zamglone.

Co różniło Neda od tamtego porywczego chłopaka?

Odpowiedzialność? W żadnym wypadku! Ned powierzył dwa lata swego życia szarlatance, oszustce, którą jego kuzyn przejrzał w mgnieniu oka. A krzywda, jaką wyrządził lady Kathleen, była nie do przyjęcia nawet dla osoby o tak elastycznym podejściu do honoru jak madame Esmerelda.

Doświadczenie? Doświadczenie idioty!

– Carhart?

Ned odwrócił się gwałtownie, gdy czyjaś ręka poklepała go po plecach – częściowo na skutek zaskoczenia, a częściowo, żeby odsunąć się od człowieka, który dotykał go w tak familiarny sposób.

Rysy twarzy mężczyzny wydały mu się znajome. Ned musiał tylko dodać dwadzieścia funtów do postaci, która utrwaliła się w jego pamięci, by rozpoznać dawnego kompana. Czerwonawe światło latarni wydobyło z mroku tłuste policzki, ale to akurat nie uległo zmianie.

– Ellison – mruknął Ned.

Niegdysiejszy przyjaciel uśmiechnął się od ucha do ucha i zionął odorem przetrawionego dżinu. Ellison zawsze nadużywał mocnych alkoholi, aby wzmocnić słabą wolę.

– Kopę lat! – zawołał.

Ned skrzywił się i odsunął nieco, by nie ryzykować kolejnych poufałości.

Ellison musiał się więc zadowolić dźganiem go palcem w pierś.

– Myślałem, że sporządniałeś.

– Nic z tego. Przez pewien czas udawałem, ale nie nadaję się na przyzwoitego człowieka.

Jeżeli miał jeszcze jakieś szanse, to sam je przekreślił dzisiejszym zniknięciem. Przed oczami Neda pojawiła się nagle sylwetka lady Kathleen, a za nią postać jej ojca. Zaciekawiał się, czy w głębi duszy dziewczyna nie była przypadkiem zadowolona, że się nie pokazał. Miała do wyboru kompromitację albo małżeństwo z kimś takim jak on.

Wydałamusię inteligentna. Po tym, czego się o nim dowiedziała, zapewne wołała kompromitację.

Głośny śmiech Ellisona wyrwał Neda z ponurego zamyślenia. Ellison był ostatnim człowiekiem, którego Ned chciałby spotkaćw takiej chwili. Może właśnie dlatego uśmiechnął się z przymusem, kiedy grubas znowu klepnął go w plecy i zapytał:

– A może weszlibyśmy razem do środka? –

Wskazał jaskinię hazardu. – Stawiasz, co? Mają tam dobrą brandy.

Ned przekonał się przed laty, że brandy w niczym nie pomagała. Potęgowała tylko wszystkie doznania, więc jeśli zasiadał do picia w stanie apatii, jego nuda narastała do niebezpiecznych rozmiarów. Ale nic go to teraz nie obchodziło.

## **Rozdział szesnasty**

Godzinę zajęło markizowi złagodzenie, ale nie uśmierzenie, furii księcia Ware'a, spowodowanej całkowitym zlekceważeniem go przez Neda, nawet bez próby usprawiedliwienia nieobecności.

W ciągu następnej godziny oderwał White'a – nie bez wyrzutów sumienia – od rodzinnego obiadu i rozesłał pachółków po zakazanych spelunkach Londynu. Minęła jednak jedenasta, zanim wreszcie otrzymał pierwszą wiadomość o kuzynie.

Wraz z wybiciem północy wkroczył do zatłoczonej sali, pełnej duszącego dymu cygar i stukotu kostek do gry. Miał cichą nadzieję, że informacja okaże się fałszywa, ale w kącie dostrzegł Neda. Niepoprawny młodzieniec upijał się i uprawiał hazard w zakazanej spelunce, podczas gdy powinien dyskutować z księciem Ware'em o swej przyszłości.

Markiz był tak zawiedziony postępowaniem Neda, że nawet się nie rozgniewał. Podszedł do stolika, sztywny jakby kij połknął. Kompani Neda rozwalili się na krzesłach, a ich kończyny sprawiały wrażenie powyginanych pod dziwnymi kątami. Jeden z typków, ciemnowłosa mężczyzna o czerwonej twarzy, zarzucił fular na szyję siedzącej obok kobiety o monstrualnie wielkim biuście. Na brzegu stolika stały lepkie, powyszczerbiane kubki.

– Co mamy w puli? – Puciołowaty jegomość kończył rozdawać.

Ned bez zainteresowania rzucił okiem na swoje karty.

– Do licha, nie mam pojęcia. Czy to ważne?

– Dwa tysiące – wybełkotał któryś z graczy.

– Proponuję coś lepszego! – Mężczyzna w rozluźnionym czarnym fularze pogrzebał w kieszeni i wyciągnął jakiś papier. – Prywatną menażerię.

Wygrałem ją poprzedniej nocy. Parę lwów, jak mi się zdaje, i stadko pasiastych koni zwanych zebrami, a także słoń prosto z Afryki.

– Ned – odezwał się Blakely.

Młodzian nie zareagował, natomiast jego kompani unieśli głowy i wymienili spojrzenia.

– Ned – powtórzył Gareth, tym razem głośniejszym głosem.

Kuzyn najwyraźniej usłyszał, bo przekrzywił głowę na bok, ale zamiast odpowiedzieć, sięgnął po karty i rozłożył je w rękę. Rzucił na stół dwójkę karo, bo przyszła akurat jego kolej.

– Ned – rzucił zniecierpliwiony markiz. – Po

zakończeniu tej gry musisz ze mną wyjść. Istnieje jeszcze szansa załatwienia twojej sprawy.

Ned ziewnął głośno, zakrywając ręką usta. Jego kumple zachichotali nerwowo pod osłoną kart, trochę zaniepokojeni, lecz Ned nawet nie podniósł wzroku. Wyłożył trójkę trefl.

– Zastanów się, co robisz! – zdenerwował się markiz. – Od dwóch dni nie wstawałeś z łóżka, a akurat wtedy, kiedy cię potrzebowałem, wyszedłeś z domu. Przecież nie wybrałem się do księcia we własnej sprawie. Był wściekły. Zresztą, trudno mu się dziwić.

Ned rzucił ostatnią kartę – dziewiątkę karo. Piki były atutem, więc znowu przegrał.

– Zagraj jeszcze raz, Carhart. – Czerwonolicy klepnął Neda w ramię.

Młodzieniec zamknął oczy i, co najdziwniejsze, uśmiechnął się. Markiz niczego nie rozumiał. Zachowanie kuzyna nie miało najmniejszego sensu.

Położył mu rękę na ramieniu. Ned nie tyle stracił jego rękę – bo to wymagałoby większego wysiłku – ile opuścił ramię i dłoń Garetha zsunęła się bezwładnie.

Gareth zacisnął pięści w poczuciu bezsilności.

„Popychasz, szturchasz i dźgasz. Poważnych problemów nie da się rozwiązać takimi metodami” –

powiedziała kiedyś Jenny. Wtedy nie przejął się jej słowami. Teraz w pełni pojął ich słuszność. Bolesnie ścisnęłomu się serce na widok poszarzałego na twarzy, apatycznego kuzyna.



Ned odchylił głowę, żeby spojrzeć markizowi w oczy.

– Jeszcze tu jesteś? – spytał. – Nie boję się ciebie. Co mi możesz zrobić? Zniszczyć moje życie bardziej, niż uczyniłem to sam?

W tym momencie Gareth przypomniał sobie, że w wieku dwudziestu jeden lat odczuwał to samo, co teraz Ned. Wydawało mu się, że jego życie legło w gruzach. Zerwał wszelkie kontakty z elitami Londynu i wmawiał sobie, że już mu na niczym nie zależy.

Teraz zależało mu na uratowaniu młodego, niedoświadczonego, błędzącego Neda. Z poczucia bezsilności ogarnęła go złość na siebie i otaczającą rzeczywistość. Wybiegł z sali. Liczył na to, że świeże powietrze, wolne od dymu cygar i oparów alkoholu, rozjaśni mu w głowie. A może po prostu uciekł od problemu, którego nie potrafił rozwiązać? Ruszył piechotą, tylko stopy zdawały się posłuszne jego woli.

Minęło trochę czasu, zanim uświadomił sobie, że to nie panująca w speluncie duchota tak go otumaniła. Z racjonalnego punktu widzenia było dla niego jasne, jak powinien zachować się w zaistniałej sytuacji. Po prostu umyć ręce i pozostawić kuzyna własnemu losowi oraz ewentualnie znaleźć sposób, by uchronić jego majątek. Stan ducha, w jakim markiz się znalazł, wziął się stąd, że dopuścił do głosu emocje.

Czy naprawdę minęły zaledwie tygodnie, od-

kąd po raz pierwszy pocałował Jenny? Czemu nie zostawił jej w spokoju? Dlaczego nie pozwolił, by trwał ten dziwny związek łączący ją z Nedeem? Musiał udowodnić, że ma rację, i narzucić im swoje zdanie. Udowodnił, że madame Esmerelda to oszustka. I do czego doprowadził?

Do licha! Jenny miała rację tamtego dnia, kiedy wypaliła mu prawdę w pracowni modniarki. On rzeczywiście nie wiedział, na jakim świecie żyje. Zniszczył Neda, tak jak zapowiedziała.

Gareth zacisnął pięści. Naprawię to, co zburzyłem, przysiągł sobie. Przecież jest markizem Blakelym. Niech jego władza i rozległe możliwości wreszcie na coś się przydadzą!

Poranek nie zaczął się dla Jenny radośnie.

– Nie mam pieniędzy – wypowiedziała te zniechęcone słowa, bardzo skrepowana.

Na pomarszczonej twarzy gospodarza domu pojawił się wyraz niezadowolenia.

– Co to znaczy, że pani ich nie ma? Zawsze płaciła pani czynsz w terminie.

Rzeczywiście, płaciła czynsz regularnie, ale była madame Esmereldą, która szczyciła się hojną klientelą i rosnącym kontem w banku. Jednak madame Esmerelda odeszła w niebyt, ustępując miejsca Jenny Keeble, której cały majątek to trzy funty, podczas gdy czynsz wynosił znacznie więcej. Nawet gdyby zdobyła pieniądze i zapłaciła gospodarzowi, z czego by żyła? Dach nad głową

był bardzo ważny, ale musiała również coś jeść. Rola madame Esmereldy wymagała przestrzeni, dużego pokoju oddzielonego od części mieszkalnej. Teraz nie potrzebowała takiego mieszkania i nie mogła sobie na nie pozwolić. Jeśli nawet zostanie w Londynie, powinna rozejrzeć się za tańszym lokum. Jenny poczuła dławienie w gardle z powodu tego „jeśli”.

– A gdybym zapłaciła panu za tydzień? – zapytała. Za wszelką cenę próbowała odsunąć w czasie ostateczną decyzję.

– Nie wynajmuję na tydzień. To dla mnie żaden interes, bo tacy lokatorzy tylko niszczą ściany.

– Mieszkam tu od dwunastu lat!

– Co to za życie, nachodzić ludzi, żeby ściągać pieniądze od dłużników.

– Zapłacę panu funta za tydzień – zaproponowała Jenny.

– Funta – powtórzył z namysłem. Poruszał bezgłośnie ustami, jakby obliczał, ile gotowa była przepłacić. – Dobrze, ale w przyszłym tygodniu zapłaci pani za cały kwartał. Tym razem zrobię wyjątek, bo znamy się od dawna.

Uścisnął jej rękę i wziął pieniądze.

Jenny zamknęła drzwi i poszła do pokoiku na zapleczu. Otworzyła szufladę komody. Leżała w niej owinięta w papier suknia w czerwono-kremowe pasy, którą Gareth jej kupił. Przesunęła palcami po gładkim jedwabiu. To była najpiękniej-

sza rzecz, jaką kiedykolwiek posiadała. Ile mogła za nią dostać? Dziesięć funtów? Piętnaście? Nie znała cen luksusowych kreacji.

Piętnaście funtów. Zdołałaby przeżyć za tę sumę ponad rok, gdyby przeniosła się do domu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia. Nie byłoby to ani przyjemne, ani wygodne. Markiz Blakely z trudem tolerował jej obecne lokum, choć było czyste i przytulne. Dom z pokojami do wynajęcia, nawiedzany przez karaluchy, był dla niego nie do zaakceptowania.

Nie. Piętnaście funtów, jakie Jenny mogła otrzymać za suknię, to jedynie tymczasowe rozwiązanie.

Opłaci za nie kwartalny czynsz za obecne mieszkanie i kupi sobie trochę czasu potrzebnego na dokładniejsze zbadanie, co się stało z jej depozytem bankowym, i sprawdzenie, czy istnieje szansa odzyskania oszczędności. Będzie mogła zastanowić się nad wszystkim spokojnie, bez pośpiechu. Znajdzie jakąś posadę, nie ma powodu do paniki. Za piętnaście funtów zdoła przetrwać trzy nadchodzące miesiące. Więcej nie mogła oczekiwać. Powinno jej nawet zostać parę szylingów na wyjazd z Londynu, gdyby jednak postanowiła się wyprowadzić.

Upływały cztery dni z cennego tygodnia. Wędrowała po mieście, wertowała ogłoszenia, poszukiwała szansy na przyszłość. Snuła też nierozsądne marzenia, ale nie zdołała znaleźć odpowie-

dzi na nurtujące ją pytanie: Jak pozostać kochanką Garetha, nie przyjmując statusu utrzymanki? Pytanie to znalazło wreszcie odpowiedź czwartego wieczoru. Gareth przyszedł do niej – jak zawsze – kiedy zachodzące słońce zalewało ulice czerwonym blaskiem. Miał na sobie eleganckie ubranie: czarne spodnie i surdut, wykrochmaloną białą koszulę i kamizelkę w żółte pasy oraz jedwabny fular.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała.

– Nie. Zostaję tutaj.

– Zamierzasz wysłuchać tu opery?

– Zobaczymy. Zamknij oczy.

Opuściła powieki i uniosła głowę w oczekiwaniu na pocałunek, do którego jednak nie doszło.

Poczuła na szyi ręce Garetha, a potem ciężar czegoś zimnego na obojczykach. Podniosła do oczu sznur ciężkich kamieni. Wielkie szafiry, grubości jej kciuka, były połączone ze sobą skomplikowanymi złotymi elementami. Środkowy, największy kamień jarzył się głębokim, ciemnym błękitem. Naszyjnik musiał kosztować tysiące funtów, a ciążył jej tak, jakby ważył tysiące funtów.

Wymacała zameczek na karku, ale nie zdołała go odpiąć.

– Zdejmij to ze mnie – poprosiła.

– Nie podoba ci się. – Gareth zrobił taką minę, jakby spodziewał się wyśmienitego wina, a poczuł w ustach ocet.

– Oczywiście, że mi się podoba. Jest piękny.

Wycięcie sukienki było wystrzępione. Na tle spranego, zszarzałego kretonu drogocenne kamienie wydawały się wyjątkowo niestosowne. Wreszcie udało jej się rozpiąć naszyjnik. Wsunęła go do kieszeni surduta Garetha.

– Podobają mi się, ale... nie...

– Co nie?

Jak mu to wyjaśnić?

– Nie płąć mi – wyszeptała. Obiecała sobie, że nie będzie niczyją utrzymanką, także i tego mężczyzny.

– To nie pieniądze, tylko biżuteria, którą daję ci w prezencie. Przecież takie postępowanie jest ogólnie przyjęte w naszej sytuacji, prawda?

– Co za sytuację masz na myśli? Nie chcę od ciebie żadnych rzeczy.

– Do licha! Znowu źle! Wiedziałem, że powinienem najpierw zapytać White'a. – Gareth przeproszającym wzrokiem popatrzył na Jenny. – Nie

mogę ci dawać mebli. Nie mogę kupować biżuterii.

W takim razie powiedz, co wolno ci ofiarować?

Gdybym przyjęła naszyjnik lub inne podarki czy pieniądze, rozmyślała Jenny, Gareth znalazłby się w pozycji dominującej. Na co wówczas mogłaby liczyć? – zadała sobiewduchu pytanie. Tylko na to, że nie przestałby jej pragnąć i że ona sama zdołałaby zachować szacunek dla samej siebie.

– Czego ty chcesz, Jenny? – Gareth przerwał milczenie.

Zajrzał jej w oczy i nagle zrozumiała, że nie chodziło jej o związek kobiety i mężczyzny pobłogosławiony przez Kościół podczas uroczystej ceremonii, o tym nie śmiała nawet marzyć. Pragnęła trwałego związku na dobre i na złe. Takiego, w którym prezenty są dawane ze szczerego serca i nie pełnią roli kajdan, nie rzucają jednej ze stron na kolana, nie są symbolem uzależnienia.

– Z pewnością nie chcę takiego układu, w którym kupujesz mój czas klejnotami.

– A istnieje inny rodzaj? – zapytał spokojnie.

– Istnieje taki, w którym... – zaczęła Jenny, ale urwała.

Gdyby dzieląca ich przepaść mogła zniknąć...

Perspektywa uzależnienia od Garetha budziła jej głęboki sprzeciw, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że w przyszłości Blakely ją opuści. Tak oto

Jenny uzyskała odpowiedź na nurtujące ją pytanie:

Jak pozostać kochanką Garetha, nie przyjmując statusu jego utrzymanki? To nie do pogodzenia.

Pozostała jej niepewność, czy ich romans potrwa jeszcze trzy miesiące, czy zaledwie trzy dni.

Został przerwany w połowie następnego dnia.

– Madame Esmerelda?

Jenny podniosła wzrok. Wiosenne słońce wlewało się do pokoju przez uchylone drzwi. W smudze światła tańczyły drobinki kurzu. Włosy stojącej przed nią kobiety rozświetlał słoneczny blask.

Jenny poznała ją.

– Dama z Piórami! – zawołała Jenny i stropiła się. – Przepraszam, panna Edmonton, prawda? Co panią tutaj sprowadza?

Siostra Garetha miała na sobie elegancką suknię spacerową w biało-czarne pasy, z białymi, wykrochmalonymi mankietami i kołnierzem. W rękach obciążniętych białymi rękawiczkami ścisnęła torebkę nazywaną paciorkami.

– Muszę panią o coś zapytać.

Jenny wyobraziła sobie, jak zareagowałby Gareth, gdyby zastał siostrę zatopioną w rozmowie ze swoją kochanką.

– Panno Edmonton – powiedziała Jenny – muszę wyznać, że wbrew zapewnieniom Neda nie jestem wróżką.

Panna Edmonton zakryła dłonią usta, tym gestem wyrażając swą konsternację.

– Nazywam się Jenny Keeble – brnęła odważnie Jenny.

– Ja nie... Szczerze mówiąc, nie mam z kim porozmawiać, a rozpaczliwie potrzebuję rady – wyznała Laura.

– Nikogo? – Jenny przebiegła szybko w myślach nieliczne informacje o rodzinie Garetha. Matka nie żyła, podobnie autokratyczny dziadek.

Ojciec panny Edmonton nie umarł, ale ze słów Garetha wynikało, że nie odznaczał się zbyt dużą inteligencją. – Z pewnością brat... albo ojciec...

Każdy byłby lepszy niż ja.

Siostra Garetha pokręciła przecząco głową.



– Madame... to znaczy... pani Keeble, to problem kobiety. Nie mogę rozmawiać o tym z bratem. Za parę miesięcy wychodzę za mąż. Odbyłam na ten temat rozmowę z... no, z ciotką Edmonton.

– Na ten temat?

– Tak, pani Keeble. Na ten temat.

– Muszę wyjaśnić, że jestem panną, a nie panią Keeble.

Panna Edmonton skrzywiła się.

– A niech to! Miałam nadzieję, że przynajmniej informacja o pani wdowieństwie okaże się prawdziwa. Zatem pani również nie wie, co się dzieje w noc po...

– Prawdę mówiąc, wiem – przerwała jej Jenny.

– Właśnie z tego powodu powinna pani porozmawiać z kim innym.

Jaskrawy rumieniec wypłynął na policzki panny Edmonton. Jenny spodziewała się, że dziewczyna okręci się na pięcie i umknie, a tymczasem Laura stwierdziła:

– To świetnie! Potrzebuję kogoś, kto nie przejmuje się względami przyzwoitości. Odpowie pani na moje pytania?

Jenny wyobraziła sobie, jak zachowałby się Gareth, gdyby zastał u niej siostrę zadającą nieprzyzwoite pytania. Wpadłby w furię, to oczywiste.

Panna z dobrego domu nie powinna przebywać w towarzystwie kobiety takiej jak ona. W uszach Jenny znowu zabrzmiały szydercze głosy z dzieciństwa: „Ta Jenny Keeble nie zasługuje na zaufanie”.

Dotknęła ukrytego pod spódnicą woreczka. Po sprzedaży sukni trzy funty urosły do ponad szesnastu. Nadal nie miała pojęcia, czy zostały jej trzy miesiące, czy trzy dni. Gdyby Gareth dowiedział się o wizycie siostry, sprawa zostałaby rozwiązana w jednej chwili.

– To zależy – odparła Jenny. – Napije się pani ze mną herbaty?

Wdziesięć minut później siedziały przy kuchennym stole. Panna Edmonton przyglądała się z powagą, jak Jenny nalewa herbatę do filiżanek.

Potem sięgnęła po swoją i delikatnie, jak na damę przystało, wypila łyk naparu.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. To takie okropne, że boję się o tym mówić.

– Nonsens! – rzuciła Jenny. – Co ciotka pani powiedziała?

Panna Edmonton znowu stanęła w pasach.

– Powiedziała, że mąż przyjdzie do sypialni, podciągnie mi nocną koszulę, a potem wedrze się we mnie. Uprzedziła, że to boli. Zasugerowała, że najlepiej leżeć bez ruchu i starać się myśleć o czym innym.

Jenny wpatrywała się w dziewczynę szeroko otwartymi oczami.

– Tak, wydaje mi się, że gdyby to robić w taki sposób, to naprawdę byłoby bolesne.

– Czy to znaczy, że istnieje inny sposób?

– Proszę sobie wyobrazić, że znajduje się pani na piętrze domu i chce pani znaleźć się na dole.

Czy wolałaby pani przeskoczyć przez poręcz, czy zejść po schodach?

– Zejść po schodach. Czy to znaczy, że mąż wcale nie musi wpychać się do środka?

– To jest nie do uniknięcia, lecz jeśli zrobi to powoli i zadba, aby była pani gotowa, po pierwszym razie już nie będzie bolało. Może nawet za pierwszym razem obejdzie się bez bólu.

Do mieszkania Jenny docierał gwar z ulicy. Był słyszalny nawet tu, w pokoiku na tyłach, bo zostawiła uchylone drzwi, aby wpuścić świeże powietrze.

– A... czy to, co on we mnie wepchnie, jest duże?

– Jeśli dopisze pani szczęście, to tak – odparła Jenny.

– I będzie mi to robił co noc? Czasem nawet więcej niż raz?

– Niewykluczone. To sprawy bardzo indywidualne, zależne od upodobań pani i męża. Niemal wszystko, o co mąż panią poprosi, może być przyjemne, jeśli darzy go pani cieplejszymi uczuciami i zaufaniem. Powinna się pani rozluźnić.

Przekona się pani, że stosunki małżeńskie będą w znakomitej większości miłe.

Zapadło dłuższe milczenie. Jenny zastanawiała się, o czym Laura rozmyśla.

– Czy to prawda – wyszeptała wreszcie panna Edmonton – że jeśli nie spełnię jego żądań, to mnie zbije?

– Nie! – rozległ się stanowczy głos. – Jeśli to zrobi, masz mi o tym powiedzieć.

Panna Edmonton pisnęła, a Jenny szeroko otworzyła oczy. Markiz stał w mrocznym korytarzyku łączącym pokoje. Kiedy wyłonił się z cienia, spostrzegła na jego twarzy grymas. Zapragnęła zamknąć oczy, żeby usunąć z pamięci tę surową twarz. Chyba nie mogła zrobić nic gorszego, niż rozmawiać z jego siostrą o pożyciu kobiety i mężczyzny. Gareth starannie unikał patrzenia jej w oczy.

– Chodź, Lauro – powiedział. – Dosyć tych pytań. Odwiozę cię do domu.

Jenny uznała, że skoro musi ją znienawidzić, to chociaż da mu do tego powód.

– Nie, Lauro! – zawołała. – Posłuchaj mnie. – Zniżyła głos, więc panna Edmonton musiała przysunąć się, żeby usłyszeć jej słowa. – Pamiętaj, że jednego błędu nie wolno ci popełnić: uznać, że jako kobieta musisz podporządkować się regułom ustalonym przez mężczyzn. Jeżeli dojdzie do tego, że mąż podniesie na ciebie rękę, to z pewnością nie będzie przy was nikogo, kto mógłby cię uratować. Jeżeli kiedyś przyjdzie taki moment, uratujesz się sama.

– Ale prawo stanowi...

– Do licha z prawem! Jeżeli wiesz, czego chcesz, znajdziesz sposób, by to osiągnąć. Z mężczyznami czy bez nich. Ani mąż, ani brat, ani...

– Jenny odważyła się zerknąć na Garetha, który

stał jak skamieniały – ... ani kochanek nie zdoła cię powstrzymać.

– Powiedziała mi pani, że nie potrafi przewidzieć przyszłości.

– Nie potrafię. – Jenny położyła rękę na ramieniu Laury. – Zmobilizowanie się do złożenia mi wizyty i zadania trudnych pytań wymagało determinacji i odwagi. A to znacznie więcej niż siła fizyczna. Proszę zawsze o tym pamiętać. Widzę przed sobą bardzo silną kobietę. I jeszcze jedno: mężczyźni zazwyczaj odchodzą.

Laura zarumieniła się aż po korzonki włosów.

– Nie wiem...

– Gdyby pani naprawdę znalazła się w tarapatach, zdoła pani sama się ocalić.

– Dość tego – rzucił Gareth. – Chodź, Lauro.

– Blakely – szepnęła panna Edmonton. –

Chciałam tylko...

– Możesz mi przedstawić swoje racje w drodze do domu – odparł ostrym tonem i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

## **Rozdział siedemnasty**

Gareth odwiózł siostrę wynajętą dorożką. Siedzenia kleiły się, wolał nawet nie domyślać się od czego. Wnętrze cuchnęło stęchlizną i kwasem. Rozłożył na kanapie swoją chusteczkę do nosa, żeby choć trochę uchronić Laurę przed brudem. Cieniutki, biały batyst wydał się w tym obrzydliwym otoczeniu wyjątkowo nie na miejscu. Laura była bardzo zdenerwowana.

– Blakely – odezwała się cicho. – Gniewasz się na mnie?

Gareth nie wiedział, co odpowiedzieć. Był wściekły przede wszystkim na siebie, ponieważ uświadomił sobie, że siostra została sama z obawami, które były naturalne u młodej kobiety, wychodzącej za mąż, a tym samym diametralnie zmieniającej życie. Wynegocjował umowę małżeńską i kazał sprawdzić narzeczonego. Poinformował

ją lakonicznie, że ten kandydat wydaje się do zaakceptowania, choć w głębi serca żywił pewne wątpliwości.

Spojrzał ze współczuciem na Laurę.

– Kiedy się urodziłaś, byłem w Harrow. Ferie spędzałem u dziadka, więc zobaczyłem cię po raz pierwszy, jak miałaś sześć miesięcy. Złapałaś mnie za włosy i uśmiechnęłaś się.

– Nie mam już sześciu miesięcy.

– Nie – przyznał Gareth – i nie ciagniesz mnie za włosy.

Zabrzmiało to dość chłodno nawet w jego uszach. Oparł się mocniej o poduszki.

– To nie jej wina! – Laura wystąpiła w obronie Jenny Keeble. – To ja nalegałam. Nie miałam z kim porozmawiać o pewnych sprawach, więc...

– Masz mnie – odezwał się Gareth. Z przykrością stwierdził, że nie potrafi odnieść się serdecznie do siostry.

Laura się nie odezwała. Milczenie przeciągało się i wtedy Gareth spostrzegł, że siostra ma łzy w oczach. Zaklął w duchu.

– Mam ciebie? – zapytała w końcu roztrzęsionym głosem. – Mnóstwo razy próbowałam się do ciebie zbliżyć, nawiązać z tobą autentyczny kontakt, ale mnie odtrącałeś. Rzucałeś jedną ze swoich ciętych uwag i czułam się głupio.

Gareth nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Kiedy matka urodziła Laurę, czas, jaki Gareth mógł spędzać z dziewczynką, skurczył się do marnych

kilku dni przerwy międzysemestralnej. Całe lato zajmowała mu nauka, jak stać się markizem Blakelym, godnym następcą dziadka. Kiedy się pojawiał w domu matki i ojczyma, Laura była uszczęśliwiona.

– A teraz pewnie zechcesz odwołać ślub – stwierdziła Laura, ocierając łzy.

– Jak mógłbym go odwołać? Przecież podpisałem kontrakt, zresztą, nie jestem twoim opiekunem prawnym, nie mam nad tobą władzy.

– Możesz przekonać ojca.

– Czy małżeństwo jest dla ciebie ważne?

– Wcale nie jest ważne, ale go kocham.

– Och. – Gareth spodziewał się usłyszeć całą litanię nieistotnych powodów, dla których nie można było przerwać przygotowań do ceremonii. Laura zaskoczyła go do tego stopnia, że mógł tylko jeszcze raz powtórzyć swoje nic nieznaczące: – Och.

– W tym właśnie problem. Ciebie też kocham.

I co z tego? Dla ciebie nigdy nie będę dość dobra.

Rozum podpowiadał Garethowi, żeby zachował milczenie i jak najszybciej odwiózł Laurę do domu, a potem zajął się swoimi sprawami. Doszedł jednak do wniosku, że najwyższa pora okazać siostrze autentyczne zainteresowanie i troskę.

Przewyciężył skrepowanie, przesiadł się na kanapę obok Laury i otoczył ją ramieniem.

Zaskoczona zeszywniała i już zamierzał się odsunąć, ale Laura zaraz wtuliła się w jego ramio-



na. Łkania stopniowo cichły i przeszły w czkawkę. Niespodziewanie dla siebie Gareth odnalazł potrzebne słowa.

– Uczyłem się, jak być godnym następcą dziadka, kolejnym markizem – powiedział – zamiast jak być bratem. Kocham cię, siostrzyczko, od chwili, gdy pierwszy raz szarpnęłaś mnie za włosy.

Laura gwałtownie wciągnęła powietrze i spojrzała mu w oczy.

– A teraz powiedz mi – poprosił – czy Alex odwzajemnia twoją miłość, czy jest kompletnym idiotą?

– On mnie kocha – odparła pewnym głosem

Laura. – Boję się, że po ślubie przestanie.

– Będzie cię kochał jeszcze bardziej. Uwierz mi.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Gareth nie znajdował słów, by ją rozweselić, więc leciutko uszczypnął ją w nos.

Laura zachichotała!

Gareth nie śmiał się już od bardzo dawna, dzięki Jenny zaczął się uśmiechać. Przypomniawszy sobie, co powiedziała: „Mężczyźni zazwyczaj odchodzą”.

Dlaczego ta uwaga Jenny tak go dotknęła? Ponieważ była celna. Stracił wiele lat z życia Laury, żeby wypełniać obowiązki markiza. Prawdopodobnie straci również Jenny. Trzymając teraz siostrę w objęciach, nie potrafił się identyfikować się z obowiązkami, jakie nakładało na niego urodzenie.

Zdumiało go to, ale i napełniło lękiem.

Jenny czekała z drżeniem serca. Minęła godzina, potem druga. Wyobrażała sobie ostrą reprimendę, jaka ją spotka ze strony Garetha. Przecież kategorycznie zabronił jej mieszania się w sprawy siostry. Jednak obawa przed reakcją Garetha i jej konsekwencjami stopniowo ustępowała miejsca trosce o przyszłość. W miarę topnienia stosu monet, miała coraz mniejszy wybór. Ukradziona jej przez pana Sevina suma wydałaby się zapewne Garethowi nader skromna, natomiast jej zapewniała względną niezależność.

W czasie, gdy wcielała się w postać wróżki, madame Esmerelda zdominowała Jenny i jej zachowanie. Kazała wsłuchiwać się w zwierzenia klientów, domyślać się, czego się obawiają i na co liczą, oraz udzielać im wsparcia, po które, między innymi, do niej przychodzili. Dla Jenny Keeble nie było miejsca.

Wystarczył jednak tydzień wolności od ograniczeń, jakie sama sobie narzuciła, by Jenny nabrała pewności, że nie chce więcej żyć tak jak poprzednio. Owszem, zabraknie jej pieniędzy, które zarabiała jako madame Esmerelda, ale będzie musiała zdobyć je inaczej. Nie zamierzała też błagać Garetha, by jej wybaczył i nie zostawił.

Stopniowo temperatura jej uczuć osiągnęła stan wrzenia. Jak on śmiał potraktować ją arogancko tylko dlatego, że rozmawiała z jego siostrą i powiedziała, iż jest silną kobietą? Jak śmiał budzić w Jenny poczucie niższości?

Siedziała jak na szpilkach, z drzeniem serca czekając na powrót Garetha i na ocenę swojego zachowania. Tak było od pierwszej wizyty. To on decydował, czy i kiedy do niej przyjdzie. Nie czekał na zaproszenie i oczywiście nie było nawet mowy o rewizytach.

Coś w niej pękło. Nie mogła nic zrobić w sprawie pana Sevina i ukradzionych jej pieniędzy. Nie mogła również pozostać w Londynie wtedy, gdy wyczerpie się skromna kwota, jaką dysponowała. Ale niech ją diabli porwą, jeśli dopuści, by ten stan braku równowagi trwał!

Włożyła trzewiki i wypadła z domu. Wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał spódnicę. Gniew nie ostygł nawet wtedy, gdy dotarła pod wielkie, szare gmaszysko, które Gareth nazywał domem. Zerknęła przelotnie na wejście dla służby i wysoko uniosła głowę, po czym zdecydowanym krokiem pomaszerowała do solidnych, podwójnych frontowych drzwi z czarnego drewna. Stała przed reprezentacyjnym wejściem od ulicy i zastukała mosiężną kołatką.

W progu stanął kamerdyner. Wyprostował się, jakby kij połknął i popatrzył lekceważąco na spłowiałą niebieską sukienkę Jenny.

– Powiedz markizowi Blakely’emu, że panna Keeble chce się z nim widzieć.

Kamerdyner podsunął jej srebrną tacę.

– Ma pani bilet wizytowy?

– Nie, ale ty masz głos. Powtórz mu.

– Przykro mi, panno Keeble. Pana nie ma w domu.

– Pan markiz zapewnił, że o tej porze będzie w domu.

– Zaraz wychodzi.

– Znakomicie. W takim razie zaczekam tutaj na niego.

Kamerdyner przyjrzał się jej zwięzonymi oczami.

– Wyjazd może ulec opóźnieniu nawet o dwie godziny.

Na ustach Jenny pojawił się kpiący uśmiezek.

– A nie będzie zły, że kazałeś mi aż tak długo czekać? Może powinieneś jednak porozumieć się z markizem?

Kamerdyner skrzywił się i zamknął drzwi. Może wzywał posiłki, by ją stąd wyrzucić? Albo poszedł spytać wielmożnego pana, co zrobić z tą irytującą kobietą, która stoi pod drzwiami i nie zamierza odejść?

Minęła najwyżej minuta i drzwi ponownie stanęły otworem.

– Pan markiz przyjmie panią, panno Keeble. – Tym razem w zachowaniu kamerdynera nie było śladu poprzedniego lekceważenia.

Gareth pozwolił jej wejść do swego domu. Nie była pewna, co to oznacza. Kamerdyner poprowadził ją korytarzem i otworzył drzwi gabinetu.

Gareth siedział przy biurku tyłem do wejścia i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Odwrócił się i uśmiechnął, a z Jenny wyparował cały gniew.

– Panna Keeble! – zawołał drugi mężczyzna, zanim jeszcze została dokonana prezentacja.

– Pan White?

Mężczyzna skłonił się. Po czym padła lakoniczna komenda:

– Wyjdź.

Pomimo niegrzecznej formy pan White z uśmiechem podniósł rękę do runda wyimaginowanego kapelusza i zniknął.

Rozpoczęcie rozmowy należało do Jenny, ale markiz wyřęczył ją i odezwał się pierwszy.

– Czy wiesz, jak czuje się człowiek, który dowiaduje się, że budzi lęk we własnej siostrze? – spytał Gareth spokojnie, tonem konwersacji.

Jenny potrząsnęła głową w milczeniu.

– Kiedy mama powtórnie wyszła za mąż, dziadek został moim opiekunem prawnym.

Trzymał mnie przy sobie w wiejskiej rezydencji albo tutaj, w Londynie. Nauczył mnie przede wszystkim nie okazywać emocji. A szczególnie zabraniał mi łez i śmiechu. Twierdził, że to oznaki słabości, które odziedziczyłem po matce.

Wyszła za mąż po śmierci mojego ojca tak szybko, jak to tylko możliwe, choć wiedziała, że oznaczało to pozostawienie mnie pod opieką dziadka. W końcu przestałem okazywać uczucia.

Dziadek nauczył mnie, jak być zimnym jak lód i ostrym jak skalpel.

– Wydaje mi się, że raczej nie polubiłabym twojego dziadka.

– To był skomplikowany człowiek.

Jenny obeszła biurko i zerknęła na rozłożone na blacie papiery. Były wypełnione kolumnami cyfr.

– Tym razem żadnych rysunków ptaszków? – zapytała.

– Minęło południe. O tej porze odkładam na bok wszystko, co mnie naprawdę interesuje, i poświęcam się wyłącznie interesom.

Jenny zajrzała pod stertę dokumentów, ale znalazła tylko kolejne liczby.

– A gdzie się podziały?

Gareth wysunął szufladę. Leżały w niej grube rulony papieru przewiązane zieloną tasiemką.

Wyjął je niemal z czcią i rozwiązał tasiemkę.

– Pracuję nad monografią. – Przerzucał stronicę wypełnione rysunkami, mapami i tekstem. –

Zastanawiałem się nad teorią Lamarcka... – Urwał, wyprostował się i położył dłonie na kartkach. – Po co o tym wspominam? – Zreflektował się. – Przecież ciebie Lamarck nie obchodzi.

– Ale ciebie obchodzi. Oto, na czym ci naprawdę zależy. – Jenny wysunęła kartki spod jego dłoni i zaczęła je przeglądać. Na samym końcu trafiła na stronicę pokrytą szkicami piórkiem.

– To samiec papugi ary – wyjaśnił Gareth. –

Chciałbym ci pokazać szkarłatne pióra na jego skrzydłach. W Anglii nie spotyka się tak intensywnych barw. A to samiczka, mniej kolorowa...

W pewnej chwili zamarł. Obrazek na następnej

stronie nie był szkicem papugi. Przedstawił madame Esmeraldę, ale został opatrzony podpisem. Narysował ją w tym samym stylu, w jakim szkicował ptaki – mocną, czarną kreską. Każdy rys twarzy został oddany prawidłowo. A jednak...

– Ja tak nie wyglądam – zaprotestowała. Kobieta na rysunku Garetha wydawała się istotą eteryczną.

– W moich oczach tak. – Wyjął jej z rąk kartki i ułożył je w równy stosik.

– Gareth.

Nie spojrzał na nią, tylko owinął zwinięte w rulon kartki tasiemką i mocno zawiązał ją na supeł.

– Mówiłem ci, że na tych stronach znajduje się wszystko, na czym mi naprawdę zależy.

– Gareth.

– Niektórzy ludzie sądzą – ciągnął, wpatrując się w blat biurka – że rola markiza polega na siedzeniu w Izbie Lordów i zgarnianiu krociowych kwot z opłat wnoszonych przez dzierżawców.

Uważają, że ten tytuł oznacza prawo wchodzenia do sali jadalnej przed lordami, ale po książętach. Kojarzą go z ceremoniami i dostatkiem jedzenia nawet w czasach głodu. I święcie wierzą, że markiz może przebierać w tłumie pięknych, gotowych na każde skinienie kobiet.

– A ty nie możesz?

– Wystarczy mi jedna piękna kobieta. W zamierzonej przeszłości w mojej rodzinie pojawił się

pierwszy lord, wyniesiony ponad tłum zwyczajnych zjadaczy chleba w nagrodę za zasługi wobec króla.

– Czym zasłużył się twój przodek?

– Pognębił Walińczyków. Tytuł to zaszczyt, a nie jednorazowa nagroda za służbę. To zobowiązanie, które przechodzi na pierworodnego syna, a potem jego syna i tak dalej. Przywiązuje kolejne pokolenia do ziemi i obarcza obowiązkami. Mój dziadek był surowy, ale miał ku temu powody. – Gareth schował rulon do szuflady i zamknął ją spokojnym, stanowczym ruchem. – Kiedy markiz bierze od kogoś funta za dzierżawę, to nie jest wyłącznie jego zysk, równocześnie przyjmuje na siebie zobowiązanie. Czasami te zobowiązania nie pozwalają mu w nocy zasnąć. Czy powinienem zbudować przędzalnię bawełny podobną do tych z Manchesteru? W ten sposób zapewnię ludziom zatrudnienie, a przecież gdyby moi poddani głodowali, to ja byłbym za to odpowiedzialny. Z drugiej jednak strony, muszę się liczyć z wypadkami, które w przędzalni są nieuniknione... Za nie również ja będę odpowiedzialny. Bardzo szybko zrozumiałem, dlaczego mój dziadek nie tolerował śmiechu. Życie markiza nie daje zbyt wielu powodów do radości.

– Nie musisz się zadrećzać – zauważyła Jenny.

– Setki innych lordów tego nie robią... W twoim życiu brakuje radości i życzliwości. Jak możesz to znieść?



Machnął ręką.

– Oszczędź mi litości. Gdybyś mogła posłuchać samej siebie! Biedny Gareth, udęczony tytułem markiza. Cierpienie nie jest równo rozdzielone pomiędzy mnie a dzierzawców.

– Zatrudnij zarządców majątków. Podziel się odpowiedzialnością.

Gareth rozłożył ręce.

– A komu mam zaufać? Urodziłem się do tych obowiązków. Nikt inny nie przeszedł treningu mojego dziadka. To jest moja powinność.

W tym tkwi problem, uznała Jenny. Wbito mu do głowy, że urodził się po to, by pełnić rolę markiza. Jenny z całego serca zapragnęła uwolnić go z tych okowów, jednak nie była w stanie. Mężczyzna, gotów poświęcić samego siebie w imię dźwignia brzemienia przyjętego przez przodków, nie zawaha się wziąć na siebie odpowiedzialności, nie będzie próbował się od niej uchylić.

– Jesteś inteligentna i rozumiesz, dlaczego o tym mówię – kontynuował Gareth i wziął Jenny za rękę. – Nie po to, żebyś się nade mną litowała, a dlatego, żebyś pojęła, czemu nie zamierzam powołać na świat synów z prawego łoża. Za nic nie obarczyłbym tytułem markiza kogoś, kogo kocham – dodał z mocą.

Wszystko, cownim najlepsze, pomyślała Jenny, zostało poświęcone na ołtarzu powinności markiza Blakely'ego. Ścisnęła jego rękę.

– A nie masz oporów wobec zrzucenia tego  
brzemienia na Neda?

W jej zamierzeniu to pytanie miało oderwać  
myśli Garetha od dręczących go trosk, ale on tylko  
pokręcił głową. Nie było to zaprzeczenie, a wyraz  
frustracji.

– Teraz wiesz – powiedział cicho – dlatego tak  
bardzo starałem się nie przywiązać się do tego  
chłopca. I dlatego kupię ci, co tylko zechcesz –  
dodał łagodnie i złożył na ustach Jenny czuły  
pocałunek.

Chciał, żeby z nim została, gotów był dać jej  
wiele, żeby ją zatrzymać. Tymczasem ona pragnęła  
móc szanować samą siebie, a było to nie do  
pogodzenia ze statusem utrzymanki.

Po wyjściu Jenny Gareth musiał wrócić do  
czekających go niezbyt miłych obowiązków. Przebrał  
się i z ciężkim sercem wyruszył po Neda.

Przekonanie księcia Ware'a, by wyznaczył kolejny  
termin spotkania, kosztowało go wiele wysiłku.

Poinformował o tym Neda ze szczególnym naciskiem.

Mijały kolejne dni, a plotki rozchodziły się  
w błyskawicznym tempie. Jeszcze tydzień zwłoki,  
a Ned narazi się na ostracyzm środowiska, od  
którego może nawet nie uwolnić się do końca  
życia. Lady Kathleen już stała się obiektem politowania,  
ale i wzgardy. Sytuacja obojga młodych  
była jednak ciągle jeszcze do naprawienia.

A raczej byłąby do naprawienia, gdyby nie

scena, którą Gareth miał właśnie przed oczami. Na szczęście Ned był ubrany, a także umyty i ogolony. Niestety, nie czekał na Garetha w salonie, jak mu polecono. Wsiadał do zamkniętego powozu, z wnętrza którego dobiegał głośny śmiech. Ten rodzaj śmiechu, zbyt donośnego i dość wulgarnego, był Garethowi doskonale znany. W Cambridge zawsze towarzyszył hałaśliwym rozmowomkolegówi oparomtaniego alkoholu. Nieodmiennie zwiastował irytującą stratę czasu, jaki Gareth chciał poświęcić na studia. Gareth dostał gęsiej skórki na samo wspomnienie tamtych okropnych chwil. Było jeszcze widno, a ci już byli pijani! – Zaczekaj! – zawołał, ruszając biegiem w stronę kuzyna.

Ned odwrócił głowę. Z tej odległości Gareth nie był w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy, ale nie miał wątpliwości, co oznaczał szybki ruch głową w stronę powozu. Nie zdziwił się, kiedy młodzieniec wskoczył do środka. Inny mężczyzna – bez kapelusza i w rozpiętym surducie, którego poły załopotwały na wietrze – wyjrzał na ulicę i zaraz schował głowę do środka.

Drzwiczki zatrzasnęły się.

– Do licha! – Gareth zastanawiał się, co robić. Podbiec i zatrzymać powóz? A może pozwolić Nedowi odjechać i opuścić drugie spotkanie z Ware'em? Zdążył jeszcze zauważyć kapelusz leżący na dachu powozu, po czym woźnica strzelił z bata i pojazd ruszył. Gareth puścił się biegiem.

– Czeka! Hej, ty tam!

Dogonił powóz, zanim konie zdążyły rozwinąć większą prędkość i uderzył pięścią w drzwiczki.

– Ty tam! Stój!

Powóz zwolnił i zatrzymał się. Ze środka dobiegł wybuch śmiechu, który sprawił, że Gareth zacisnął zęby. Nie znosił, kiedy się z niego śmiano.

– To będzie znakomite! – Jakiś głos przedarł się przez rechoty.

Drzwi zostały otwarte. W otworze pojawiła się czerwona twarz typa, z którym Ned grał w spelunce poprzedniego wieczoru.

– Czym mogę s-służyć? – Jegomość skłonił się i stracił równowagę. Złapał się klamki, żeby nie wypaść na ulicę. Zawiasy zaskrzypiały ostrzegawczo pod jego ciężarem, ale wytrzymały. Przez chwilę tłuścioch wisiał na drzwiach.

Gareth zajrzał do środka. Ned siedział wciśnięty pomiędzy dwóch mężczyzn, jeden z nich pociągał ze srebrnej flaszki. Potem podał ją Nedowi, który z niechęcią wypił łyk. Kompan przy drzwiach z wyraźnym trudem starał się stanąć na nogi.

– Zatrzymał nas pan z powodu kapelusza na dachu, prawda? – zapytał, jakby chciał zasugerować Garethowi odpowiedź.

Z niejasnych powodów zawarta w tym pytaniu sugestia wprowadziła obu zawianych jegomościów w znakomity humor.

– Kapelusz na dachu! – Rechotali, trzęsąc się ze śmiechu. – Kapelusz na dachu!

– Kapelusz na dachu. – Ned dołączył do nich, aczkolwiek niezbyt szczerze.

Gareth dosięgnął ręką runda kapelusza spoczywającego na dachu powozu.

– Nie. Chodzi mi o pana Carharta.

Pociągnął, żeby wrzucić nieszczęsne nakrycie głowy do wnętrza powozu, ale kapelusz nawet nie drgnął. Rondo wyslizgnęło się z palców Garetha, który stracił równowagę. Opoje z powozu nie przeoczyli tego, oczywiście.

– Och! – zawyli z uciechą. – Kapelusz na dachu!

– Co tu się dzieje? – spytał ostrym tonem Gareth. Ned nie mógł spojrzeć mu w oczy, ale trzymający się drzwi pijak familiarnym gestem dźgnął go palcem w pierś. Gareth spojrział z niechęcią na jego paluch.

– Kapelusz na dachu – starannie artykułował słowa, punktując każde z nich kolejnym stuknięciem palca – to gra. Rewelacyjna gra. Najwspanialsza gra dla brytyjskich dżentelmenów. Potrzeba do niej tylko kapelusza i powozu.

– I drobnych gwoździków! – zawołał jeden z pozostałych mężczyzn. – Nie zapominaj o gwoździkach. Gareth zdążył unieruchomić rękę jegomościa, zanim tamten ponownie dźgnął go palcem. Uczepiony drzwi mężczyzna rozpromienił się, jak to tylko kompletnie pijani potrafią.

– Przybija się gwoździem kapelusz do dachu

powozu. A potem się rusza i przyjmuje zakłady, ile czasu upłynie, zanim ktoś życzliwy zatrzyma pojazd, by poinformować, że zostawiliśmy na dachu kapelusz.

Mężczyzna poruszył trzymaną przez Garetha ręką. Spojrzał na nią i zmarszczył czoło, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że jego nadgarstek został unieruchomiony.

Gareth go puścił. Bardziej odrażający od spoczonej kończyny pijaka był fakt, że Ned zamierzał spędzić ten wieczór w obmierzłym towarzystwie, zamiast próbować osiągnąć porozumienie z lady Kathleen i jej ojcem. Gareth doszedł do wniosku, że będzie musiał poważnie porozmawiać z Nodem.

– To najbardziej infantylna gra, o jakiej słyszałem – stwierdził. – Do niczego nie prowadzi i jest pozbawiona sensu. Chodź, Ned. Nie możemy się spóźnić.

Kompani Neda zaczęli bełkotać, zaszokowani.

– Ale my dopiero zaczynamy!

– Carhart, kapelusz na dachu we trójkę to żadna przyjemność!

– Nawet nie jesteś jeszcze podcięty. I obiecaliśmy spotkać się z Branningiem u Gaithera. Lada moment się tam pojawi.

Ned wbił wzrok w jakiś punkt za plecami kuzyna.

– Jak chcesz ze mną pogadać, to jedź z nami – powiedział. – W kapeluszu na dachu znajdzie się miejsce dla kolejnego gracza. Ja się stąd nie ruszę.

Kompani zaczęli klepać Neda po plecach. Wiszący na kłamce grubas najwyraźniej uznał, że Gareth się do nich przyłączy, bo złapał go za ramię. Markiz strząsnął jego rękę z oburzeniem.

– Czy pan wie, kim jestem? Jestem markizem Blakelym. Ned, chodź ze mną w tej chwili.

Lodowaty ton przedarł się do zamroczonej alkoholem świadomości grubasa i odniósł pożądany skutek. Młodzieńcy – żaden z nich nie był chyba starszy od Neda – wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wiszący na drzwiach grubas niechcący dotknął ręką torsu Garetha. Na jedwabnej kamizelce został wilgotny ślad.

– Markiz, który dał się nabrać kapeluszowi na dachu! – zarżał i wewnątrz powozu zatrzęsło się od obrzydliwego, złośliwego rechotu. Powóz szarpnął i potoczył się ulicą, ciągnięty przez dwa gniade konie.

Po raz pierwszy w życiu Gareth pojął, że istniały rzeczy, których nie potrafi dokonać. W sprawie Neda przegrał i zupełnie nie miał się do kogo zwrócić o pomoc. Czyżby? Musiał przyznać przed sobą, że istniała osoba, którą mógł poprosić o wsparcie.

– Chodź ze mną – poprosił Gareth bez żadnych wstępów, jak tylko Jenny otworzyła drzwi. – Nie ma chwili do stracenia.

Popatrzyła na niego zmieszana, rozpuszczone włosy opadały jej na twarz. Słowa, które musiał

wypowiedzieć, dławili go w gardle, ale zdobył się jednak na wyrzucenie ich z siebie.

– Potrzebuję cię. Ned też cię potrzebuje. Miałaś rację. – Zacisnął pięści z całej siły, tyle go kosztowało to wyznanie. – Ja nie mogę nic zrobić. Ja... muszę prosić, żebyś... żebyś...

Żeby co? Sprawiała cud? Interweniowała?

– Zostań na powrót madame Esmereldą. Przywołaj duchy. Przepowiadaj przyszłość. Nieważne, co mu powiesz, bylebyś go tylko powstrzymała, inaczej stoczy się w przepaść.



## **Rozdział osiemnasty**

Gareth nazwał ten przybytek hazardu mianem piekielnej spelunki, ale sala, do której Jenny weszła, nasuwała bardzo odległe skojarzenia z siarką i rozgrzaną smołą. Owszem, płonął ogień, ale w węglowym kominku oddzielonym od pomieszczenia mosiężnym ekranem. Od czasu do czasu pojawiały się też pomarańczowe błyski, kiedy ktoś zaciągał się cygarem. Jeżeli już coś mogło przywoływać skojarzenia z piekłem, to czerwone aksamitne obicia, przesiąknięte okropną wonią starego tytoniu i marnego dżinu. Do uszu Jenny docierał brzęk monet i stłumiony gwar rozmów, prowadzonych z charakterystycznym akcentem znamionującym absolwentów dobrych szkół, ludzi zamożnych, którzy spędzali czas w tej spelunce na honorowym zajęciu tracenia fortun z niewzruszoną miną.

Jenny rozumiała, dlaczego żeglarze oddawali się hazardowi, a drobni urzędnicy ścibolili marne pensy ze swych żałosnych pensyjek i składali się, żeby postawić w zakładach. Kiedy człowiek ma niewiele do stracenia, warto zaryzykować drobną stratę, żeby zyskać szansę na wielką wygraną. Natomiast zebrani w sali mężczyźni mieli wszystko – bogactwo, majątki ziemskie i rodzinne koneksje. Garść monet, które rozrzucali na prawo i lewo, mogła rozwiązać problemy finansowe Jenny. Ned siedział wciśnięty w kąt, w towarzystwie typów, którzy zapewne mienili się jego przyjaciółmi. Żałośnie zwieszona ramiona młodzieńca powiedziały jej wszystko, co chciała wiedzieć. Po dwóch latach znajomości doskonale znała jego nastroje. Bywał dowcipny, skłonny do żartów i rozbrykany. Poznała również jego inne oblicze; wtedy był wyciszony, przygnębiony, w depresji. Ned wziął karty z pokrytego zielonym suknem stolika. Przyjrzał im się ponuro. Zdawał się nieświadomy obecności siedzących po obu jego stronach mężczyzn, nie mówiąc już o stojących na drugim końcu sali Jenny i markizie. Gareth poruszył się i wyjął:

– On mnie w ogóle nie słucha. Sam niszczy własną pozycję w świecie. Jak tak dalej pójdzie, to do końca życia będzie musiał znosić ostracyzm towarzyski. Nie słyszałaś, co Ware mówił do córki. Nie masz pojęcia, co gotów jest zrobić, aby ratować swoje jedyne dziecko przed kompromitacją.

Jenny uniosła dłoń, żeby przerwać wyjaśnienia Garetha.

– Wiem, kiedy Ned wygląda tak jak teraz. Jest pogrążony w rozpacz. To jasne, że cię nie słucha. On niczego nie czuje.

– Możesz położyć temu kres?

– Kiedyś mi się udało. – Nie mnie, poprawiła się w myślach, madame Esmereldzie.

– Zrób to jeszcze raz. Bardzo cię proszę.

Jenny dostała więc pozwolenie na powrót do roli madame Esmereldy, której Ned wierzył bez zastrzeżeń. Czy teraz da jej wiarę? Odpowiedziała sobie twierdząco na to pytanie, świadoma, że Ned łaknie słów nadziei i zapewnienia, iż znów wszystko pomyślnie się ułoży. Trzeba go zapewnić, że miniony tydzień był rodzajem sprawdzianu, że z pewnych względów musiała poddać go bolesnemu doświadczeniu.

– Przede wszystkim powinniśmy pozbyć się jego kompanów – uznał Gareth. – Ale wątpię, czy to się powiedzie. Nie chcą mnie słuchać.

– To akurat łatwe – stwierdziła Jenny i wyciągnęła rękę. – Scyzoryk.

– Słucham?

– Daj mi swój scyzoryk. Jest mi potrzebny.

Gareth nie zadawał więcej pytań. Wyjął z kieszeni wąski, lśniący nożyk, którym Ned pokroił kiedyś pomarańczę. Jenny wyjęła mu go teraz z ręki i zdecydowanym krokiem podeszła do stolika, przy którym toczyła się gra.

Ned nadal nie zdawał sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Oparł czoło na jednej ręce, a w drugiej trzymał karty. Nie podniósł głowy, kiedy Jenny stanęła obok stolika, choć pozostali mężczyźni obserwowali ją spod oka. Dopiero gdy wyjęła mu z ręki karty, drgnął gwałtownie.

– Panowie, chyba jesteście ślepi. – Jenny pomachała kartami Neda. – Te karty są znaczone.

Po tym zaskakującym oświadczeniu podenerwowani gracze przyjrzeni się trzymanym w rękach kartom. Ned wpatrywał się w Jenny z otwartymi ustami. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Jenny rozłożyła karty na stole tak, żeby wszyscy mogli je obejrzeć, i przełożyła scyzoryk do prawej ręki.

– Nie widzę. Gdzie? – rozległ się głos z lewej strony.

Jenny otworzyła scyzoryk.

– Tu – odparła i wbiła ostrze w stół, przebijając karty.

– Madame... to znaczy... panno Keeble, co pani tutaj robi? – przemówił wreszcie zaszokowany Ned.

– A jak ci się zdaje? Zamierzam pozbyć się twoich tak zwanych przyjaciół. – Zmierzyła wzrokiem pozostałych graczy. – No? Ruszajcie stąd, chyba że któryś z was chce być następny.

Kompani Neda odskoczyli od niej jak na komendę i uciekli na drugi koniec sali.

Jenny skoncentrowała się na Nedzie.

– Powiedziałam ci, co tutaj robię. Teraz ty bądź łaskaw mi wyjaśnić, co tutaj wyczyniasz?

– Ja... Pani...

– Daj już sobie spokój z wyjaśnieniami. Rozumiem.

– Mówiła pani, że ma wobec mnie dług, tak?

W takim razie proszę odejść.

Jenny usiadła i wyciągnęła ostrze ze stołu.

Złożyła scyzoryk, po czym wsunęła go do kieszeni.

– Niestety, panie Carhart, to nie pan decyduje o tym, w jaki sposób spłacam swoje długi.

Zgarnęła karty ze stołu i rzuciła na nie okiem.

Dobrze. Wystarczy. Położyła je przed Nede.

– Teraz zagrasz ze mną. Proszę. To twoje karty.

– Ale pani je widziała!

Jenny nie zastanawiała się wcześniej, co robi, kiedy już zostanie z Nede sama. Nagle zrozumiała, dlaczego zasiadł do gry i stawiał tak

wysoko. Chciał samego siebie przestraszyć, gotów był podjąć każde ryzyko, aby odzyskać rozum.

Jenny postanowiła mu pomóc.

– A, byłabym zapomniała. – Pogrzebała w stercie leżących na stole kart, żeby znaleźć tę, której potrzebowała. Rzuciła ją na stół. – Karo jest atutem. Wchodzisz do gry czy nie?

– Nie! To śmieszne. To nie jest żaden hazard.

Nawet nie rozdała pani sobie kart.

– Śmieszność to raczej twoja specjalność. Możemy ustalić stawkę wyjściową na pięć tysięcy funtów? A może ta stawka jest dla ciebie za niska?

Ned uderzył pięścią w stół, aż karty podskoczyły.

– Nie wchodzę do tej gry! Nie mam ochoty!

– Opanuj się. Chciałam ci tylko pomóc.

– Pomóc! Oszukując mnie i wyłudzając od mnie pieniądze?

– Tak – odparła Jenny. – Bez wątpienia wiesz, że jestem prawdziwą mistrzynią w oszukiwaniu i wyłudzaniu pieniędzy. Wydaje mi się, że w jakimś melodramatycznym akcie zemsty postanowiłeś doprowadzić się do ruiny. Po co masz tracić majątek pomału, przez kilka tygodni? Pomogę ci osiągnąć cel w ciągu godziny.

– Ja nie... ja wcale... ja nie mogę...

– Przestań się jękać, Ned. Głupio zaprzeczać czemuś, co widać na pierwszy rzut oka. Jeżeli nie próbujesz zniszczyć sobie życia, by udowodnić, że masz nad nim kontrolę, to nie wiem, co robisz.

Młody człowiek zacisnął usta.

– Więc pięć tysięcy funtów to dla ciebie za mało? Blakely! – zawołała Jenny. – Ile jest wart obecny tu pan Carhart?

– Blakely tutaj? – Ned odwrócił głowę i zauważył stojącego za jego plecami kuzyna. Westchnął i ukrył twarz w dłoniach.

Gareth miał nieprzeniknioną minę.

– Chyba jakieś osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt tysięcy. Może po tych ostatnich kilku dniach trochę mniej.

Dziewięćdziesiąt tysięcy funtów? Jenny zakręciło się w głowie. Z taką sumą mogłaby zyskać

szacunek, znaleźć sobie rodzinę, wymyślić przeszłość.  
Ba, mogła nawet wyjść za mąż!

– Ustalmy najprostsze reguły. Pięć kart. Kto  
zdobędzie więcej lew, bierze całą pulę. Ty wkładasz  
do puli wszystko, co posiadasz, jakieś dziewięćdziesiąt  
tysięcy funtów. Ja stawiam...

Odepchnęła od siebie wątpliwości i wyciągnęła  
zza pasa sakiewkę. Jeszcze tego ranka, zanim  
sprzedała suknię, sakiewka była lekka jak piórko.  
Teraz wydawała jej się ciężka. Rozsunęła troczki  
i drobne monety potoczyły się z brzękiem po stole.

– Stawiam szesnaście funtów i pięć szylingów.  
Oraz osiem pensów, dodała w myśli, ale w zestawieniu  
z ogromną fortuną Neda nie było sensu  
wspominać o tych drobnych miedziakach. Szesnaście  
funtów to suma, która mieściła się w głowie  
Jenny. Za tyle mogła przeżyć kwartał, dając sobie  
czas na znalezienie pracy. To był chleb, ser i jabłko  
od czasu do czasu. To był dach nad głową. W tych  
szesnastu funtach Jenny pokładała całą nadzieję.

– To niesprawiedliwe – oburzył się Ned. –  
Dziewięćdziesiąt tysięcy przeciwko paru funtom?

– Zmiotł ręką ze stołu całą fortunę Jenny.

– Moim zdaniem sprawiedliwe – sprzeciwiła  
się Jenny. – Wszystko, co ty posiadasz, przeciw  
wszystkiemu, co ja mam. Chcesz zniszczyć swoje  
życie? To miej przynajmniej odwagę zrobić to za  
jednym zamachem, jak mężczyzna.

– Dobrze. – Ned wyprostował się, gniew wyostrzył  
jego rysy. – Przyjmuję. Już raz zniszczyła pani

moje życie. Może pani to zrobić powtórnie, czemu nie?

Przez głowę Jenny przemknęła myśl, że może wygrać. Zwróci Nedowi pieniądze, gdy on się otrząśnie i odzyska rozsądek. A gdyby zatrzymała sobie jakieś czterysta funtów jako rodzaj... zapłaty? Może nawet tysiąc? Taka suma pozwoliłaby jej zachować niezależność do końca życia i zdobyć upragnione poważanie. Pokusa była naprawdę silna. W głowie Jenny aż zakręciło się od wspaniałych możliwości, które się przed nią otwierały.

Ręce jej zadrżały.

Kim jestem? – zadała sobie pytanie. Przestał do niej docierać gwar rozmów, nie dostrzegała też zgromadzonych wsali ludzi. Została sama ze sobą. Kim jestem? Odpowiedź napłynęła z głębi jej serca.

A kim chcesz być? Znowu słyszała harmider i dostrzegała graczy. W głębi jej duszy zapanował spokój. Jenny uśmiechnęła się i wybrała karty spomiędzy walających się po stole. Ułożyła je w wachlarz, od najmniejszej do największej.

Ned zgarnął swoje karty – same trójki i czwórki – i westchnął. Pozwolił, by jedna z nich upadła na stół. Jenny pobiła ją waletem. Następną lewą również zgarnęła i ziewnęła szeroko.

Przynajmniej jedno zdołała osiągnąć. Ned zacisnął karty w rękę, wreszcie trzymał je tak, jakby mu na nich zależało. Po raz pierwszy od chwili, gdy Jenny zobaczyła go w tej spelunce, zaczął się naprawdę interesować grą.



Jenny wyczuwała rozpacz siedzącego po drugiej stronie niewielkiego stolika Neda równie wyraźnie, jak skwaśniałe, duszne powietrze, którym oddychała. Już zdołała sprawić, by Ned poczuł, że ma coś do stracenia. Mało brakowało, a uśmiechnęłaby się. Zagrała następną kartę – dwójkę trefl.

Ned popatrzył z niedowierzaniem. Każda z jego kart biła jej blotkę. Ostrożnie wybrał jedną ze swoich i położył ją na stole. Następną rundę również wygrał. Na razie był więc remis, a każdemu z nich pozostała w ręku jeszcze tylko jedna karta.

– Jest pani okrutna – rzekł z goryczą Ned. – Próbuje mi pani pokazać, jak blisko jestem wygranej.

– Rzucił na stół czwórkę karo.

Jenny po raz ostatni w życiu była madame Esmereldą, uśmiechającą się zagadkowo do dwóch mężczyzn, którzy nie mieli pojęcia, co się zaraz stanie, ale spodziewali się najgorszego. Delikatnie położyła na stole swoją kartę.

Ned i Gareth wpatrywali się w nią z jednakowym wyrazem niedowierzania na twarzach. Nikt się nie poruszył. Po chwili Gareth ostrożnie dotknął karty czubkiem palca, jakby nie wierzył własnym oczom.

Ned pierwszy odzyskał mowę.

– Pani przegrała! Przegrała pani specjalnie! – zawołał zdezorientowany. – Celowo przegrała pani dziewięćdziesiąt tysięcy funtów!

Jenny wstała od stołu i pochyliła się, żeby pozbierać z podłogi zrzucone przez Neda drobniaki.

– Nie, panie Carhart. Przegrałam celowo szesnaście funtów i pięć szylingów. – Starannie wysypała wygrane przez Neda monety na ostatnią lewę. – I osiem pensów. Proszę nie zapominać o ośmiu pensach.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem.

– Mówiłam ci, że jestem oszustką, ale nie powiedziałam, kogo zamierzam oszukać.

– Co za idiota oszukuje samego siebie? – spytał i się zaczerwienił.

– Kiedy przyszedłeś do mnie po raz pierwszy, miałam do wyboru wiele kłamstw. Chciałeś wiedzieć, czy w przyszłości czeka cię coś dobrego i czy ty się zmienisz na lepsze. Mogłam ci powiedzieć prawdę, a brzmi ona tak: ludzie bardzo rzadko się zmieniają. Mogłam też dodać, że mężczyźni, którzy nadużywają alkoholu, wiodą zazwyczaj beznadziejne życie oraz że miałeś za dużo pieniędzy i za mało rozumu, żeby stać się człowiekiem, jakim pragnąłeś zostać.

Ned skulił ramiona i pochylił głowę.

– Wybrałam mniejsze zło i cię okłamałam.

– Powiedziała mi pani to, co chciałem usłyszeć.

– Nie. – Jenny potrząsnęła głową. – Powiedziłam ci to, co powinieneś usłyszeć. Ned, nadal tak to widzę. Widzę chłopca, który wyrasta na mężczyznę, szlachetnego, honorowego i poważnego.

Człowieka, który będzie budził w ludziach respekt.

– Kolejne kłamstwo? – zapytał łamiącym się głosem Ned. – Pani nie wie, jak się czułem, kiedy myślałem...

– To jest takie samo kłamstwo jak wtedy. Od czasu, gdy cię poznałam, zmieniłeś się. Stałeś się człowiekiem wyjątkowo lojalnym, który nie pozwala, by ktoś patrzył z góry na bliskich ci ludzi. Na moich oczach dorastałeś do wymyślonego przeze mnie wizerunku. Nie na przekór kłamstwu, a dzięki niemu. Jenny wzięła do ręki leżące na stole pieniądze. Szesnaście funtów, wszystko, co miała. Ponad stołem sięgnęła po prawą dłoń Neda i wsypała mu w nią monety.

– Z faktu, że kłamałam, nie wynika jeszcze, że oszukiwałam ciebie – powiedziała. – Nie ma na świecie nic wspanialszego od kłamstwa, które staje się prawdą.

– Madame...

– Jenny.

– Jenny. Narobiłem straszliwego bałaganu w życiu. Nie miałem od czego zacząć. I... – nakrył drugą ręką jej dłoń – obiecywałeś, że ciemność nie wróci, a wróciła. Jak mam z nią walczyć przez resztę życia?

– Pomyśl o tym, co powinieneś zrobić dzisiaj. Kiedy wykonasz ten pierwszy krok, zastanów się, co zrobisz jutro. Nie musisz od razu układać sobie całego przyszłego życia.

– Mówisz tak, jakby to było łatwe – zauważył niechętnie Ned.

– Tylko tak ci się zdaje. Jeśli będziesz posuwał się naprzód, zamiast się cofać lub stać w miejscu, to dotrzesz do celu. – Jenny wstała i delikatnie uwolniła ręce z uścisku Neda. Przechyliła się ponad stołami pocałowała go lekko w policzek. – Do widzenia, panie Carhart – wyszeptała, po czym pospiesznie wyszła z sali.

Markiz obrzucił Neda uważnym spojrzeniem.

Kuzyn wpatrywał się w rozsypane na stole pieniądze z wyrazem osłupienia na twarzy. Po chwili podniósł wzrok na Garetha. Po raz pierwszy od tamtego katastrofального wieczoru, kiedy doszło do skandalicznej sytuacji z udziałem lady Kathleen, w oczach Neda zabłysła iskierka nadziei.

– Na co czekasz? – powiedział. – Idź za nią.

Gareth w pośpiechu opuścił duszną salę. Sylwetka Jenny niknęła we mgle w głębi ulicy. Puścił się biegiem.

– Jenny! Zaczekaj! – zawołał. Dogonił ją i przytrzymał za łokieć. – Nie możesz...

Zabrakło mu słów. Przed chwilą zademonstrowała mu, że właśnie może i z jakim skutkiem.

To on nie potrafił zrobić tego, co należało.

– ...samotnie chodzić po ulicy, to niebezpieczne

– dokończył bez sensu. – Wezwę dorożkę.

– Nie mam pieniędzy na dorożkę.

– Przecież nie proponuję, żebyś płaciła za

kurs. – Wsunął ręce do kieszeni. – Ani żebyś odeszła.

Żadne słowa nie były w stanie wyrazić tego, co teraz czuł.

Jenny zarzuciła mu kiedyś, że widzi w ludziach tylko to, co najgorsze. Może dlatego, że ona dostrzegała to, co przekraczało granice jego poznania.

I nie tylko dostrzegała, ale i mówiła o tym.

Dzięki sile jej nadziei przepowiednie stawały się prawdą.

– Dobrze – ustąpiła.

Gareth zatrzymał fiakra i podał woźnicy adres.

Pomógł Jenny wsiąść do dorożki, a potem wskoczył za nią.

Czuł narastający ucisk w piersiach. Widział w ludziach to, co najgorsze, ponieważ przed laty zgodził się, by markiz Blakely zawładnął Garethem.

Nie mógł pozwolić odejść tej niezwykłej kobiecie, dzięki której dostrzegł to, co najważniejsze, i powoli odzyskiwał siebie. Zanim spotkał Jenny,

puste dni dłużyły mu się straszliwie, stawały się niekończącym pasmem obowiązków, pozbawionym choćby odrobiny radości. Rozpaczliwie tęsknił za nadzieją, którą tak rozrzutnie ona obdarzała innych.

– Jenny – zaczął lekkim, żartobliwym tonem, aby nie zdradzić, jak ważne było dla niego to pytanie. – Kiedy patrzysz na moją siostrę, widzisz silną kobietę. Gdy patrzysz na Neda, widzisz szlachetnego mężczyznę. W takim razie ja muszę

być chyba w twoich oczach prawdziwym gigantem.  
Co widzisz, kiedy patrzysz na mnie?

– Mnóstwo rozmaitych bezceństw – odparła z lekkim uśmiechem, dostosowując się do jego tonu.

A więc to tak! Był dla niej tylko i wyłącznie kochankiem. Gareth poczuł się rozczarowany. Przecież pytałem poważnie, zaprotestowałem w duchu. Niewykluczone, że Jenny odpowiedziała również poważnie. Może intuicyjnie wyczuła to, co on zawsze wiedział: że dla niego nie było ucieczki ani zmiłowania. Powiedziała mu kiedyś, że musi być bardzo samotny. Miała rację – zdołała dostrzec pod maską nadętego aroganta otchłań ciemności, która kryła się w jego duszy i wołała o przyjaźń, o bliskość.

Gareth starał się nadać głosowi nonszalancki ton.

– Bezceństw? A co ja ci takiego zrobiłem?

Odpowiedź wyszeptała mu wprost do ucha i położyła rękę na jego udzie. Pomimo ponurego nastroju, jego ciało zareagowało natychmiast, więc Gareth gorąco zapewnił, że uczyni wszystko, o czym mówiła, a może nawet więcej. Nagle dotarło do niego, że uśmiech Jenny był nieco za szeroki, a śmiech zbyt perlisty. Ona również coś przed nim ukrywała! Przypomniał sobie jej słowa: „Wszystko, co ty posiadasz, przeciw wszystkiemu, co ja mam”.

Ostatnio nie przyjmowała klientów, ale wspo-

minała o jakichś oszczędnościach, pamiętał to doskonale. Nie poświęcał tej kwestii większej uwagi. Tak jak bez zastanowienia przyjął założenie, że miała pokojówkę, która pomoże jej włożyć suknię.

– Jenny, ty naprawdę nie miałaś pieniędzy na zapłacenie za kurs!

Odwróciła wzrok.

– To nie twoje zmartwienie, Gareth.

– Nie moje zmartwienie? Mówiłaś, że masz oszczędności.

– Miałam – odparła sztywno – czterysta funtów, lecz zostały... źle ulokowane.

– Po pierwsze, czterysta funtów to żadne pieniądze.

Więcej płacę rocznie White'owi. A po drugie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Kim ja dla ciebie jestem?

– Z pewnością nie bankierem!

Objął palcami jej nadgarstek.

– Na co jeszcze cię nie stać, Jenny?

Westchnęła.

– Na nic. To nieważne. Mam plan.

– Słucham, jaki?

– Sprzedam wszystko, co mam, i wyjadę.

– Wyjedziesz. – Mocniej zacisnął palce wokół jej nadgarstka. – Porzucisz mnie.

– Porzucę Londyn – poprawiła Jenny, jakby to mogło złagodzić jego cierpienie.

Gareth czuł pod palcami mocne i spokojne uderzenia jej pulsu, czyli jej serce pracowało

miarowo, w normalnym tempie. Oczywiście, przecież to tylko on zapadał się w otchłań mroku.

– Rozumiem. Porzucenie mnie to za ledwie niezamierzona konsekwencja, o której nie planowałam mnie nawet poinformować.

– Powiedziałyby ci. Nie sądziłam, że się tym przejmiesz...

Zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem, zanim zdążyła dokończyć to, jego zdaniem, monstrualne łgarstwo.

– Bzdura! – orzekł, kiedy już ją puścił. – Zdaję sobie sprawę z tego, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów i że trudno ze mną wytrzymać. Jednak jesteś inteligentna i doskonale wiesz, że cię uwielbiam.

Nie powinna milczeć, uznał Gareth. Powinna paść mu w ramiona i zapewnić o tym, jak wiele on dla niej znaczy. Jenny, kobieta, która w innych dostrzegała siłę i odwagę, na jego temat nie miała nic pochlebnego do powiedzenia. No cóż. Chciał wiedzieć, jak wygląda w jej oczach, i właśnie się dowiedział.



## **Rozdział dziewiętnasty**

Podczas gdy dorożka kierowała się do domu, w którym mieszkała Jenny, Gareth zmagał się ze sprzecznymi odczuciami.

Z jednej strony, szczerze podziwiał Jenny za to, co uczyniła dla uratowania Neda. On nie potrafił znaleźć wyjścia z patowej sytuacji, nie umiał przekonać kuzyna, nie znalazł odpowiednich słów, aby do niego trafić. Kiedy Jenny rzuciła ostatnią kartę, oniemiał i w tamtym szczególnym momencie pojął, że się zakochał.

Z drugiej strony, poczuł się urażony i rozgoryczony. Narastała w nim też złość. Jenny zamierzała wyjechać i po prostu go zostawić. Zdecydowała się porzucić markiza Blakely'ego! Nie miała pensa przy duszy, nikogo – oczywiście poza nim – do kogo mogłaby się zwrócić po wsparcie, wykształcenie, które otrzymała, nie pozwalało znaleźć pracy, a mimo to ośmieliła się go opuścić. Dlaczego? Czy doszła do wniosku, że nie powinna na niego liczyć? A może rzeczywiście nic dla niej nie znaczył?

Jenny otworzyła drzwi, nieświadoma stanu ducha Garetha. Ledwie weszli do małego mieszkanca, markiz wziął ją w ramiona i zawładnął jej ustami w gwałtownym pocałunku, który oddawał zarówno jego miłość, jak i złość. Kocha ją, a ona go odtrąca! Sprawiała, że wreszcie zdecydował się porzucić samotność i otworzył się na emocje, a tymczasem ta uparta kobieta nie chce mieć z nim nic wspólnego w przyszłości.

Bezceremonialnie popchnął ją na ścianę i przyciągnął do siebie, aby poczuła, jak bardzo jej pragnie. Mruknęła coś niewyraźnie, gotowa na jego przyjęcie i oplotła go w pasie nogami. Pragnął nie tylko wypełnić ją swoim nasieniem, pragnął przelać w nią całego siebie. Chciał, by przeżyła intensywną rozkosz, bo może zmieniłaby decyzję i zrezygnowała z rozstania i wyjazdu.

Połączyli się i całkowicie zapamiętali w miłosnych zmaganiach. W pewnym momencie Jenny krzyknęła i stężała w ramionach Garetha. Przytulił ją jeszcze mocniej. Jej ciepłe westchnienie musnęło mu szyję. Milczała. Zatem nic się nie zmieniło, pomyślał Gareth. Nadal chciała się z nim rozstać. Tymczasem on nie zamierzał biernie czekać, aż Jenny go porzuci. Sprawí, że Jenny będzie potrzebowała go tak bardzo jak on jej! Myślała, że

wystarczy, iż poinformuje go, że ich związek dobiegł końca? Że on poprzestanie na ostatnim zbliżeniu, gorącym pożegnaniu? Nic z tego! Udowodni jej dobitnie, jak bardzo się myliła. Będzie jej na nim zależało tak bardzo, że nie zechce go porzucić.

– Nie odejdziesz – szepnął jej do ucha. – Zatrzymam cię.

Jej pierś uniosła się w drżącym oddechu. Odwróciła głowę, więc pocałował ją w ucho.

– Wybierasz się gdzieś jutro przed drugą?

Pokręciła głową. Jej włosy musnęły wargi Garetha.

– To dobrze. Zabiorę cię na przejażdżkę.

Nie mógł pozwolić jej odejść. Nie po tym, jak obudziła w nim miłość. Przysiągł sobie, że zrobi wszystko, aby nie stracić Jenny.

Księżę Ware mieszkał w kamiennym gmazysku w Mayfair. Solidne bloki kamienia, niegdyś białego, obecnie zszarzałego od londyńskiego kurzu, wznosiły się na wysokość czterech kondygnacji. Nad nimi górował łupkowy dach, którego płaską monotonię przerywały poczerńiałe kominy i prostokątne okienka poddasza. Rezydencja okazała się tak imponująca, jak ją sobie wyobraził Ned. Odetchnął głęboko i wszedł po frontowych schodach. Gdyby poprosił, Gareth by mu towarzyszył, lecz Ned nie miał ochoty znowu składać swojego życia w cudze ręce. Madame Esmerelda

go oszukiwała, Blakely manipulował nim jak marionetką. I comu z tego przyszło? Ciemność, której tak się obawiał, i tak nim zawładnęła. Stał bez ruchu, zbierając siły do wykonania ostatniego kroku.

Minionej nocy, patrząc na rozrzucone na stole karty, uświadomił sobie pewną fundamentalną prawdę. To nie opatrność uchroniła go przed laty przed samobójczą śmiercią. Madame Esmerelda przyznała się, że nie wstawiła się za nim u duchów, bo nie miała takiej mocy. Z czego wyciągnął wniosek, że musiał nieświadomie uratować się sam. Rozumując dalej, uznał, że to, czego dokonał niegdyś przez przypadek, obecnie mógł powtórzyć całkiem świadomie.

Zastukał w solidne dębowe drzwi. Po chwili w progu stanął niemal na baczność kamerdyner. Ned podał mu swoją kartę wizytową i oznajmił: – Chciałbym się zobaczyć z lady Kathleen. Służący zerknął na wizytówkę. Ned nie uwierzyłby, że ten wyglądający jakby kij połknął jegomość mógłby zesztywnieć jeszcze bardziej, ale w tej chwili jego poprzednia poza wydała mu się niemal swobodna. Kamerdyner pospiesznie zatrzaskał mu drzwi przed nosem.

Ned powtarzał sobie w myślach, że musi zachować spokój oraz zmobilizować całą swoją cierpliwość i determinację. Stał i czekał. Po piętnastu minutach drzwi ponownie stanęły otworem. Kamerdyner skinął głową.

- Jego wysokość pana przyjmie.
- Ale ja nie chcę rozmawiać z jego wysokością
- oznajmił Ned, myśląc, że zapewne księżę zdażył przygotować pistolety. – Pragnę się zobaczyć z córką jego wysokości.

Kamerdyner uniósł brew i powtórzył suchym tonem:

- Jego wysokość pana przyjmie.

Nedowi nie pozostało nic innego, jak ruszyć za służącym. Księżę oczekiwał go w salonie. Był w stroju domowym, najwyraźniej uznając, że kogo, jak kogo, ale Neda nie musi uhonorować eleganckim ubraniem. Siedział w fotelu i na kolanach trzymał otwartą książkę. Nie podniósł głowy, kiedy Ned wszedł do pokoju. Najwyraźniej udawał pogrążonego w lekturze. W starannie odmierzonym czasie przewracał stronicę, ale widać było, że nie czyta tekstu. Dokładnie tak samo zachowałby się Blakely, pomyślał Ned. Ignorowałby gościa, żeby mu pokazać, gdzie jego miejsce.

Ned niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę. Nie chciał dodatkowo zrażać i tak wrogo do niego nastawionego księcia. Doszedł jednak do wniosku, że trudno przypuszczać, by księżę mógł go jeszcze bardziej znienawidzić. Ned zaczynał mieć dosyć oczekiwania, aż w jego życiu coś się samo wydarzy. Od niedawna nie liczył na przypadek czy szczęśliwy zbieg okoliczności. Postanowił w miarę racjonalnie kierować własnym losem.

Zebrał się na odwagę, podszedł do fotela i wyjął książkę z rąk księcia.

– Przepraszam, ale moja cierpliwość się wyczerpała

– powiedział. – Musi panalbomnie zabić, albo pozwolić mi porozmawiać ze swoją córką. Zgadzam się na wszystko, ale proszę mnie nie ignorować.

Twarz księcia Ware’a powoli nabrała czerwonej barwy.

– Piekło i szatani! To pan mnie zignorował, i to dwukrotnie! Dwa razy uzgadnialiśmy termin spotkania.

Dwa razy Blakely przekonywał mnie, żebym pana nie zabijał. Domagam się satysfakcji.

– Wszyscy pragniemy satysfakcji, wasza wysokość.

Niestety, większość z nas jest skazana na rozczarowanie.

– Pistolety czy szable, ty łotrze!

Ned pokręcił głową.

– Nie zamierzam z panem walczyć. Jeśli pan zmusi mnie do pojedynku, to wybiorę pistolety.

Tylko niech pan celuje w serce, z łaski swojej.

Wolałbym nie zdychać powoli od postrzału w brzuch.

– Przeklęty kozioł! Tchórzliwy królik!

Reguły tej gry nie były trudne do rozszyfrowania.

Ned przyłączył się bez większych oporów.

– Cudaczna łasica! – rzucił na próbę.

Ware zacisnął pięści.

– Bezczelny gad!

– Pięciopalczasty kurczak! Drapieżna truskawka!

To ostatnie określenie poderwało księcia Ware'a na równe nogi.

– Co? Jak pan mnie nazwał?

– Ojej, czyżby pańskie epitety były skierowane pod moim adresem? – zapytał najniewinniej w świecie Ned. – Myślałem, że to jakaś gra. Wie pan, całkowicie nieadekwatne przymiotniki dodawane do jakiegoś rzeczownika. Przegrywa ten, kto pierwszy powie coś z sensem.

Ośłupiały Ware wpatrzył się w nieoczekiwanego i niechcianego gościa. Blakely, pomyślał Ned, dał mi doskonałą szkołę. Choć miało się dopiero okazać, czy skutkiem jego nauk będzie śmierć przez zastrzelenie, czy też małżeństwo.

– A to oznacza, że pan przegrał – dodał łagodnie Ned. – Mówię na wypadek, gdyby pan sam tego nie zauważył.

– Moja córka to nie żadna gra.

Nadszedł czas sprawdzenia siły jego determinacji.

– To dlaczego zabawia się pan ze mną, zamiast pozwolić mi z nią porozmawiać?

Wrogie spojrzenie księcia przyszpiliło Neda do miejsca, w którym stał. Najchętniej schowałby się w mysią dziurę, ale zmusił się, by trzymać się prosto i patrzeć tamtemu w twarz. Wreszcie książę ruszył na sztywnych nogach do drzwi. Otworzył je gwałtownym szarpnięciem, odsłaniając lady Kathleen, która najwyraźniej chwilę wcześniej pochylała się do dziutki od klucza.

Niezręcznie zamaskowała krępującą pozycję ukłonem.

– Papo. Panie Carhart.

– Lady Kathleen. – Ned skłonił się, po czym schował ręce do kieszeni.

– Powiedz, kochanie – zwrócił się książę do córki – czy mam go zamordować?

Kathleen pokręciła głową. Światło, padające na jej jasne włosy, sprawiało wrażenie aureoli.

– Nie, papo.

– Bałem się, że tak powiesz. – Książę posmutniał.

– Nie w salonie – dodała. – Krew zostawia okropne plamy.

– Racja. Chcesz z nim porozmawiać?

– Obawiam się, że muszę.

– Zadzwoń, gdyby cię obraził. Przyjdę i przebiję go pogrzebaczem.

Spojrzenie Neda pobiegło w stronę kominka, gdzie znajdowało się przyszłe narzędzie zbrodni.

– Nie jest nawet naostrzony!

– Wiem. – Ware uśmiechnął się szeroko i zatarł duże, owłosione dłonie.

Ned mógł przynajmniej przestać się martwić, że dziewczyna go odrzuci z obawy, iż on jest niespełna rozumu. Prawdopodobnie była przyzwyczajona do towarzystwa szaleńca. Drzwi zamknęły się za księciem i Ned został sam na sam z lady Kathleen. Wiedział, co należało zrobić. Nie powinno mu to sprawiać szczególnych trudności. Ukląkł



na jedno kolano. Lady Kathleen cofnęła się i mocno zacisnęła usta. Milczała.

– Powinniśmy się pobrać – wykrztusił w końcu Ned.

Lady Kathleen skrzywiła się i oparła plecami o ścianę.

– Tydzień temu przysłał pan do mnie list z prośbą o spotkanie w cztery oczy. Ten list sprawił, że zostaliśmy przyłapani razem w niestosownej sytuacji. Następnie zapadł się pan pod ziemię. Minęło siedem dni od naszego ostatniego spotkania. Co się z panem działo, do licha?

Ned zrobił smętną minę i spojrzał na Kathleen. Różne tłumaczenia przychodziły mu do głowy. Zdecydował się jednak wyznać prawdę.

– Popadłem w obłęd, ale tylko na pewien czas.

– To, zdaje się, dość częsta dolegliwość w pańskiej rodzinie. Powinnam się jej obawiać? – Na jej ustach błąkał się uśmiech, który świadczył o tym, że bez wątpienia uznała, iż Ned żartował.

Pomyślał o ciemności, która od czasu do czasu spadała na niego jak czarna płachta i pozbawiała go sił. Własna wola wydała mu się krucha jak trzcina na wietrze.

– Tak – zapewnił poważnie. – Powinna się pani jej obawiać.

– Cóż, to romantyczne. Pan wcale nie chce się ze mną ożenić, prawda?

Na małżeństwo, pomyślał Ned, powinno się składać wiele czynników. Uczucie. Namiętność.

Przyjaźń. Uczciwość. Tylko to ostatnie miał jej do zaoferowania.

– Nie – przyznał. – A czy pani naprawdę chce za mnie wyjść?

Lady Kathleen milczała przez bardzo długą chwilę.

– Jestem córką księcia. Nie liczyłam na małżeństwo z miłości. Spodziewałam się raczej wyjść za dziedzica jakiegoś wspaniałego tytułu, a tu proszę... pan. – Rzuciła Nedowi spojrzenie spod rzęs, pod wpływem którego poczuł ucisk w piersi. – Pan sprawia, że się śmieję. Nie jest pan nadętym typem przekonanym o własnej ważności. – Zerknęła na drzwi. – Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, iż jako jedynie dziecko swojego ojca będę mu pomagała w obowiązkach wiążących się z zasiadaniem w Izbie Lordów?

– Nie. – Ned odwrócił wzrok. – Lady Kathleen – odezwał się po namyśle – proszę za wiele po mnie się nie spodziewać. Jestem jednak...

Ujęła rękę Neda i potrząsnęła nią krótko, jak dla przypieczętowania umowy handlowej, a nie zaręczyn.

– Ujdzie pan – stwierdziła.

W ten sposób Ned się zaręczył.

Gareth przyjechał punktualnie. Jenny poczuła na sobie jego spojrzenie i w tym momencie słońce wyszło zza chmur. To był dzień jak z kart idyllicznej powieści. Faeton zaprzężony w dwa rącze

konie i przystojny mężczyzna. Tylko że ten przystojny mężczyzna nie wspominał ani słowem o swych uczuciach. Czego jednak Gareth nie potrafił ubrać w słowa, to zdradzała mowa ciała. Dłonie mocno zacisnął na lejcach, odpowiadał lakonicznie na jej uwagi. I te ukradkowe spojrzenia! Obrzucał nimi Jenny, jakby miała przy sobie niebezpieczną broń.

Jenny miała ochotę się rozpłakać. Przykryła ręką dłoń Garetha. Zacisnął usta i wbił wzrok w przestrzeń, skupiony na drodze. W pewnym momencie powozik skręcił w uliczkę opatrzoną tabliczką Half Moon Lane w spokojnej, szacownej dzielnicy. Gareth zatrzymał konie przed jednym z eleganckich domów. Rzucił lejce chłopcu, który zeskoczył z ławeczki z tyłu faetonu. Konie były kopytami i rzucały łbami, ale stały w miejscu. Gareth zdjął czarną rękawiczkę i wyciągnął rękę do Jenny. Przyjęła ją i wysiadła z faetonu. Nie przytrzymał jej dłoni dłużej, niżby należało. Pospieszył do drzwi domu.

Idąca za nim Jenny zauważyła, że na błyszczących, niebieskich drzwiach nie było kołatki.

Gareth wyjętym z kieszeni kluczem otworzył zamek i z miną rzeźbiarza, który ściąga płachtę, okrywającą jego najnowsze dzieło, dał Jenny znak, by pierwsza weszła do środka.

Podeszwy jej butów głośno stukały o posadzkę z czarnego marmuru, wypolerowaną tak, że mogła przeglądać się w niej jak w lustrze. Wzdłuż ścian

biegł złoty pas. Popatrzyła w górę i zakreśliło jej się w głowie. Wysoko po błękitnym suficie baraszkowały cherubiny. Zapewne dama należąca do sfery Garetha uznałaby uśmiechy aniołków za urocze. Natomiast Jenny pomyślała o nieszczęśniku, który godzinami wisiał wiele jardów nad ziemią, majtając w powietrzu nogami, żeby sprawić pięć sekund przyjemności osobie, której zechce się zadrzeć głowę.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Gareth.

– Dreszcz mnie przechodzi na ten widok – wyznała szczerze Jenny.

– Cóż, dość dwuznaczna odpowiedź. Obejrzyj resztę domu.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez drzwi zwieńczone ozdobnym gzymsem. Czarny marmur zastąpił podłogi w kolorze miodu. Zdobiące ściany tapety miały odcień głębokiego burgunda i złota. Zaciągnięte aksamitne kotary wpuszczały do pokoju tylko wąskie smugi światła. Jenny obróciła się dookoła, głośno stukając podszewkami o posadzkę.

– Jakie echo! – zawołała na próbę i odbity od pustych ścian głos rzeczywiście wrócił do niej.

– Dom nie jest jeszcze umeblowany – wyjaśnił Gareth. – Nie wiedziałem, czy będziesz wolała zająć się tym sama, czy mam zatrudnić dekoratora.

Po tych słowach zapadło dłuższe milczenie.

Wreszcie zakłopotana Jenny powiedziała:

– Moje meble wyglądałyby tutaj zdecydowanie śmiesznie i żałośnie.

– Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym ci zatrzymać ten stary, rozklekotany stolik. Chodź, nie widziałas jeszcze piętra. Okna sypialni wychodzą na ogród za domem.

Jenny zaparła się nogami w podłogę i odtrąciła rękę Garetha, który chciał poprowadzić ją dalej.

– Co to jest?

– Dom. Wiem, że na razie nie prezentuje się zbyt okazale, ale wyobraź go sobie z meblami, obrazami na ścianach i ogniem płonącym w kominku.

I, oczywiście, ze służbą.

– Wiem, co to jest dom, i nie brakuje mi wyobraźni. Natomiast nie mam pojęcia, po co mi go pokazujesz.

– Moi prawnicy przygotowali już akt przeniesienia własności. Daję ci go w prezencie.

Cały świat stanął w miejscu.

– Co takiego?!

– To mój podarunek. Nie stój z otwartymi ustami. Jeśli chcesz mi podziękować, to znam kilka doskonałych sposobów okazania wdzięczności.

Poprosiła, żeby nie dawał jej mebli i biżuterii, więc postanowił ofiarować jej dom? Czy naprawdę niczego nie zrozumiał z tego, co mu tłumaczyła?

Serce jej się ścisnęło.

Wyciągnął do niej rękę.

– Chodź.

– To ładny dom. Naprawdę bardzo ładny. Tylko trochę... – Urwała. Bezosobowy, dodała w myślach, żeby nie urazić Garetha, i za duży. – Trochę

wykracza poza moje pojmowanie przyzwoitości – dokończyła.

– Nie bądź uparta, Jenny. To naprawdę uczciwa wymiana. Ja mam pieniądze, ty masz siebie. Zrobię wszystko, by cię nie stracić. Będę łożył na twoje potrzeby.

– Nie chcę być utrzymanką.

Gareth ściągnął brwi, jakby nie zrozumiał, co Jenny powiedziała.

– Nie chcę się czuć zobowiązana. Nie zamierzam przyjmować od ciebie pieniędzy za to, co wolę ci dawać za darmo.

Gareth zwinął zdjętą z dłoni rękawiczkę i rytmicznie uderzał nią o swoje udo.

– Wyjaśnij mi to dokładniej.

– Po twojej propozycji poczułam się jak osoba, której się nie szanuje.

Rękawiczka trzepnęła jeszcze raz o udo Garetha, zanim została zgnieciona w jego palcach.

– Wiesz jak nikt inny, że nie potrafię ładnie i przekonująco mówić. Nie znajduję odpowiednich słów. Chciałem tym gestem wyrazić jedynie, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Potrzebuję cię, Jenny.

Zapragnęła uciszyć jego niepokój, rozwiązać obawy o przyszłość i zapewnić o swoim uczucie, ale...

Zawsze jest jakieś ale.

– Czym, twoim zdaniem, wypełnię pozostałe dwadzieścia dwie godziny doby? – zapytała.

– Słucham?

– Zakładam, że poświęcisz Jenny Keeble mniej więcej tyle samo czasu co Garethowi. Jemu dajesz dwie poranne godziny na pracę naukową.

– Jenny, doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mogę ci ofiarować więcej. Nie wolno mi zaniedbywać obowiązków...

Jenny zamknęła oczy. Choć jej serce wyrywało się do Garetha, oznajmiła:

– Nie dam się kupić.

Podarowanie kochance nawet najbardziej luksusowego domu pozwalało mężczyźnie zatrzymać ją dla siebie i odciąć od innych. Uzależnić, a nawet do pewnego stopnia ubezwłasnowolnić. Sprowadzić jej tęsknotę za rodziną i miłością do funtów na utrzymanie domu w mieście. Wydzielać czas przeznaczony na obcowanie z kochanką.

Jenny zamrugnęła powiekami, żeby powstrzymać łzy.

– Nie chcę być twoim nabytkiem. Nie chcę też zostać jednym z twoich zobowiązań. Pragnę być twoją... – Urwała i dopowiedziała w myślach: rodziną.

Nie była w stanie wyjawić, o czym marzy i co jej leży na sercu, ale Gareth i tak się zorientował.

– Nie mogę – szepnął.

Spod mokrych rzęs widziała, że Gareth odwrócił się do niej plecami i zacisnął ręce na framudze drzwi.

– Prosisz, żebym zwracała się do ciebie po imieniu – odezwała się Jenny. – Markiz Blakely

wraz z tym, co sobą reprezentuje – władzę, pozycję społeczną, obowiązki wobec innych i własnego rodu – nieustannie stoi pomiędzy nami. Czy po tym wszystkim, czego się o mnie dowiedziałeś, naprawdę sądzisz, że możesz mnie zatrzymać, dając mi dom?

– Tylko tyle mam do zaofiarowania.

Jenny otworzyła oczy szeroko.

– Nie – zaproponowała, ale własny głos zabrzmiał w jej uszach słabo, jakby dobiegał ze znacznej odległości. – Tylko tyle jesteś gotów dać. Pieniądze i odpowiedzialność to parawan, za którym się chowasz.

Gareth odwrócił się z gniewną miną.

– Nie chowam się.

– Ależ tak. Mnie również chciałbyś ukryć. Nie godzę się na to. Nie kupisz mnie za dom, choćby najbardziej luksusowy.

– Poproś o coś innego. I nie mów o chowaniu się. To ty kulisz się, gdy mówię, że cię podziwiam i potrzebuję. Nie pozwalasz sobie być zależną ode mnie nawet w tej jednej drobnej sprawie.

– Jeśli mnie pragniesz, to musisz przehandlować siebie – rzuciła desperacko Jenny.

– To nieuczciwa wymiana.

– Nieuczciwa wymiana – powtórzyła jego słowa ostrożnie, jakby mogły zranić jej usta. – Jeżeli uważasz, że to nieuczciwa wymiana – podjęła Jenny – to dlatego, że w twoim przekonaniu nie



jestem warta tyle samo, co ty, nie mogę się z tobą równać.

– Bądź rozsądna, Jenny – odezwał się pozbawionym emocji głosem Gareth, co, jak zdążyła się już nauczyć, świadczyło o tym, że czuł się dotknięty do żywego, ale próbował to ukryć. –

Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby, że pozostajemy na tym samym poziomie.

– Znam taką osobę. – Jenny dumnie się wyprostowała i spojrzała mu w prosto w oczy. –  
Siebie.

Gareth próbował ją wziąć za rękę, ale poruszał się jak w zwolnionym tempie. Jenny zdążyła się cofnąć poza jego zasięg. Rękawiczka wypadła mu z ręki i z głuchym pacnięciem uderzyła o podłogę.

– Nie odchodź. – Jego prośba wróciła echem w pustym pokoju. – Ja nie...

Urwał. Honor nie pozwolił mu dokończyć.

Gareth naprawdę wierzyłw to, co powiedział. A to oznaczało, że nie musiał nawet wymówić tego przeklętego słowa „żegnaj”, aby ją opuścić.

Jenny cofała się. Kiedy uznała, że dzieląca ich odległość jest wystarczająca, odwróciła się i szybko ruszyła do drzwi. Jej kroki rozlegały się w holu głośnym echem, nie towarzyszył im żaden inny dźwięk.

## **Rozdział dwudziesty**

Gareth miał wrażenie, że od zniknięcia Jenny minęły dwadzieścia cztery lata, a nie dwadzieścia cztery godziny.

Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w okno, podczas gdy White mówił coś monotonnym głosem, który wydawał mu się niemal kojący. Trudno mu było skupić się na meritum, czyli usprawnieniu gospodarowania.

Kiwnął głową i zamknął oczy. Pozostały mu już tylko obowiązki. Z czasem wypełnią tę próżnię. Może tylko wydawało mu się, że znalazł się w próżni, ponieważ White przestał mówić.

Gareth otworzył oczy.

– Są jeszcze jakieś sprawy?

– Tak. List z pensji w Bristolu.

– Z Bristolu? A czego może chcieć ode mnie szkoła dla panien w Bristolu? Dotacji?

– To korespondencja od pani Davenport, sir.

W związku z dochodzeniem, jakie polecił mi pan wdrożyć w sprawie panny Jenny Keeble.

Szkoda, że informacje nadeszły wtedy, gdy utracił kobietę, której dotyczyły. Nie chciała od niego pieniędzy, podarunków, nawet domu. A tego, czego chciała, nie był w stanie jej ofiarować.

– Nigdy więcej nie wymieniaj przy mnie jej nazwiska! – polecił ostrym tonem Gareth. – Wyślij jej dziesięć funtów i spal list.

White zignorował ten wybuch.

– To bardzo tajemniczy list, pozwolę sobie zauważyć. Pani Davenport pisze, że zna osobę, której nazwiska nie powinienem wymieniać. Była przed laty uczennicą tej szkoły.

Gareth odetchnął głęboko. Jenny... Na samą myśl o niej czuł bolesny skurcz w sercu. Żądała od niego niemożliwego. Poświęcił wszystko – kontakty z matką i siostrą, potrzebę bliskości z drugim człowiekiem, pragnienie miłości – dla obowiązków wiążących się z tytułem markiza Blakely'ego.

Gdyby jego wyższość nad zwykłymi śmiertelnikami nie była autentyczna, to jego wyrzeczenia nie miałyby sensu.

– White, mogę cię o coś zapytać?

– Naturalnie, sir.

– Uważasz, że jestem bogaty?

– Tak – odparł zdumiony White.

– I posiadam stary, zaszczytny tytuł?

– Tak, milordzie.

– A jeśli chodzi o wygląd... Czy jestem wyjątkowo paskudny?

White rozejrzył się po pokoju, lecz nic nie mogło go uratować. Gareth był jego pracodawcą i miał prawo do najbardziej nawet zaskakujących pytań.

– Mogę uczciwie powiedzieć, że pańskie rysy wydają mi się całkiem regularne. Ośmielę się wyprzedzić pańskie następne pytanie i zapewnić, że nie wydziela pan również przykrego zapachu. Gareth ponuro kiwnął głową.

– Tak też myślałem.

White podszedł do kominka i odsunął ekran z niemiłosiernym łoskotem.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał ostro Gareth.

– Zamierzam spalić list.

Gareth zerwał się na równe nogi.

– Nie! Daj mi go. Co ty sobie myślisz?

– Ja nic nie myślę, milordzie. – White uśmiechnął się ukradkiem. – Ja tylko wypełniam polecenia.

Gareth wycelował palec w swojego beznadziejnego plenipotentę.

– Jak mam, u licha, odnaleźć tę kobietę z Bristolu, jeżeli spalisz list?

– Ale powiedział pan...

– Nieważne, co powiedziałem. – Gareth trzepnął palcami. – Daj mi go.

White uśmiechnął się z satysfakcją i złożył na wyciągniętej dłoni markiza list, który stwarzał możliwość dotarcia do Jenny.

Kiedy nie było już wątpliwości, że Jenny nie może pozostać w Londynie, jej życie stało się prostsze. Kwestia pieniędzy rozstrzygnęła się sama. Jenny zatrzymała tylko kilka sztuk garderoby i jedną, bezwartościową pamiątkę ostatnich tygodni. Za większość sprzętów domowych otrzymała dziewięć funtów. Ofiarowane jej przez Garetha łóżko sprzedała aż za trzydzieści dwa funty.

Za zgromadzone pieniądze zamierzała kupić miejsce na statku do Nowego Jorku, który odpływał za kilka dni. Fundusze powinny wystarczyć również na dojazd do portu i miejsce w domu noclegowym do czasu wypłynięcia w morze. Jenny zostało jeszcze pół godziny na pożegnanie się z pustym mieszkaniem, które przez wiele lat było jej domem.

Po dwunastu latach wychodziła stąd z niczym. Z trudem uciulane oszczędności straciła przez mściwego i nieuczciwego pana Sevina, możliwość dalszego zarabiania na życie w charakterze wróżki sama odrzuciła. Zabierała ze sobą jedynie wspomnienia – zarówno te nieprzyjemne, jak i miłe.

Przeżycia, których zaznała w ramionach Garetha, na trwałe zapisały się w jej pamięci.

Jenny sięgnęła po walizkę. Zanim jednak zdążyła ocenić jej ciężar, rozległo się pukanie do drzwi.

Po dwóch latach rozpoznała je bez trudu. Wypuściła z ręki rączkę walizki, podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Pan Carhart!

Ned zajął do pokoju i wyraz powagi, malujący się na jego twarzy, ustąpił miejsca zaskoczeniu.

– Pani wyjeżdża?

Jenny nonszalancko wzruszyła ramionami.

– Nic mnie tu już nie trzyma – odparła.

– Wraca pani do domu?

Jenny wydała tęskne westchnienie. Do domu...

Nigdy go nie miała, podobnie jak rodziny. W głębi duszy wierzyła jednak, że gdzieś na świecie czeka na nią azyl, gdzie będzie się czuła u siebie.

– Wybieram się do Cincinnati – wyjaśniła.

Ned zmarszczył czoło.

– To w Ameryce. Znalazłam tę nazwę w broszurce emigracyjnej. Nigdy nie słyszałam o tym mieście, więc liczę na to, że tam też o mnie nie słyszano. Potrzebuję... – Urwała i się zamyśliła. Potrzebowała stabilizacji. Od dawna o niej marzyła. Pragnęła znaleźć miejsce, gdzie zdobyłaby ludzki szacunek i zaufanie. Musiała uciec z kraju, w którym oceniano ludzi i dzielono ich na kategorie na podstawie pochodzenia i majątku. Poza tym gdyby została w Londynie, nie zdołałaby zwalczyć pokusy widywania się z Garethem i w końcu przyjąłaby jego propozycję. A przecież obiecała sobie, że nie będzie niczyją utrzymanką!

– Potrzebuje pani... – przypomniał jej Ned.

– Potrzebuję szansy na rozpoczęcie nowego życia – powiedziała.

Ned kiwnął głową, wsadził ręce do kieszeni

i obszedł pokój dookoła. Jenny zastanawiała się, czy może on również szuka tutaj śladów dawnych utrapień. Zatrzymał się i oznajmił:

– Za tydzień się żenię.

– Proszę przyjąć moje gratulacje, panie Carhart.

Jenny wbiła wzrok w podłogę. Wiedziała, że Ned obawiał się małżeństwa, twierdził, że stanowczo nie nadaje się na głowę rodziny. Domyśliła się, że nie było mu łatwo podjąć decyzji o ślubie. Po ostatnich wydarzeniach uznała, że nie uda im się wrócić do dawnej swobody w rozmowie, więc przygryzła wargę, żeby nie wymknęło jej się żadne z cisnących się na usta pytań. Nie miała prawa wtykać nosa w jego sprawy.

– Gareth jest z pewnością zadowolony – powiedziała.

– Mam nadzieję, że pan również.

Ned cofnął się, wyraźnie zaskoczony.

– Blakely jest dla pani „Garethem”, a ja „panem Carhartem”?!

– Tak. Nawiasem mówiąc, udzielam panu pozwolenia na zwracanie się do niego po imieniu.

Ktoś powinien to robić po moim wyjeździe, żeby nie zapomniał, iż nie jest wyłącznie markizem.

Powinien o tym zawsze pamiętać.

– Przyszedłem, aby zaprosić panią na ślub. To będzie skromna ceremonia, wyłącznie w rodzinnym gronie.

Jenny ogarnęło wzruszenie.

– Nie mogę...

– Dlaczego? Przecież panią zapraszam.

– Mój statek odpływa za pięć dni.

– Nie może pani przenieść rezerwacji na następny tydzień?

W zasadzie było to możliwe. Jednak z innego powodu nie powinna uczestniczyć w ceremonii.

– Ga... to znaczy Blakely tam będzie. Zresztą, ja nie należę do rodziny, Ned. Nie chcę być intruzem.

– Stawiała już pani czoło kuzynowi. Dlaczego teraz pani się tego obawia?

Bo nie zniosłabym kolejnego spotkania z nim! – odpowiedziała Nedowi w myślach i wydała głębokie westchnienie.

– Naprawdę muszę to ubrać w słowa?

Ned spojrzał badawczo na jej twarz.

– Czyżby to Blakely?

Zarumieniła się i wydobyła z torebki scyzoryk.

– Jest. Pewnie nasłabym na mnie stróżów porządku, gdyby zorientował się, że tamtego wieczoru w domu gry zabrałam jego scyzoryk.

Ned nie zrobił żadnej uwagi na temat eleganckiego nożyka. Powiedział coś znacznie ważniejszego.

– Kiedy byłem mały, nudziłem mamę, że chciałbym mieć starszą siostrę. Zaczęła się śmiać i wyjaśniła, że natura wyklucza taką możliwość. Zresztą, nie doczekałem się również młodszej siostry. Byłem sam. Zmagałem się z wymyślonymi przez siebie problemami. Przyszedł taki moment, kiedy uznałem, że nie ma już dla mnie nadziei, że życie jest bez sensu. I wtedy spotkałem panią.



– Okłamywałam cię, Ned.

Delikatnie wyjął jej z ręki nożyk.

– Siostry zawsze to robią. – Otworzył scyzoryk i przeciągnął ostrzem po wnętrzu dłoni. Na rozciętej skórze pojawiła się wąska, czerwona linia.

Cieniutka strużka krwi. Spojrzał na Jenny z oczekiwaniem.

– Powiedziała pani, żebym robił jeden krok po drugim i nie sięgał daleko w przyszłość. Oto jestem.

Jenny zawahała się. To zbyt wiele! Za kłamstwa odpłacał jej prawdą. Lojalnością za oszustwa.

Ned zaczął się ze zniecierpliwieniem kołysać na stopach i Jenny ujrzała przed sobą dawnego, dobrze jej znanego, pełnego kompleksów młodzieńca.

Uznała, że jeżeli teraz nie uwierzy, że jest warta miłości, to może od razu zapomnieć o nadziei na znalezienie takiego miejsca pod słońcem, w którym będzie szanowana.

Drżącymi palcami wzięła od niego scyzoryk i nacięła skórę lewej ręki. Ned złączył ich dłonie i Jenny poczuła łzy w oczach. Serce wezbrało jej uczuciem. Od dawna marzyła o rodzinie i oto po latach karmienia się złudzeniami wreszcie miała brata. Młodego człowieka z krwi i kości, a nie wydumaną postać.

– Szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy zdołam to zrobić – odezwał się Ned. – Miałem dręczące wątpliwości, czy dam radę zostać jej mężem i prowadzić takie życie, jakiego się ode mnie oczekuje. – Zanim Jenny zdążyła otworzyć

usta, by zapewnić go, że on doskonale poradzi sobie z ważnym życiowym wyzwaniem, Ned znowu ujął jej dłoń. – Teraz czuję, że potrafię. Nawet jestem tego pewien.

– Chciałabym, żebyś był szczęśliwy – powiedziała Jenny. – Być może po wyjeździe nigdy cię nie zobaczę.

– Jakie znaczenie może mieć te kilka tysięcy mil dla rodziny?

– Żadne – potwierdziła.

Podróż była długa i męcząca, ale wreszcie po dwóch dniach Gareth dotarł na miejsce. Elland School mieściła się w trzech masywnym budynkach z szarego kamienia. Drzewa wokół szkoły były nadal nagie, a ich szare, bezlistne gałęzie, wyrastające z równie szarych pni prostopadle, z niemal geometryczną precyzją, kojarzyły się raczej z nadejściem zimy, niż z wiosną, która wybuchła w innych rejonach Anglii. Po ulicach miasta wały się papiery, ale nikt nie odważył się zaśmiecić szkolnego dziedzińca. Nawet kamienie brukowe, po których turkotały koła powozu, wydawały się starannie ułożone. To otoczenie stało w tak rażącej sprzeczności ze wszystkim, co Gareth wiedział o Jenny, że zadał sobie pytanie, jak ona potrafiła tu tyle lat żyć.

Zastukał do drzwi i wręczył kartę wizytową mężczyźnie, który mu otworzył. Został wprowadzony do ciemnego, ponurego salonu, wyklejone-

go spłowiała, ale czystą tapetą w paski. Z opalanego węglem kominka unosił się dym. Na półce stało na baczność kilka książek. Gareth rzucił okiem na ich grzbiety. „Krótka historia etykiety” sąsiadowała z „Regułami pierwszeństwa”. Wąski, ilustrowany tom na końcu nosił tytuł: „Widelce, łyżki, noże i serwetki”.

Gareth był gotów iść o zakład, że psotna i przekorna Jenny nie postawiła stopy w tym pokoju.

Drzwi za jego plecami otworzyły się. Oczywiście nie zaskrzypiały, ponieważ byłoby to w najwyższym stopniu niestosowne. Wydały tylko stłumiony dźwięk podobny do westchnienia.

– Witam, markizie Blakely. Czym mogę służyć? Zechce pan usiąść? – rozległ się głos starej kobiety. Jej słowa, choć nadała im formę pytań, brzmiały jak rozkazy. Najwyraźniej od tak dawna wydawała polecenia dziewczętom, że zapomniała o istnieniu innych form komunikacji.

Gareth odwrócił się. Stojąca przed nim dama była równie sztywna i surowa, jak wszystko, co miało związek ze szkołą. Ani jeden kosmyk siwych włosów nie wysunął się z ciasno zwiniętego koka. Bezbarwna twarz nie różniła się zbytnio odcieniem od szaroburej sukni. Usta tworzyły linię prostą, jakby najłżejsze nawet wygięcie stanowiło obelgę dla surowości.

– Zapewne mam przyjemność z panią Davenport

– powiedział Gareth. – Otrzymałem pani list.

Oczy kobiety zwęziły się z niedowierzaniem.

– Z odpowiedzią na pytanie zadane przez  
mojego plenipotentą – uzupełnił. – Jestem tu z powodu  
Jenny Keeble.

Okazanie jakichkolwiek emocji stanowiłoby  
w oczach pani Davenport oznakę braku ogłady,  
ale tak starannie starała się ukryć zaskoczenie, że  
ten dziwny mężczyzna interesuje się uczennicą,  
która opuściła szkołę przeszło dziesięć lat temu, iż  
było to nader wymowne. Gareth rozpoznał uwielbiającą  
plotki wiedźmę, która pod płaszczykiem  
przyzwoitości starała się ukryć radość, że miała do  
sprzedania skandaliczną historyjkę, za którą spodziewała  
się dostać sowitą nagrodę.

– Czy panna Keeble jest... – Pani Davenport  
zawiesiła głos.

– Martwa? Skazana? Ścigana za oszustwo? –  
wyliczał Gareth.

Oczy pani Davenport otwierały się coraz szerzej.  
Emanowała z nich satysfakcja.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

Dostrzegł w układzie ramion kobiety lekkie  
napięcie.

– Cóż. To dziecko przysporzyło mi więcej problemów  
niż którakolwiek inna dziewczynka,  
a pracuję w tej szkole od dwudziestu dziewięciu  
lat. Jeżeli pan ją zna, to musiał się pan zorientować,  
że ma skłonności do... – Ponownie zawiesiła głos.

– Kłamstwa – podsunął usłużnie Gareth.

– Mijania się z prawdą i krętactwa – dokończyła  
pani Davenport. – Częstowzwiązku z pieniędzmi.

Chyba ma pan najświeższe wiadomości o niej. Nie śmiem żywić nadziei, że obrała uczciwą profesję? Pani Davenport uniosła nieskazitelnie uformowaną brew. W głębi jej chłodnych, badawczych oczu pojawiła się drapieżna iskierka.

– Pani jest istnym sępem – wypalił Gareth.

Kobieta wyduła wargi.

– Proszę się liczyć ze słowami, milordzie.

W tym domu jest pełno młodych dziewcząt, które powtarzają każde nieprzyzwoite słowo, jakie im się zdarzy usłyszeć.

– Przyjechałem, żeby się czegoś o niej dowiedzieć

– powiedział Gareth. Dawniej wyobrażał sobie, że jeśli odkryje tajemnice Jenny, to zdoła o niej zapomnieć. Teraz nie próbował się oszukiwać, że o to mu chodzi. – Jaka była? Z kim się przyjaźniła?

– Przyjaźniła? – prychnęła pani Davenport. –

Takie jak ona nie miewają przyjaciółek wśród przyzwoitych dziewcząt. Już ja o to zadbałam!

Protestowałam przeciwko przyjęciu jej do szkoły.

Uważam, że nie można spodziewać się niczego dobrego po dziewczynce niewiadomego pochodzenia.

Dziecko, będące owocem grzechu, może tylko okryć wstydem siebie i wszystkich, którzy mają z nim kontakt.

Gareth zmełł w ustach przekleństwo.

– Proszę dalej.

Pani Davenport zapatrzyła się w przestrzeń.

– To było podstępne stworzenie. Początkowo,

dopóki nie interweniowałam, umiała sprawić, że niektóre dziewczynki rozmawiały z nią, i to całkiem przyjaźnie. Gdyby nie ja, to owinęłaby je wokół małego palca. Musiałam im ciągle przypominać, żeby trzymały się z dala od Jenny Keeble.

Przeważnie słuchały.

– Miała cztery lata, kiedy tu przyjechała – zauważył Gareth.

– Nie da się wygrać z naturą, milordzie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Co, pana zdaniem, może wyrosnąć z dziewczynki, która nie zna własnych rodziców?

Z dziewczynki, której od czwartego roku życia wmawiano, że jest skazana na potępienie? Gareth mógł to sobie wyobrazić. A jednak... z Jenny się nie udało.

– Przypuszczam – odezwał się spokojnie – że spełniła pani swój obowiązek wobec dziewczynki i poinformowała ją, czego może oczekiwać od życia.

– O, tak – zapewniła z satysfakcją pani Davenport. Niewątpliwie ten obowiązek wypełniła szczególnie sumiennie. – Ale... tak na wszelki wypadek... – Podeszła do biurka i wyciągnęła jedną z szuflad. Wyjęła plik pożółkłych, wystrzępionych na brzegach kartek. – Proszę. Notowałam wszystkie jej występki. Zachowałam to z myślą, że gdybym miała w przyszłości wystawiać świadectwo o jej charakterze, to władze nie powinny okazywać jej nadmiernej pobłażliwości.

Gareth wyciągnął rękę.

– Cholernie mało mówiła o swoim dzieciństwie. Oczywiście pani Davenport zwięzły się, ale podała mu papiery.

– Milordzie! Niech pan uważa na język. Proszę mi powiedzieć, czy ona została...

– Dziwką?

– Język! – powtórzyła ostro pani Davenport. – Powiedzmy: skalaną gołębicą.

– Przez ostatnich dwanaście lat udawała wróżkę i przepowiadała przyszłość.

– Niezbyt szlachetne zajęcie. Jak pan ją poznał?

– Mój kuzyn miał z nią kontakt. Podejrzewam, że wyciągnęła od niego sporo pieniędzy.

Na twarzy kobiety odmalowała się radość. Ścisnęła w rękę chusteczkę do nosa.

– Oszustka! I z pewnością przestępczyni. Zostanie powieszona? Postawiona pod pręgierzem?

Zesłana do kolonii?

Gareth wpatrywał się trzymaną w rękę kartkę.

„14 sierpnia 1815. JK dwa razy skłamała i nie umyła uszu”.

Przerzucił kilka stron z opisem drobnych występków.

Niektóre nawet trudno było uznać za naruszenie jakichkolwiek reguł

„12 maja 1820. JK zachorowała na grypę i zaraziła dwie dziewczynki. Na pewno specjalnie”.

Gareth pamiętał, jak źle znosił wydawane oschłym tonem polecenia dziadka i jego wymaga-

nia wobec wnuka. Dziadek zakładał jednak, że Gareth będzie w przyszłości wypełniał wszystkie obowiązki równie rzetelnie i honorowo, jak wszyscy poprzedni markizowie. Natomiast Jenny, pozbawiona rodziny, była zdana na łaskę tej przerażającej kobiety, która wygadywała o niej niestworzone historie i izolowała ją od koleżanek. Jak bardzo musiała tęsknić za serdecznym, troskliwym traktowaniem, skoro uciekła stąd w wieku osiemnastu lat?

– Milordzie? – Pani Davenport przerwała jego rozmyślenia. – Wnieście pan oskarżenie?

– Cicho – warknął.

Gareth wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Jenny jednak się nie załamała, rozmyślał. Wychowała się bez miłości rodziny, w chłodzie emocjonalnym, w nieprzyjaznym otoczeniu, poddana restrykcyjnej dyscyplinie, a jednak lubiła ludzi i potrafiła dostrzec w nich to, co najlepsze. Zauważyła niewzruszoną lojalność Neda i spokojną siłę Laury. Nawet w nim potrafiła się dopatrzeć czegoś dobrego.

Zachowała nadzieję, choć nie dano jej podstaw do żywienia nadziei. Wyrosła na osobę ciepłą i serdeczną, mimo że spotykała się z niechęcią i wrogością. Gareth uświadomił sobie, że Jenny nie jest mu równa, ponieważ jest od niego lepsza. Trzymał się kurczowo własnej wyższości, aby nadać sens wszystkim samotnym latom swojego życia. Tymczasem tytuł markiza nie ograniczał go



tak bardzo, jak sądził. Mógł mieć to, czego pragnął, a czego od lat się wyrzekał w imię rodowych obowiązków.

Jeżeli jego życie miało się zmienić, to musiał zacząć od Jenny. Gareth zatrzymał się i utkwiał wzrok w pani Davenport.

– Zdecydował pan już, co zrobi?

– Tak, wiem, jak postąpię. – Gareth zmiął w garści jej zapiski. – Dopilnuję, żeby pani więcej nie stawiała Jenny w złym świetle.

Wrzucił papiery do ognia, zanim zdążyła zaprotestować. Suche kartki zajęły się natychmiast.

Gareth uśmiechnął się, słysząc słaby okrzyk protestu pani Davenport.

Jenny nie chciała jego pieniędzy, ale mogła skorzystać z tego, w czym Gareth był niemal mistrzem: z jego umiejętności budzenia w ludziach respektu. Niech go diabli, jeśli pozwoli komukolwiek pomiatać Jenny!

– Niezależnie od tego, co pani myśli o Jenny Keeble, zatrzyma to pani dla siebie – oznajmił stanowczym tonem. – Jeżeli się dowiem, że powiedziała pani o niej choć słowo, to zniszczę panią. Doprowadzę do ruiny szkołę i bank, w którym trzyma pani swoje oszczędności, a potem nakłonię władze, żeby wysłały panią w łańcuchach do Australii.

– Myślałam, że pan zamierza dać Jenny Keeble to, na co zasługuje!

Gareth zastanowił się nad jej słowami.

– Rzeczywiście, tak zrobię.

Najpierw jednak musiał wrócić do Londynu, i to jak najszybciej.

Droga z Bristolu do Londynu trwała czterdzieści sześć wyjątkowo frustrujących godzin. Gareth był znużony, niewyspany i nieświeży, ale nie wstąpił do domu. Kazał woźnicy od razu jechać do Jenny. Wyskoczył z powozu niemal w biegu i załomotał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza.

– Jenny! – zawołał. – Jesteś? Jenny!

Żadnej odpowiedzi.

Może poszła po zakupy? A może... Uważnie przyjrzał się drzwiom. Do licha! Przecież nie zdjęła z drzwi kołatki, wybierając się do sklepu. W tym momencie otworzyło się okno mieszkania piętro wyżej.

– Szuka pan madame Esmereldy?

Gareth zadarł głowę do góry. W oknie stała jakaś kobieta.

– Gdzie ona jest?

– Wyjechała. Zabrała wszystkie rzeczy. Wiem, bo chciałam przejrzeć to, co zostawiła, i okazało się, że nie zostawiła kompletnie niczego.

– Dokąd poszła?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przecież to Cyganka. Kto wie, dokąd poszła.

Garetha ogarnął silny niepokój.

– Czy zostawiła dla mnie wiadomość?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli pan chce,

żeby przepowiedzieć panu przyszłość, to mogę spróbować. Mówiła mi kiedyś, jak to się robi. Gareth wpadł w popłoch. W Bristolu zrozumiał wreszcie, że Jenny jest zbyt dobra dla niego, ale nie przypuszczał, że ona również to odkryje. Jak ostatni idiota liczył na to, że przyjmie go z powrotem. Po co jednak miałyby siedzieć w domu i biernie czekać, co los jej przyniesie? Jenny nie należała do osób, które pogrążają się w rozpacz i toną w smutku. Ona działała! Jakież z niego głupiec! Była niezastąpiona.

- Czy zostawiła jakąkolwiek informację?

Kobieta zerknęła na niego chytrze.

- Chyba mogłabym zapytać duchy...
- Do diabła z duchami! – wykrzyknął zdenerwowany Gareth i zawrócił do powozu.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Gareth odchodził od zmysłów, zanim wreszcie przyszło mu do głowy, żeby zapytać o Jenny kuzyna. Po nieprzespanej nocy wpadł z samego rana do domu Carharta. Zastał Neda w pokoju śniadaniowym. Siedział przy stole ogolony i starannie ubrany i pochylał się nad talerzem pełnym smakołyków.

– Ned. – Gareth od razu przystąpił do rzeczy. – Czy orientujesz się, gdzie mogła się podziać Jenny? Ned ostrożnie odłożył widelec.

– Widzę, że wróciłeś na mój ślub. Dziękuję za powinszowania. Twoje maniery są, jak zwykle, bez zarzutu.

– Do licha z twoim ślubem! – zawołał Gareth. – Do licha z Ware'em, jego córką i twoją matką! I do licha z tobą, jeśli nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie!

Ned pokręcił głową.

– Gadasz bez sensu, Gareth.

– Od kiedy to zwracasz się do mnie po imieniu?  
Nie upoważniłem cię do tego. Do tej pory to się nie zdarzało.

Ned uśmiechnął się, zerknął na wewnętrzną stronę prawej dłoni i zacisnął ją w pięść.

– To prezent od Jenny – stwierdził spokojnie. – Powiedziała, że mogę. A właściwie kazała mi mówić ci po imieniu. Uznała, że ktoś powinien o ciebie dbać. Ponieważ ćwiczę silną wolę, doszedłem do wniosku, że tym kimś będę ja.

Gareth skrzywił się. Tak, Jenny mogła tak postąpić. Wiedziała, jak nie znosił swojego tytułu. Pozwolił jej odejść, ale ona go nie opuściła.

Ned odsunął krzesło i podszedł do kuzyna.

– To, jak powiedziałem, był prezent od Jenny. A to prezent ode mnie – oświadczył i z całej siły uderzył markiza w twarz.

Gareth zobaczył gwiazdki przed oczami i upadł na podłogę. Był tak zaskoczony, że dopiero po chwili poczuł pulsujący ból szczęki i ostre klucie w plecach. Otworzył oczy i spojrzał na stojącego nad nim Neda.

– Za co, u licha?

– Wydaje ci się, że jak jesteś markizem, to masz prawo wykorzystywać każdą napotkaną kobietę?

– Ja nie...

– I zostawić ją potem bez środków do życia?  
Samą?

– Proponowałem...

– Nie zostawiłeś jej żadnego wyboru; postanowiła wyjechać z Anglii.

Ból szczęki był niczym w porównaniu z ciosem w samo serce, jakim była dla Garetha ta wiadomość. Oniemiał. Kiedy wreszcie odzyskał głos, zapytał:

– Do jakiego kraju pojechała? I jak ją sprowadzić z powrotem?

– Nie uda ci się, ty dupku.

– Wiem, że jestem dupkiem, a w dodatku idiotą. Przysięgam, zrobię wszystko, żeby ją odzyskać.

– A jakie są twoje intencje?

– W najwyższym stopniu niehonorowe – wyznał Gareth. – Jestem gotów posunąć się do każdego podstępu, aby zmusić ją do małżeństwa.

Neda nie wierzył własnym uszom.

– Do małżeństwa? Ty?!

– Tak, ja – potwierdził markiz. – Bez Jenny niczego nie dam rady zrobić. Ani dla ciebie, ani dla Laury.

Ned spojrział na Garetha ze zdumieniem.

– Tak się składa – powiedział – że liczyłem godziny do odpłynięcia jej statku. Chcę, żeby Jenny mile wspominała ostatnie chwile spędzone w Anglii. Czemu miałbym ci pozwolić je zepsuć?

– Muszę spróbować jeszcze raz. Muszę naprawić...

– To niewłaściwa odpowiedź – orzekł Ned. –

Właściwa brzmiałaby: bo zrobię wszystko, żeby Jenny była szczęśliwa.

– To też.

– Gdyby naprawdę ci na niej zależało – ofuknął go Ned – to nauczyłbyś rozumu tego typu w banku, zamiast jeździć nie wiadomo gdzie i po co.

– Typ? Bank? O czym ty mówisz?

Ned popatrzył na niego uważnie.

– Wszystko ci wyjaśnię, ale nie myśl, że to załatwi sprawę. Nie pozwolę ci unieszczęśliwić jej jeszcze raz.

Wskazany przez Neda bank był znacznie mniejszy od instytucji finansowych, z którymi Gareth zazwyczaj prowadził interesy. Prezentował się dość lichy. Meble z różanego drewna miały swoje lata i należałoby je wymienić. Zielone draperie wypłwiałały i robiły wrażenie zakurzonych. Gareth był pewien, że gdyby uderzyłwnie ręką, w powietrze wzbilyby się tumany pyłu.

Kiedy weszli do środka, urzędnicy natychmiast zwrócili na nich uwagę. Nie tylko ze względu na otaczającą nowo przybyłych aurę bogactwa. Towarzyszył im doświadczony adwokat, który prowadził wiele spraw Carhartów. Nawet jeśli pracownicy banku nie rozpoznali markiza Blakely'ego, to natychmiast poznali prawnika, Martina Scovila. Ten starszy dżentelmen uchodził za geniusza w dziedzinie zarządzania funduszami po-

wierniczymi, więc jego klienci wywodzili się z najbogatszej warstwy społecznej.

Gareth z rozbawieniem obserwował zachowanie bankowców. Kierownik w jednej chwili przyskoczył do Neda i energicznie uścisnął mu rękę na powitanie. Mamrotał coś przy tym niezrozumiale i kłaniał się raz za razem, aż zabrakło mu tchu.

A gdy dotarło do niego, że w jego placówce pojawił się prawdziwy markiz – w dodatku markiz, którego nie rozpoznał, ponieważ Gareth nadal miał na sobie zakurzone po podróży ubranie – wyszarpnął z kieszeni chusteczkę i wytarł spocone czoło. Po chwili Ned i prawnik wszczęli rozmowę na temat funduszu powierniczego, jaki Ned pragnął ustanowić dla przyszłej żony.

Gareth przechadzał się po sali. Zatrzymał się przy jednym z kasjerów, żeby zasięgnąć informacji. Ten wskazał mu kolegę, pogrążonego akurat w rozmowie z Nodem. Mężczyzna stał obok kierownika banku i gorliwie wszystko notował.

Ned pochwycił spojrzenie kuzyna i dał mu umówiony znak głową. Kierownik właśnie podsuwał Nedowi pióro, aby podpisał pierwszą z wielu stron umowy. Gareth podszedł i położył rękę na dokumencie.

– Jest jeszcze jeden warunek, który musimy najpierw omówić.

– Tak, milordzie. Oczywiście, milordzie. – Kierownik usłużnie złożył dłonie, gotów spełnić każde życzenie markiza.



Stojący obok kasjer, wzorem swego szefa, poruszył się gorliwie.

Gareth wycelował w niego palec.

– Czy to pan Sevin?

Sevin drgnął gwałtownie i wypuścił pióro z ręki.

Atrament opryskał mu buty.

– Czy zostaliśmy sobie przedstawieni, milordzie?

– Schylił się i podniósł pióro. – Ja bardzo przepraszam. Usilnie przepraszam, ale nie przypominam sobie... to znaczy, chyba już zaczynam sobie przypominać. Gdyby pan markiz był tak łaskaw... Może to było na jakimś zgromadzeniu? Na przykład w czerwcu ubiegłego roku? Uczestniczyłem wówczas w...

Gareth uniesieniem ręki przerwał ten potok słów.

– Zadałem pytanie, na które wystarczy odpowiedź „tak” lub „nie”, panie Sevin. Proszę sobie darować tę paplaninę przypominającą gęganie podnieconych gęsi.

– Milordzie?

– Proszę o odpowiedź. Czy nosi pan nazwisko Sevin?

– Tak, milordzie.

– Znakomicie. – Gareth zwrócił się do kierownika banku. – Proszę go zwolnić. Ten pan odpływa najbliższym statkiem do Nowej Południowej Walii.

– Co? – zaskrzeczał pobladły pan Sevin. – Ja? Dlaczego? Milordzie, proszę! Mam żonę i dziecko. Nie mogę ich przecież wywieźć do tego dzikiego kraju.

– Nie może pan – zgodził się Gareth. – Dlatego popłynię pan sam. Na czas swej nieobecności ustanowi pan dla nich fundusz powierniczy.

– Fundusz? Jestem tylko biednym urzędnikiem bankowym. Fundusze... takie rzeczy są dla bogaczy. Ja...

– Nie jest pan biedny – wpadł mu w słowo Gareth. – Ostatnio wzbogacił się pan o czterysta funtów.

Pan Sevin przestał się płaszczyć. Powoli wyprostował się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Tak czy owak, znajdzie się pan na pokładzie statku do Nowej Południowej Walii, osobiście tego dopilnuję – podjął Gareth. – Może pan zostawić żonę i dziecko w kraju, gdzie będą żyli wygodnie, i popłynąć dobrowolnie w wygodnej kajucie, albo zostanie pan skazany na wyjazd do kolonii karnej za kradzież i zawleczony pod pokład w łańcuchach. Wybór należy do pana.

Ned spojrzał na Garetha zza pleców wijącego się jak piskorz Sevina i na jego ustach pojawił się łobuzerski uśmiezek. Coś podobnego! Wspólne przeżywanie triumfu z kuzynem... Wcześniej nawet do głowy mu to nie przyszło.

Jenny miała rację, pomyślał Gareth. Człowiek wyrastający ponad innych jest samotny. Gdy spojrzał na pana Sevina, skorygował nieco tę opinię. Człowiek wywyższający się ponad innych jest samotny, natomiast poczucie wyższości nad nie-

którymi sprawia sporo satysfakcji. Do ideału brakowało najistotniejszego elementu. Zwrócił się do

Neda i zmienił ton na proszący:

– Czy jest szansa, że ustąpisz?

Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy Neda.

Powoli pokręcił głową.

– Muszę robić to, co najlepsze dla niej – powiedział.

– Ned, dokąd jedziemy? – zapytała po raz trzeci Jenny.

To był jej ostatni dzień w Anglii. Pół godziny temu zostawili za sobą Londyn. Konie człapały leniwie po zakurzonej drodze, wzbijając powietrze tumany pyłu. Lekkie obłoki zasłoniły słońce, ale prześwitywała przez nie zamglona, ciepła poświata.

– Pamiętasz mojego kompana Ellisona? Tego, który chciał postawić w karty lwy?

Jenny potrząsnęła głową.

– Nadal je ma. Urządzimy sobie piknik przy menażerii.

– Mnie zabrałeś na piknik? Dlaczego nie młodą damę, z którą się żenisz?

Ned wzruszył ramionami.

– Ona wzrastała u boku księcia Ware’a. Podejrzewam, że lwy są mniej niebezpieczne. Dzisiejszy dzień spędzimy tylko we dwoje.

Ściągnął wodze i konie skrzyły w boczną drogę, która niewiele różniła się od kolein, wygniecionych w trawie przez koła wozu.

Po chwili Jenny odezwała się znowu.

– Czy te lwy nie czują się źle w angielskim klimacie?

– Pewnie tak. W dodatku siedzą w klatkach.

Ciekawe, czy Ellison zostałby aresztowany za kłusownictwo, gdybyśmy je wypuścili, żeby zapolowały na królewskie jelenie?

Jenny rozejrzała się sceptycznie po płaskiej łące.

– Jelenie? Myślę, że rzuciłyby się raczej na konie albo na ciebie.

Ned ściągnął wodze. Konie zatrzymały się przed niewielkim domkiem. W oddali majaczyły dwie duże stodoły. Jenny doszła do wniosku, że stodoła to równie dobre miejsce do przechowywania klatki z lwami, jak każde inne.

– Proszę. – Ned wręczył jej kosz piknikowy. – Rozłóż koc i jedzenie, ja zajmę się końmi.

– Sama?

– Tak, sama.

– W pobliżu lwów?

Ned uśmiechnął się szeroko, wyprzegając konie.

– W pobliżu klatek z lwami. Chyba się nie boisz? Jeśli tak, to powinnaś zrewidować swoje plany. Podobno na pustkowiach pod Cincinnati aż roi się od lwów.

Jenny wzięła do ręki koszyk i poszła we wskazanym kierunku. Uświadomiła sobie, że będzie tęskniła za Nędem, a także za ponurą, chmurną Anglią. Jednak to jest jej ojczyzna, a innego świata

nie znała. Garetha brakowało jej od dnia rozstania, i to bardziej, niż przypuszczała.

Zamyślona, postawiła koszyk na ziemi. Właśnie rozkładała na trawie gruby koc, pod którym w koszu ułożono wiktuały, gdy jej uszudobiegł cichy odgłos skradających się kroków. Zesztywniała, jakby za jej plecami czaił się lew, choć były to przecież ludzkie kroki. Powoli się odwróciła i ujrzała Garetha.

Na jego widok w jej uszach zabrzmiały słowa:

„Kto mógłby uznać, że jesteśmy równi?”. Te raniące słowa utkwily w jej pamięci jak odłamki szrapnela, których lekarz nie był w stanie usunąć.

W twarzy i postawie Garetha nie dostrzegła tak charakterystycznej dla niego aury wyższości. Wyglądał po prostu żałośnie. Ciemnoblonde włosy były potargane, fular przekrzywiony, na szczęce widniał granatowy siniec. Spojrzenie złotobrazowych oczu przemknęło po jej postaci i utkwilo w twarzy.

– To sprawa Neda. Zapłaci mi za to.

– Uprosiłem Neda, żeby dał mi jeszcze jedną, ostatnią szansę. Wiem, że ty byś mi jej odmówiła, masz wszelkie powody, by mną gardzić. Ale...

– Urwał i zaczął grzebać w kieszeniach. Po chwili podał Jenny złożoną kartkę. – Proszę.

– Co to jest?

– Akt własności tego, co znajduje się w stodole  
– wyjaśnił.

– Mówiłam ci już, że mnie nie kupisz.

– Wiem – przyznał. – Nawet za wszystkie skar-

by świata. Błagam cię, żebyś mi pozwoliła... –  
Skrzywił się i pochylił głowę. – Tylko wejdź do  
środka – poprosił.

Jenny ruszyła przez łąkę i z trudem otworzyła  
ciężkie wrota. Zaskrzypiały i w powietrze wzbił się  
obłok kurzu, zapachniało lasem i pleśnią. Wewnątrz  
było o dziesięć stopni chłodniej niż na  
dworze. Jenny wyczuła znajomą woń siana, ale  
towarzyszył jej zapach niepodobny do żadnego  
z jej znanych. Nie dostrzegła nigdzie ciężkich,  
żelaznych klatek. Cała wewnętrzna przestrzeń  
była otwarta, a środek stodoły zajmował ogromny  
stóg siana.

Obok tej złocistej sterty stał on – ogromny  
i szary. Poruszał z zadowoleniem wielkimi uszami  
i leniwie wkładał trąbą wiązki siana do pyska,  
okolonego kłami. Jenny z wrażenia nie mogła  
wykrztusić słowa.

– Co mam zrobić ze słoniem? – zapytała po  
chwili zwodniczo spokojnym głosem.

– Nie wiem – odparł Gareth. – A co zamierzasz  
zrobić ze wszystkimi moimi punktami?

Jakimi punktami? Przez moment Jenny nie wiedziała,  
o czym mówił. A potem uśmiechnęła się.

No tak. Punkty za każdy uśmiech Garetha.

– To moje punkty! Ja je zdobywałam. Ty ich nie  
dostaniesz.

Gareth włożył ręce do kieszeni.

– Bzdury! Każdy z nich okupiłem ciężkim wysiłkiem  
rozciągania ust. Jeżeli nie przyjmiesz słonia

i nie wyjdiesz za mnie, to przysięgam, że nigdy więcej nie zdobędziesz punktu.

Jenny powoli odwróciła się do Garetha.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że już nigdy nie zdobędziesz punktu. Nie uśmiechnąłem się ani razu, odkąd mnie zostawiłaś, i bardzo za tym tęsknię. Tęsknię za tobą.

– Nie, wcześniej.

– Przyjmij tego słonia...

– Potem.

– Wyjdź za mnie. Błagam cię.

Jenny nie wiedziała, co odpowiedzieć. Była tak poruszona, że zabrakło jej słów.

– Nie mogę przyjąć słonia – wyjąkała w końcu.

– Wiesz, jak to nieszczęsne zwierzę będzie się czuło tutaj w zimie? To okrucieństwo.

– Słoń pochodzi z Afryki – stwierdził Gareth. –

Myślę, że powinien tam wrócić. Podróż potrwałaby pewnie sześć miesięcy. – W głosie Garetha pojawiła się nagle tęskna nuta. – Zawsze chciałem tam pojechać.

To fascynujące miejsce. Szczególnie dla kogoś zainteresowanego kwestią ptasich migracji... ale...

– Z pewnością markiz Blakely nie może sobie pozwolić na opuszczenie na tak długo posiadłości.

– Rzeczywiście markiz Blakely nie mógłby wyjechać na tak długo. Chyba że znalazłby kogoś zaufanego, kto zająłby się posiadłościami pod jego nieobecność. Tyle że markiz Blakely nie potrafił nikomu zaufać.

– Markiz Blakely mówi o sobie w trzeciej

osobie i w czasie przeszłym – zauważyła Jenny. –  
To deprymujące.

– Pozwól więc, że przejdę do pierwszej osoby  
liczby mnogiej. To, czego nie może zrobić markiz  
Blakely, my możemy. Nie chciałem nikomu powierzyć  
pieczy nad swoimi posiadłościami, ponieważ  
uważałem się za lepszego od innych. Myliłem  
się. Potrzebuję cię, Jenny. Potrzebuję kogoś, kto  
potrafi dostrzec siłę ukrytą w głębi ludzkich serc  
i kto potrafi tę siłę wyzwolić. Potrzebuję kogoś, kto  
umie w każdym dostrzec człowieka i sprawić, by  
stał się lepszy, silniejszy.

Jenny spojrzała na ogromne, szare zwierzę. Nikt  
przy zdrowych zmysłach nie podarowałby w prezencie  
ślubnym słonia. Ale oto stał przed nią  
i wachlował uszami, co zapewne w języku słoni  
oznaczało: to dramatyczne przedstawienie jest  
całkiem interesujące.

Istniało tylko jedno możliwe wyjaśnienie zagadki.  
Gareth przestał się zastanawiać. Jenny po raz  
pierwszy od tygodnia pozwoliła sobie na nadzieję.  
Musnęła palcami policzek Garetha. Poczowała drapiący  
zarost. Ciekawe, kiedy ostatnio się golił?  
Zapewne jeszcze przed pojawieniem się siniaka.

– Gareth...

– Nie doszedłem jeszcze do drugiej osoby –  
powiedział cicho. – Kocham cię, Jenny. Kiedy  
odeszłaś, z mojego życia zniknęła cała radość.  
Wygadując te okropne rzeczy, nie zdawałem sobie  
sprawy z tego, jak bardzo mnie przewyższasz.



Jenny poczuła ukłucie w sercu.

– Dusilem się w tym kraju i marzyłem o tym, aby jeszcze choć raz zobaczyć Brazylię. A potem spotkałem ciebie, osobę, która rozsiewa wokół siebie barwy i blask, i moje życie nabrało koloru. Płaski świat stał się dzięki tobie trójwymiarowy. Nie potrafię znaleźć żadnego powodu, dlaczego miałabyś ze mną zostać, ale jesteś ode mnie mądrzejsza i liczę na to, że coś wymyślisz.

Gareth położył jej ręce na ramionach.

– Kiedy ostatnio spałeś? – zapytała Jenny.

– Nie wiem. Nieważne.

– I ty uważasz się za rozsądnego człowieka?

Nie podjął dyskusji, tylko odrobinę mocniej zacisnął palce na jej ramionach.

– Jedno tylko mogę ci dać – powiedział. –

Oczywiście poza sobą. Pewność, że nikt nie będzie na ciebie patrzył z góry. Ofiaruję ci opiekę.

Dziadek nauczył mnie, w jaki sposób odpierać wszelkie ataki. Oddaję teraz tę wiedzę na twoje usługi. Pozwól mi stanąć u twego boku.

W tym momencie Jenny pojęła, że Gareth jej nigdy nie porzuci.

– Daj mi rękę – zażądała.

– Co?

Nie zawracała sobie głowy powtarzaniem polecenia.

Chwyliła go za rękę i ściągnęła z niej rękawiczkę. Przesunęła palcem wzdłuż linii we wnętrzu jego dłoni.

– Jesteś upartym człowiekiem – orzekła. – Du-

mnym, piekielnie odpowiedzialnym i zdecydowanie zbyt niezręcznym.

Ta analiza sprawiła, że zgarbił się żałośnie.

– Mogę się zmienić.

Jenny zerknęła znowu we wnętrze jego dłoni.

– Nie widzę w twojej przyszłości takiej zmiany.

– Mogę spróbować.

– Nie zmienisz się – ciągnęła Jenny – bo kocham cię takiego, jaki jesteś, i wiesz, co widzę, kiedy patrzę na ciebie?

Pokręcił przecząco głową.

– Widzę człowieka silnego, uczciwego i dobrego.

Może zbyt mało elastycznego, ale dość bystrego, by dostrzec własne ograniczenia. Na tyle mądrego, żeby wybrać kobietę, która pomoże mu stać się lepszym. Widzę człowieka, który popełnia błędy, ale potrafi je dostrzec i podjąć próbę ich naprawienia. A gdy tego wymaga sytuacja, dla dobra innych zapomina o dumie.

– Co jeszcze widzisz?

Położyła jego rękę na swojej talii. Gareth objął Jenny i przyciągnął do siebie.

– Widzę, że powiem „tak”.

– Tak?

– Tak, przyjmę cię, jeśli tego chcesz.

Kiedy jego usta dotknęły jej warg, wyczuła, że Gareth się uśmiecha. Gdy czuły pocałunek dobiegł końca, roześmiał się na cały głos.

## **Epilog**

Jeżeli w najwyższych sferach towarzyskich Londynu istniał jakiś stały punkt odniesienia, był nim markiz Blakely. Przez prawie dwa wieki Blakely'owie trwali jak opoka. Byli niczym stara gwardia przypominająca pospólstwu o powinnościach arystokracji. Dziewięć generacji wyniosłych, surowych mężczyzn, którzy stawiali tamę wybujałym ambicjom tych, którzy próbowali wynieść się ponad swój stan.

Kiedy więc dziewiąty markiz pewnego dnia nabył słonia, a następnego ogłosił, że się żeni, w środowisku zawrzało. Nie wybrał córki para Anglii ani dziedziczki z utytułowanej rodziny.

Kogo więc uczynił szczęśliwą małżonką?

Tego nikt nie mógł się dowiedzieć.

Owszem, wiedziano, jak wyglądała jego wybranka. Była to przyjacielska kobieta o niezwykłych, ciemnych włosach, zgrabnej figurze i olśniewającym uśmiechu. Znano również jej obecne nazwisko – Jennifer Carhart, markiza Blakely – nie wiedziano jednak nic o jej rodzinie i majątku. To zadziwiające, bo było dla wszystkich oczywiste, że Blakely po prostu nie mógł ożenić się z kimś nieodpowiednim.

Krażyły więc rozmaite niestworzone historie.

Niektórzy twierdzili, że Blakely poślubił kobietę znaną jako pani Margaret Barnard. Ale ta tak mało udzielała się w towarzystwie, że szybko odrzucono tę teorię jako absolutnie niemożliwą. Tym bardziej że osoby najbliższe markizie – czyli sam

Blakely, jego kuzyn, żona tegoż kuzyna i siostra markiza – zgodnie dementowały tę pogłoskę. Poza tym pani Barnard miała być jakąś daleką krewną Carhartów, tak daleką, że elita towarzyska Londynu nie zadała sobie nawet trudu, by ją zapamiętać. Blakely nigdy nie zniżyłby się do małżeństwa z kimś takim. Ten argument był decydujący i położył kres plotce.

Nowa markiza Blakely zajęła się energicznie przygotowaniami do znacznie bardziej okazałego ślubu siostry Blakely'ego. Śmietanka towarzyska Londynu, nie godząc się na odstawienie jej na boczny tor, zaczęła snuć coraz bardziej fantastyczne teorie. Ktoś twierdził, że markiza to księżniczka z jakiegoś państewka na południe od równika. Kto inny obstawał, że markiza wyglądała na galijską arystokratkę, z czego wniosek, że była ostatnią reprezentantką starego rodu wymordowanego w czasach wielkiego terroru. Znalazła się nawet osoba, która przekonywała, że markiza Blakely była niegdyś wróżką, przepowiadała przyszłość i potrafiła wywoływać duchy.

Do dnia ślubu Laury towarzystwo podzieliło się na kilka obozów. Gdy markiz i markiza wysiedli z powozu przed kościołem, w którym miał się odbyć ślub panny Edmonton, natychmiast zwróciły się ku nim wszystkie spojrzenia. Blakely był ubrany w elegancki aksamit koloru burgunda.

Jego żona miała na sobie suknię z niebieskiego jedwabiu, a na szyi brylantowy naszyjnik. Bardzo często spoglądali na siebie i dotykali się w sposób,

który stał w rażącej sprzeczności z obowiązującą modą.

Po ceremonii hrabina Lockhaven przepchnęła się przez gości uczestniczących w weselnym śniadaniu. Chwyciła markiza za ramię w chwili, gdy podszedł on do siostry.

– Blakely! – zawołała z głupawym uśmiechem.

Markiz spojrział z góry na jej palce, zaciśnięte na jego rękawie. Lodowate spojrzenie, z którego Blakely'owie słynęli od dawna, zmroziło hrabinę Lockhaven.

– Tak?

Hrabina puściła jego rękaw.

– Zastanawialiśmy się, czy mógłby pan... Czy mógłby pan nam coś powiedzieć o... – W zapadłej nagle ciszy wszyscy słyszeli, jak zachłysnęła się powietrzem. – O pochodzeniu swojej żony i jej rodzinie.

Twarz markiza stężała. Zmierzył hrabinę pogardliwym spojrzeniem od stóp do głów. Nagle wszyscy przypomnieli sobie, że jej matka była córką producenta mydła i weszła do arystokracji dzięki wielotysięcznemu posagowi. Przypomnieli sobie również, że pierwsza żona jej małżonka była wiejską dziewczyną, z którą młody hrabia uciekł. Wieśniaczka ta miała przynajmniej dość przyzwoitości, by umrzeć, zanim zdążyła wydać na świat potomka, który sprawiłby nie lada kłopot rodzinie.

– Pochodzenie mojej żony? – Blakely wyjątkowo starannie wymawiał każdą sylabę. Przez

łum przebiegł dreszcz oczekiwania. – Bez porównania lepsze niż pani.

Wtedy po raz ostatni padło pytanie o pochodzenie Jenny. Nie tylko dlatego, że obawiano się odpowiedzi. Raczej ze względu na to, iż swoim zachowaniem markiz raz na zawsze uciął dyskusję na ten temat.

Gareth przeniósł wzrok na markizę Blakely.

Pokręciła głową. Raz, ale stanowczo.

– To ślub twojej siostry – szepnęła. – Zachowuj się, proszę.

Zapadła cisza. Markiz dumnie uniósł głowę z typową dla niego arogancją. Tłum czekał na reprimendę, a tymczasem Blakely wzruszył ramionami i uśmiechnął się bezradnie.

– Och! – Stojąca obok niego siostra westchnęła.

– Tak się to robi? Będę musiała zastosować.

Od tego wydarzenia nikt nie podawał w wątpliwość, że markiza Blakely posiada niezwykłą, niemal nadprzyrodzoną moc. Każdy uśmiech markiza, każdy wybuch śmiechu, stanowił dowód jej nieprzeciętnych umiejętności. Tym, którzy kwestionowali jej umiejętności, wystarczał za dowód wyraz jego oczu, kiedy na nią patrzył.